

STANISŁAW KORABICZ

# KIRY I WAWRZYN

POWIEŚĆ

Z CZASÓW KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO

I



POZNAŃ — NAKŁADEM I CZCIONKAMI  
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.  
NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMP. CO. INC.



# KIRY I WAWRZYN

TOM PIERWSZY.





STANISŁAW KORABICZ.

# KIRY I WAWRZYN


POWIEŚĆ Z CZASÓW KSIĘSTWA  
WARSZAWSKIEGO.

DWA TOMY. — TOM PIERWSZY.



POZNAŃ 1914.

NAKŁADEM I CZCIONKAMI  
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA  
NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMP. CO. INC.



Digitized by the Internet Archive  
in 2025

## ROZDZIAŁ I.

---

### Pod Blachą.

W ciemnych pokojach, nie oświeconego jeszcze pałacyku pod Blachą, snuła się jak widmo szczupła, wydłużona postać kobieca. W jednym ręku trzymała zapaloną świecę, drugą przysłaniała żółty migotliwy jej płomyk, a ręce te szczupłe, drobne, piękne w rysunku, choć nieco pożółkłe, wyglądały jak dwa cacka filigranowe i zdawały się należeć raczej do misternie wyrzeźbionej statuetki, niż do żywej istoty. Wszedłszy do sali, w której znajdowała się mała scenka, dla improvizowanych przedstawień teatralnych, kobieta osunęła się na krzesło, a postawiwszy świecę na stole, siedziała czas jakiś nieruchoma. Wówczas jak plama rzucona na ciemne tło, wystąpiła w niepewnem świetle, twarz znużona, zwiędła, beznadziejnie już dotknięta ręką czasu, ostra i przykra w wyrazie, pomimo starannej fryzury i warstwy pudru, przesypującej chude, zapadłe policzki. Na cieniu zarysował się profil, trochę sępi,

nieprawdopodobnie wydłużony, niby czarna sylwetka, wycięta na prędcie, ręką wprawnego karykaturzysty. Tylko oczy piękne jeszcze, choć trochę zapadłe, błyszczały inteligencją, i zapalały się niekiedy ogniem jakichś utajonych nadziei, czy pragnień nie spełnionych. Kobieta sięgnęła po mały, damski zegareczek, wysadzany drogimi kamieniami i ozdobiony kunsztowną miniaturą.

— Przyjdą tu wkrótce, rzekła, a przyjąć ich trzeba gościnnie, aby go ukontentować.

Słowa te wyrzekła na wpół do siebie, na wpół do ulubionej swej garderobiany, która równocześnie prawie ze swą panią wsunęła się do salonu. Dziewczyna przezwana z francuska Maryetą, mimo, że była rodowitą Warszawianką, miała silnie zarumienione policzki i przyspieszony oddech, jakby po szybkim biegu. Przybiegła też istotnie przed chwilą z zamku królewskiego, gdzie dobiegało właśnie końca, powtarzające się tam co niedzielę przyjęcie dworskie, połączone z tańcami, które jednak kończyły się zawsze punktualnie o godzinie 10-tej. Maryeta zaprzyjaźniona z bliska z królewsko dworskim fraucymerem, miała wstęp do sali balowej tak zwanej żółtej, gdzie stojąc pod ścianą, za ławkami, służącymi gościom do siedzenia, przypatrywała się tańcom, wraz z całą zamkową służbą. Znała ona wybornie całe to

wykwintne towarzystwo, bywające u dworu, gdyż po ukończonej tam zabawie, przenosiło się ono zazwyczaj pod Blachę, aby pod gościnnym dachem księcia Józefa Poniatowskiego, powetować sobie przymus i nudę dworskiego ceremoniału. Pani jej, Henryeta Vauban, nie bywała u dworu, nie bywała w ogóle nigdzie, poprzestając na uprzywilejowaniem swem stanowisku w domu księcia, gdzie odgrywała od lat wielu rolę gospodyni. I teraz więc zaczęto na jej rozporządzenie oświecać salony, przysposabiając wszystko na przyjęcie gości. Patrzała z początku w milczeniu na te przygotowania, przytykając niekiedy do nozdrzy flakonik z rzeźwiącemi kroplami, które nosiła zawsze przy sobie z dawnego przyzwyczajenia. Zwolna jednak wrodzona żywość przemogła. Zerwała się więc z miejsca i dreptać poczęła tu i tam, robiąc uwagi służbie, w łamanej polszczyźnie, przyczem podnosiła często głos do wysokiego dyapazonu. Nie lubiana powszechnie w Warszawie, była jednak, doskonałą rządczynią i administratorką, dbałą niezmiennie o dobro swego księcia, którego drobne nawyknięcia znała jak nikt inny. Czem była dawniej dla niego, nie wiadano dokładnie, ona sama nie uchylała przed nikim zasłony, odrywającej jej przeszłość. Panie Warszawskie, które nie lubiąc jej, zazdrościły



jej potrosze, powoływały się chętnie mówiąc o niej, na dobre i litościwe serce księcia Józefa, który ofiarując jej gościnę w swym domu, chciał w delikatny sposób przyjąć z pomocą samotnej i wyzutej z mienia cudzoziemce.

W chwili, gdy książę poznał ją w Bruskelli, pani Vauban, wówczas już przeszło 30 letnia, oczarowała go swym wdziękiem i dystynkcyą. Należała wtedy do kategorii tak upowszechnionego na schyłku 18go wieku typu kobiet, które umiały wytwarzać sobie świetlaną aureolę, z urojonych swych czy rzeczywistych cierpień. Damy te rozstaczały dokoła siebie atmosferę, wywołującą objawy cichego i dyskretnego uwielbienia, w którem lubowała się subtelna ich nad wrażliwość. Na wpół leżące na miękkich kozetkach wytwornych swych buduarów, oblane płynącym z alabastrowych lamp przyćmionem światłem, które akcentowało silniej jeszcze interesującą ich bladość „słuchały z nawpół omdłym uśmiechem, westchnień i wynurzeń“.

Zaprzyjaźniona z siostrą księcia, panią Tyszkiewiczową, Henryeta Vauban przybyła wraz z nią do Warszawy, i pozostała tam odtąd, nawet po odjeździe swej przyjaciółki. Towarzystwo Warszawskie oswoiło się z czasem z pobytem jej pod Blachą, uważając takowy za zło konieczne, które przeszło w stan



chroniczny. Lata mijały, a chorowity wdziek, którym przykuła niegdyś do siebie księcia, znikł już bez śladu, mimo to stanowisko awanturniczej cudzoziemki w jego domu było zawsze równie silne, utrwalone długoletniem nawykniem i szczerą wzajemną życzliwością. Za to w stosunku do towarzystwa warszawskiego, musiała pani Vauban spuścić dużo z dawniejszych swych uroszczeń. Nie ubiegano się już o jej względy, nazywano ją owszem, bez ogródki, „niežnośną Francuzicą, zasuszoną jak gruszka“, mimo, że na wyrażne i bardzo stanowcze życzenie księcia, nie odmawiano jej oznak zewnętrznego szacunku. Ona nie wiele sobie robiła z tych niechęci, czując się w plecioną w codzienne życie uwielbianego powszechnie człowieka, bliżej i ściślej, niż niejedna z dam, z którymi łączono kolejno jego imię. Jedna tylko obawa, stała przed nią, jak widmo groźne. Książę mógł się ożenić. Wchodził właśnie w wiek, w którym mężczyzna ogląda się chętnie za ogniskiem rodzinnem. Krążyły też coraz uporczywsze pogłoski o serdecznych uczuciach jakie piękny ulubieniec kobiet, wzbudzić miał w dwudziestoletniej księżniczce Augustcie, jedynej córce króla i księcia warszawskiego. To też te niedzielne przyjęcia na zamku były dla zestarzałej przyjaciółki księcia źródłem tajemnego udręczenia.

Ogarnąwszy ostatnim rzutem oka oświe-  
tlone rzęsiście salony, powróciła pani Vau-  
ban do swego apartamentu, gdzie z pomocą  
Maryety przywdziewać zaczęła strój wieczo-  
rowy. Trzymana wogóle dość ostro, Maryeta  
pozwalała sobie na większą gadatliwość, po  
każdym powrocie z niedzielnych swych wy-  
cieczek na zamek, na co otrzymywała zre-  
szą milczące upoważnienie.

— Niema to, jak być królewną, paplała,  
układając suknie swej pani w jeden wielki  
fałd, idący od środka pleców do ziemi. Oto  
naprzykład nasza księżniczka Augusta, tań-  
cowała dziś więcej, niż wszystkie inne damy.  
Pan szambelan dyżurny spocił się nieborak,  
bo musiał wciąż biegać po sali, szukając dla  
niej coraz to nowych tancerzy.

— Elle a dû être fagotée comme toujours\*),  
szepnęła przez zęby Francuska, rzucając me-  
lancholijne wejrzenie w zwierciadło, odbija-  
jące jej znużoną, przygasłą niejako postać.  
I jakby dla przyniesienia sobie ulgi, wysu-  
nęła z pod sukni koniec bucika, przypatru-  
jąc się z uznaniem, małej zadziwiająco kształ-  
tnej nóżce, stanowiącej niegdyś przedmiot jej  
chluby, a dziś jedyny prawie wdzięk, przy-  
znawany jej bezspornie przez najzawziętsze  
nawet antagonistki. Maryeta, dość osłuchana

---

\*) Musiała źle być ubrana jak zawsze.

z francuską mową, zrozumiała niepochlebną uwagę o stroju księżniczki, co nie zmieniło jednak jej zapatrywań.

— Ale zawsze co królowna to królowna, powtórzyła z przekonaniem i każdy ma sobie za honor, gdy go do tańca weźmie. A nawet dziś pan Wężyk nie mógł się doczekać swej kolei, więc ją sam do mazurka zaprosił. Ona wstała jak gdyby nic i nawet się do niego uśmiechnęła, ale co było potem. Nasz książę kazał mu wyjść z balu zaraz po skończonym tańcu i mówią, że pan Wężyk siedzieć teraz będzie w kozie, jakby co złego zbroił. Szkoda go, taki ładny panicz, widziałam go sama jak szablę odpasywał w przedpokoju, przed pójściem na odwach.

Henryeta Vauban słuchała tego opowiadania z zsuniętymi brwiami. Wiedziała, że książę spełnił tylko swoją powinność, czyniąc zadość prawidłom dworskiej etykiety i dyscypliny wojskowej, a przecież drobne to zajście przybrało na chwilę w jej wyobraźni rozmiary klęski. Przebaczyła też w tej chwili w myśli pani Czosnowskiej jej olśniewającą świeżość i złote iskierki zapalające się w jej jasnych włosach i cały zmysłowy czar, jakim tchnęła ta bujna, cokolwiek ociężała piękność, którą ogłoszono niedawno królową sezonu. Postanowiła też być dla niej uprzedzająco grzeczną i zapraszać ją jak najczęściej pod

Blachę, gdzie miała i tak wstęp ułatwiony, jako siostra jednego z adjutantów księcia, zamieszkującego dolne apartamenta pałacyku.

— Elle a tout de meme des yeux de mouton\*)  
dodawala w myśli, obniżając z góry wartość rywalki, której sama zamierzała ułatwić drogę do owładnięcia na czas jakiś sercem księcia. To rozdawanie względów jego, wysuwanie na pierwszy plan jednych piękności kobiecych a usuwanie innych było teraz ulubionem zajęciem pani Vauban i stanowiła dla niej gorzką pociechę, odkąd sama darzona była tylko przyjaźnią. Rozmyślenia jej na ten temat przerwane zostały dyskretnem pukaniem, poczem Maryeta wręczyła jej na małej srebrnej tacy list, po który pani Vauban sięgnęła skwapliwie. Poznała natychmiast duże kształtne pismo, skreślone pewną męską ręką. „Zechciej pani, pisał książę, usprawiedliwić mnie przed gośćmi moimi, z powodu, że nie będę mógł podejmować ich osobiście, jakbym sobie tego życzył. Liczę na wyborny twój a tak dobrze mi znany dar towarzyski, który pozwoli ci usposobić ich tak, aby się czuli swobodnymi, nie zmieniając nic w programie, ułożonej zabawy. Gdyby zdrowie twoje droga przyjaciółko, zmusiło cię do wcześniejszego udania się na spoczynek, czarująca moja siostrzenica, wyręczy

---

\*) Ma bądź co bądź baranie oczy.

cię chętnie w robieniu honorów, co mi sama pięknymi usteczkami przyrzekła.“

Pani Vauban zamyśliła się nad treścią otrzymanego bileciku. Ton jego wydał się jej nieco za oschły, zwłaszcza w pierwszych wyrazach. Zwracano się do niej prawie jak do płatnej ochmistrzyni, a wrażenia tego nie zmieniał, użyty następnie zwrot „Droga przyjaciółko“. Było to tylko ozłocenie pigułki, bo od pewnego już czasu, wzmiankowana w liście czarująca siostrzenica (Anna z Tyszkiewiczów Potocka) stała się właściwą gospodynią zebrań pod Blachą i gwiazdą pierwszej wielkości, dokoła której skupiało się zbierające się tam towarzystwo.

Dziwnem też wydało się pani Vauban, to usunięcie się od zebrania księcia, który lubił ugaszczać przyjaciół i bawić się w ich towarzystwie. Nie było jednak czasu na snucie pod tym względem dalszych domysłów, bo już rozbawione grono gości zamkowych wkraçało pod Blachę. Damy strojne, w sukniach jedwabnych bez trenu, tak zwanych „robes rondes“ z tyłu przeważnie z fałdem. Fryzury nawpół greckie, ramiona odkryte, klejnoty i błyszczące silniejszym od nich ogniem oczy pełne życia, żądne hołdów i miłosnych upojeń. Młodzież męska przeważnie wojskowa. Mundur panował wówczas wszechwładnie w Warszawie i otwierał każdemu, kto go nosił

wstęp do najwykwintniejszych salonów. Tembardziej też wodzić musiał rej w domu ministra wojny i naczelnika siły zbrojnej, rozmiłowanego namiętnie w wojskowym swym zawodzie.

Wśród dam znajdowała się i pani Czosnowska, rozkoszna, jasnowłosa, leniwa i mięka w każdym poruszeniu. Towarzyszył jej nieodstępnie, jeden z najuporczywszych jej wielbicieli, Wielkopolanin Szołdrski, tolerowany zaledwie, gdyż nie odznaczał się niczem prócz bogactwa a nie nosił munduru, który mógłby mu dodać uroku w oczach dam. Znalazł się też natychmiast przy pani Czosnowskiej w chwili, gdy z atlasowych jej ramion zsunęła się lekka szuba futrzana, pokryta różowym brokatem i obramowana dookoła białym, jak śnieg łabędzim puszkciem, a złote włosy oswobodzone zostały od czapki z piórami, dopełniające stroju każdej z pań, bywających u dworu. Szołdrski ogarnął zachwyconym wzrokiem czarowną piękność, gdy ta wynurzywszy się z futrzanego okrycia, stała tak przed nim, cała jasna, w białej sukni, głęboko wyciętej, wyszytej dookoła gorsu i ramion w delikatny haft grecki.

Ona nie zwraca na niego uwagi mimo, że czuła na sobie ogień tych palących spojrzeń. Udała nawet, że nie dostrzega ofiarowanego sobie ramienia. Nie miała wcale ochoty wcho-



dzić na salony księcia w towarzystwie takiego sobie zwykłego pana w jaskrawym fraku, chociażby był milionerem.

Zaraz też podsunęło się ku niej kilku błyszczących oficerów, a wśród nich młodziutki Ludwik Kicki, adjutant księcia, którego przełożyła nad innych.

Tymczasem grupy gości rozsypały się po apartamentach, z poufałością ludzi bliskich i prawie zadomowionych pod tym gościnnym dachem.

— Co tu pięknych kobiet — mówił młody porucznik w ułańskim mundurze, powtarzając nawpół świadomie słowa wyrzeczone przez Napoleona w czasie pierwszej prezentacji dam na zamku warszawskim zaraz po wkroczeniu wojsk francuskich.

— Ale księcia niema, a dom bez gospodarza trąci zawsze chłodem i pustką, choćby był pełen gości, odparł jego towarzysz. Rozmawiający byli stryjecznymi braćmi. Jeden z nich, Roman Sawicki, służył już od pewnego czasu w polskiej dywizyi, dowodzonej przez księcia Poniatowskiego, drugi Tadeusz, zamierzał dopiero do niej wstąpić, przekradłszy się świeżo do Księstwa z za kordonu rosyjskiego. Był to piękny, wysmukły chłopak o marzących niebieskich oczach, któremi powłóczył w tej chwili po zgromadzeniu z wyrazem rozczarowania.

— Obaczysz go jutro — pocieszał brata porucznik i zostaniesz natychmiast przyjęty.

— Dzień każdy mi drogi, a przytem pali mnie ta moja odzież cywilna i wstydzę się poprostu pokazywać w niej na ulicach Warszawy.

— Bo też to rzecz niewygodna — zaśmiał się porucznik. Wyrostki uliczne uganniają się natrętnie za takimi spokojnymi obywatelami, sypiąc im jak z worka wcale udatne epigramy, a i nasze damy lekko ich sobie ważą.

— I mają słuszość, na honor, mają słuszość. Nie czas dziś chyba na spokojne obywatelstwo.

— Chwali ci się ten rycerski animusz, ale zanim zaciągniesz się w nasze szeregi, mógłbyś lepiej użyć dzisiejszego wieczora, zamiast trawić go na próżnych utyskiwaniach. Patrz proszę i podziwiaj, wszakże salon ten, to istny wirydarz najprzedniejszych piękności. Francuzi szaleją za niemi, każdy prawie oficer z korpusu marszałka Davoust, upatrzył sobie swoje bóstwo wśród naszych Warszawianek. Sam cesarz dał im pod tym względem przykład. Ty jeden stoisz wobec nich jakby cię z lodu wykowano.

— Wszak mówiłeś sam, że wasze damy nie patrzą na takich jak ja zwykłych śmiertelników.

— Patrzyć nie patrzą, ale przyjmują niekiedy ich hołdy. Widzisz tę śliczną blondynkę. Piękna jak posąg i jak posąg zimna, pozwala się jednak uwielbiać Szołdrskiemu, który prochu nie wahał i wahać go nie zamyśla.

Leniwa piękność siedziała przy jednym ze stolików, służących do gry w karty. Gra była dość wysoka, tak, że spore stosy złota przesuwwały się z rąk do rąk. Pani Czosnowska miała za partnera Szołdrskiego, który przegrywał do niej, z całą nieopatrnością zakochanego, wróżąc sobie zresztą innego rodzaju sukcesu z tych karcianych niepowodzeń.

— *Malheureux au jeu, heureux en amour*\*) powtarzał co moment, szukając potwierdzenia tych swoich nadziei w pięknych oczach swej partnerki. Piękność podnosiła wówczas na niego oczy te olbrzymie szafirowe, patrzące na świat z bezgranicznym, trochę sennym spokojem. Zgarniała przy tem niedbale białymi paluszkami dźwięczące sztuki złota, słuchając jednocześnie lekkomyślnych uwag i płochych grzeczności, jakie szeptali jej do ucha, stojący za krzesłem jej oficerowie. Prawdziwą jednak duszą zebrania, była pani Anna Potocka, piękna synowa Stanisława Kostki Potockiego, a siostrzenica księcia Józefa. Młoda hrabina, żywa, wrażliwa, inteli-

---

\*) Nieszczęśliwy w grze, szczęśliwy w miłości.

gentna, była zapaloną wielbicieleką Napoleona. Żyjąca w światłym otoczeniu, nabrała szerszych wyobrażeń, nie lubiła też błahej rozmowy o niczem, a świeży ognisty jej temperament kierował się chętnie do spraw natury ogólniejszej. Wkrótce też wpadła na ulubiony swój temat wysławiania na wszystkie tony, geniuszu cesarza Francuzów, obruszając się na kogoś co poważył się postawić obok niego imię Aleksandra I. cesarza Rosyi.

— I jakież może być porównanie między tymi dwoma ludźmi — wołała z uniesieniem; Napoleon, to człowiek naznaczony od Boga piętnem nadludzkiej prawie wyższości, podczas gdy tamten, wyniesiony na tron kaprysem urodzenia, nie ma w sobie żadnego majestatu, nic zgoła monarszego.

— Ci jednak, którzy go znają bliżej, zauważył ktoś, utrzymują, że młody car zdolny jest do wyższych poglądów i posiada wiele darów umysłowych.

— Nie dał na to żadnych dowodów, obstawała przy swoim hrabina. Już ja miałam sposobność dobrze mu się przyjrzeć, bośmy go gościli w Wilanowie, a mogę państwo upewnić, że nie pamiętam równie nudnej wizyty. Opięty w ciasny mundur, nie mógł biedak usiąść bo mu było niewygodnie, prócz tego ma przykrą manię mówienia tak cicho że go prawie dosłyszeć nie można. Wprowa-

dziło to nas w wielki kłopot, ponieważ etykieta nie pozwala zadawać mu żadnych pytań, a nie rozumiejąc co mówi, odpowiadano mu na ślepo z czego wynikać musiały dość zabawne nieporozumienia.

— Jak ci się podoba nasza siostrzenica? — spytał zcicha kuzyna porucznik Sawicki.

Nie wiem co oznacza ta aluzja — odparł tamten nieświadomy stosunków.

— Oznacza to, że pani Aneta Potocka jest ulubioną siostrzenicą naczelnego naszego wodza, ma więc tem samem prawo i do naszych afektów. Księżę ma dla niej ogromne względy i nie potrafiłby jej niczego odmówić...

Ale w tymże momencie, pani Aneta, jakby chcąc zadać kłam twierdzeniu, oświadczyła głośno:

— Prosiłam wówczas wuja mego, księcia Poniatowskiego, aby przyjechał i robił wraz z nami honory Wilanowa carowi, ale odmówił mi stanowczo. Nienawidzi on z głębi duszy dworu rosyjskiego, na którym noga jego nigdy nie powstała.

Słyszając te słowa, Tadeusz Sawicki spojrział na mówiącą z ciekawością i sympatją. Wydała mu się piękną, najpiękniejszą z dam zebranych na sali.

Była też rzeczywiście piękną, odziedziczywszy rodzinną urodę Poniatowskich, z

którymi spokrewnioną była przez matkę. Oczy czarne ogniste, o ciężkich powiekach, krucze włosy przy alabastrowej cerze, rysy, w których wdzięk niewieści kojarzył się szczęśliwie z utajonym ogniem namiętności, przedstawiały pewne rodzinne podobieństwo z rysami księcia. Ubierała się fantazyjnie, wzorując się często na starych portretach, a toalety jej zasługiwały na miano pomysłów artystycznych. Dziś miała na sobie suknię z czarnego aksamitu, wyszytą złotem i perłami. Kwiaty w czarnych puklach, a w ręku mały wachlarz, arcydzieło kunsztu i smaku, dopełniały całości jej stroju.

Patrząc na nią, Tadeusz Sawicki szukał w myśli przyczyny, dla której twarz ta budziła w nim tak żywy interes. Przyczynę tę znalazł niebawem, a wtedy gorąca fala rumieńca trysnęła mu na policzki i znikła wnet ustępując bladości. Cofnął się o krok i oparł o gzyms kominka, czując w sercu bolesne ściśnienie. Ten blask oczu i zapal dla bohatera wieku... Wiedział już teraz kogo mu przywiodły na pamięć. Była to historia całkiem romantyczna. Tadeusz Sawicki nie był z pewnością mniej odważnym od młodych swych rówieśników, a laury polskich żołnierzy, zdobyte pod sztandarami Napoleona, dawno już spędzały mu sen z powiek. A jednak długo nie mógł zdobyć się na krok sta-



nowczy. Ale bo też hart jego męskiej woli narażony był na ciężką próbę, skutkiem trudnej do pokonania pokusy, która trzymała go długo na uwięzi. Pokusa ta wcieliła się, jak łatwo się domyślić, w postać młodej i pięknej dziewczyny, zamieszkałej w malowniczej wiosce Wołyńskiej, sąsiadującej o miedzę z posiadłości jego ojca. Okoliczność w jakich poznał swoje bóstwo, nie były jednak banalne.

Dziewczyna ta zjawiła się na jego drodze nagle i olśniła go odrazu jak błyskawica, zniknąwszy mu potem z oczu w sposób prawie zagadkowy. Mimo, że była jego sąsiadką nie patrzył na nią od dzieciństwa, nie spotykał jej na jarmarkach, odpustach ani też w domach, sąsiadujących z nim ziemian. Za to pamiętał od dzieciństwa duży pretensjonalny dom, ochrzczony mianem pałacu, wznoszący się na wzgórzu tak, że widać go było dokładnie z tarasu domowego jego ogrodu. Pałac ów i otaczająca go rezydencya należała do jakiejś mitycznej szambelanowej, której zatarta pamięć zanikała już prawie w okolicy. Rezydencya stała pustkami i była już prawie ruiną. Pani szambelanowa nie zaglądała do niej nigdy i nikt nie wiedział nic bliższego o kolejach jej życia, ani też o rodzinnych jej stosunkach.— Wszechwiedzący tylko żyd, dzierżawiący kar-

czmę w opuszczonej majątności, wspomniał gdzieś komuś nawiasem o powtórnem małżeństwie szambelanowej, które miało być mezaliansem. Powtórnym ten małżonek miał być cudzoziemcem, Włochem czy też Francuzem i pełnił poprzednio w domu szambelanowej funkcję guwernera, czy też nawet kamerdynera. Okoliczność ta nie zdziwiła nikogo, bo wypadki takie zdarzały się wówczas często, nikt też nie interesował się zbyt mocno losami nieobecnej.

Sawicki zamyślał już wtedy o wstąpieniu do legionów, gromadził też skrycie środki, odkładając grosz do grosza, aby się przyzwyczaję wyekwipować. Prócz tego uprawiał się nieustannie w strzelaniu, szukając dla tych ćwiczeń miejsc ustronnych, oddalonych od rodzinnego jego dworu.

W czasie jednej z takich wycieczek zaskoczony pod wieczór burzą, wszedł do opuszczonego pałacu w przekonaniu, że jest nie zamieszkały. Zmorzony snem ułożył się w wielkiej sali wchodowej, umieściwszy sobie pod głową torbę myśliwską. Nie wiedział ile czasu przeciągnął się ten sen — ale przyniósł mu on niepowседневnie marzenia. Śniło mu się, że opuszczona sień wypełniła się naraz mdławym światłem i że snuły się po niej jakieś żyjące istoty. Słyszał niewyraźnie cichy stłumiony jęk i szelest sukni kobiecej. Uniósłszy

się trochę na posłaniu i przetarłszy oczy dłonią, przekonał się ze zdziwieniem, że widać jego nie jest sennem marzeniem lecz rzeczywistą dotykálną zjawą. A zjawą to była tak niezwykła i tak przedziwnie piękna, że wpatrzył się w nią z zapartym oddechem, tłumiąc okrzyk zdziwienia, wydzierający mu się z piersi.

Wprost naprzeciw niego stała powiewna postać kobieca, której cudna twarz oświecona była białawem światłem, płynącym z młecznej kuli, trzymanej w ręku przez dziwnie ubranego mężczyznę.

Postać to była dziewczęca, wysmukła, o kształtach nie zupełnie jeszcze rozwiniętych. Dwa olbrzymie czarne warkocze zwieszały się po obu stronach twarzy. Długie rzęsy spuszczonej oczu rzucały niezwykle silny cień na delikatne policzki, powleczone różanobiałą karnacją, zdradzającą najświeższy rozkwit pierwszej młodości. Małe ponsowe usta krwawiły się najczystszyin karminem. Musiała być chyba lunaticzką, bo miała oczy zamknięte postępując automatycznie za dziwnym swym przewodnikiem.

Sawicki wpatrywał by się jeszcze długo we wdzięczne zjawisko, gdyby nie to, że piękna dziewczyna wydała głuchy jęk, a jęk ten wydał mu się tak żałosnym, że skoczył

na równe nogi i rzucił się ku niej, gotów stanąć w jej obronie.

Ale ruch ten zdradził jego obecność. Wówczas mężczyzna trzymający mleczną kulę, zatrzymał się mierząc zdziwionym wzrokiem niespodzianego intruza, a piękna jego towarzyszka podniosła zwolna powieki i utkwiała w młodym człowieku oczy wielkie, czarne, przepaściste, przymglone nieco długimi rzęsami.— Zdało się też wówczas Sawickiemu, że twarz jej uległa nagłemu przeobrażeniu, że znikał z niej stopniowo, cechujący ją poprzednio wyraz głębokiego skupienia, ustępując miejsca swobodnej, trochę figlarniej pustocie dziewczęcej. Zwróciła się do swego towarzysza, przemawiając do niego kilka słów śpiewnych, w których po kilku dźwiękach pokrewnych z łaciną, rozpoznał Sawicki włoską mowę.

Świadomość ta stała się dla niego błyskiem objawienia. Przypomniawszy sobie wówczas całkiem dokładnie, że słyszał coś przed kilku dniami o powrocie do kraju pani szambelanowej. Zrozumiał też, że pałac, dotąd opuszczony, odzyskał właścicieli i że wtargnięcie jego samowolne, może być poczytywane za krok niedelikatny.

Nastąpiły wzajemne wyjaśnienia, a odebrały one wszelki tajemniczy charakter nocnej scenie, którą zresztą Sawicki sam gotów był prawie uważać za wytwór własnej

wyobraźni. A choćby nawet po głębszym namyśle dopatrył się w niej czegoś niezwykłego, nie wypadało mu zadawać niedyskretnych pytań. Dowiedział się, że pani szambelanowa powróciła istotnie do opuszczonej majątności w towarzystwie młodziutkiej swej córki i przyjaciela domu, na wpół lekarza, nawpół instruktora.

Sawicki zaprzyjaźnił się od tej chwili z rodziną rozbitków i odwiedzał ich często, starając się w miarę możliwości przychodzić im z pomocą w nędznem opuszczeniu, wśród którego żyli. Pani szambelanowa goniła widocznie resztkami mienia, a opustoszały pałac był jej ostatniem schronieniem. Nie widywał jej zresztą Sawicki prawie nigdy, gdyż dama ta, niegdyś jedna z pierwszorzędných elegantek na dworze Stanisława Augusta, stanowiąca dziś również opłakaną ruinę, jak jej pałac. Nie ukazywała się też prawie nigdy obcym przybyszom, spędzając całe dnie w swej sypialni, zasłoniętej starannie od światła dziennego, odżywając tylko niekiedy w nocy, aby wskrzesić na chwilę przy świetle lamp resztki dawnej elegancji. Sawicki rozmawiał z nią parę razy zaledwie i miał tylko sposobność stwierdzić zupełną jej obojętność na losy jedynaczki i chorobliwe zajęcie własną osobą. Za to przyboczny jej lekarz, Signor Orwi, zdawał się być bezgranicznie oddanym

matce i córce, pielęgnując bez znużenia jedną, kształcąc i rozwijając umysł drugiej.

Zwłaszcza młodziutka Paula zdawała się być przedmiotem namiętnego jego przywiązania. Nie przyznawał się wszakże do żadnego z nią pokrewieństwa, mianując się tylko starym przejacielem jej ojca. Signor Orwi był bardzo uczonym człowiekiem, a towarzystwo jego zaciekawiało Sawickiego tyle prawie, ile przyciągała go uroda ślicznej Pauli. Mimo że Włoch rodem, Signor Orwi znał wybornie Polskę, w której przebywał od młodości. Posiadał też mnóstwo języków, co właśnie nastroczyło Sawickiemu wygodną sposobność uczęszczania do pałacu, pod pretekstem brania od niego lekcji, za które płacił mu hojnie, z odłożonych na wyprawę do legionów pieniędzy.

Położenie takie przeciągnęło się przez całe lato i jesień, które minęły przyszłemu legionistcie, jak ustęp z wymarzonej bajki. Błądził całymi dniami w towarzystwie młodzieuchnej Pauli po olbrzymim parku, zarosłym i opuszczonym jak dziki las, lub ogród czarodziejski.

Paula, jak istna zaklęta królewna, nie miała prawa przekraczać granic parku i pod tym tylko warunkiem wolno jej było bawić się swobodnie w towarzystwie Sawickiego. Dziewczyna dojrzewała szybko a prócz nie-



pospolitej swej piękności, oddziaływała też potężnie na młodego swego przyjaciela urokiem zagadkowego pierwiastku, tkwiącego w jej naturze.

Mimo, że nieskłonny do analizy, zmuszony był niekiedy Sawicki, zastanawiać się nad sprzecznymi uczuciami, jakie budziły się w nim pod wpływem obcowania z nią. Były dnie, w których kochał się w niej prosto żywiołowo i był pewny jej wzajemności. Przenikał ją wówczas na wskroś, rozumiał bez słów każdą jej myśl, każde przelotne wrażenie.

Były to dobre, jasne chwile, a przyszłość, wypełniona tą miłością, przedstawiała mu się wówczas hieratycznie prostą i fatalistycznie nieodzowną. Rozumiał, że wkrótce już lada chwila, wypowie jej to, co czuje, a otrzymawszy z jej ust potwierdzenie tego co miał już i tak za pewnik, pospieszy spełnić obowiązek względem Ojczyzny a potem wróci do niej, jak do przeznaczenia swego. Były za to dnie inne, w których nikł nagle wszelki grunt porozumienia, pomiędzy nim a Paulą. Czuł, że w takich chwilach miłość jego ku niej słabnie, zmieniając się w rodzaj podziwu, zmieszanego z zaciekawieniem. Miał prawie dotykalnie wrażenie, że zamieszkuje w niej wtedy dusza inna, wyniosła,

niespokojna, wybiegająca daleko poza cichy zakres zwykłej miłosnej idylli.

Gdy raz zwierzył się z tego spostrzeżenia Signorowi Orwi, na wąskich wargach Włocha wykwitł tryumfujący uśmiech.

— Tak, tak — rzekł — stoimy często wobec niedocieczonych zagadek, których dochodzenie stanowi właściwą wartość życia i jedyny cel prawdziwie godny naszego trudu. Zjawisko, które dostrzegłeś w Pauli, odnaleźć można w każdym z nas jako przykład dwoistości duchowego pierwiastku, który w nas mieszka. Wydobyć jednego z tych pierwiastków i nadanie mu należytego rozwoju pchnąć nas może daleko w dziedzinie wiedzy i uchylić rąbka zasłony zawieszanej przed oczyma naszemi ręką wielkiego pana świata.

Prosta rzecz, że takie ogólnikowe wyjaśnienia nie zadawałniały wcale Sawickiego. Wiedział tylko, że bywały dnie, w których Paula stawiała się dla niego obojętniejszą, zmniejszając temsamem sumę szczęścia, jakiego doznawał w jej towarzystwie. Zauważył też, że dziewczyna była w dniach takich bledsza, a czarne jej oczy, podkrążone sinawą obwódką, miały wyraz daleki i jakby nieobecny. Wiedząc, że signor Orwi spędza z nią nieraz długie godziny w odosobnionym apartamencie, kształcząc ją w różnorodnych

gałęziach wiedzy, obwiniał nieraz w duchu starego Włocha o przeciążanie wątłej dziewczyny pracą, przechodzącą jej siły i zgoła zbyt dużą dla kobiety. Nie zdobył się jednak nigdy na żadną w tej mierze uwagę, gdyż uczony Włoch imponował mu rozległą wiedzą i niezmiernie gładkiem obejściem. Umiał też widocznie czytać w cudzych myślach, bo ilekroć jakie słówko niedyskretne wybiedz już miało na usta Sawickiego, signor Orwi zwracał natychmiast rozmowę na inny przedmiot, roztaczając przed zakochanym młodzieńcem tak ciekawe i oryginalne poglądy, że pod ich wpływem zapominał Sawicki o swych wątpliwościach, poddając się bez oporu urokowi chwili obecnej, wzmożonemu obecnością Pauli, która przysłuchiwała się zwykle tym rozmowom.

Stosunek pięknej dziewczyny do mistrza jej i wychowawcy był zresztą także dziwnie nierówny i niejako dwoisty. Pozornie odnosiła się do niego z zaufaniem i uległością, naturalną w młodej istocie, zaledwie wyszłej z dzieciństwa i nawykłej do posłuszeństwa. Niekiedy jednak role zmieniały się. Pupilka wyzwalala się z pod wpływu nauczyciela. — Ruchy jej stawały się wtedy niecierpliwe, oczy nabierały blasku, a cała jej istota zdawała się tchnąć nowem bujniejszym życiem. Signor Orwi patrzył jej wówczas w oczy z wy-

razem błagalnej i prawie niewolniczo pokornej prośby. Robił wtedy wrażenie człowieka, który, nagromadziwszy materiały palne dla założenia miny prochowej, starał się wszelkimi siłami powstrzymać przedwczesny jej wybuch.

Sawicki, śledząc raz przebieg takiej nie-mej sceny, usłyszał wybiegający z ust Włocha stłumiony okrzyk, który mógłby mu dać wiele do myślenia, gdyby się nad nim głębiej zastanowił.

„Cagliostro i Lorenza — szeptał z rodzajem ekstazy signor Orwi. Lorenza odrodzona, wspaniała, obdarzona zasobem stokroć bogatszym utajonych sił; żywa pochodnia rozświecająca drogę illuminatu.“

Sawicki nie zdał sobie na razie sprawy z całej doniosłości tego porównania. Imię Cagliostra nie wywołało w nim żadnych określonych wspomnień, bo jeżeli zasłyszał coś o losach słynnego włoskiego awanturnika, to wiadomości te były bardzo mgliste i niedokładne. Nie mógł też odgadnąć, że signor Orwi uważa się za następcę wielkiego Kofty i kontynuatora krzewionych przez niego tajemnic. Później dopiero, znacznie później, tajemnicze słowa, wyrzeczone wówczas przez Włocha, miały mu przyjść na pamięć, rzucając nagłe światło na wszystko, co mu było

wpierw niejasnem w tej pierwszej jego romantycznej przygodzie.

Rzecz cała urwała się zresztą równie nagle, jak się była rozpoczęła. Przyszedłszy dnia pewnego do pałacu z silnem postanowieniem wypowiedzenia wreszcie swych uczuć pięknej Pauli, nie znalazł już swych tajemnych przyjaciół. Napróżno błdził po opustoszałych pokojach, szukając jakiego śladu lub wskazówki. Signor Orwi, szambelanova i Paula, opuścili pałac równie cicho i bez rozgłosu, jak się w nim byli ukazali. — Powracał więc ze zwieszoną głową do domu w zimny i dżdżysty dzień jesienny, czując że w dniu tym zamknął się za nim bezpowrotnie powinien okres młodego jego życia. Wspomnienie to, zatarte już od roku prawie nowemi wrażeniami, rozbudziło się w nim niespodzianie z taką siłą, że zapomniał na chwilę o miejscu, gdzie się znajduje. Nie widział rzęsiстых światła i błyszczących posadzek, nie słyszał gwarnych, wesołych głosów, lecz czuł się naraz znów osnutym szarą melancholią tego mglistego poranku, w czasie którego postępując samotnie po szerokim błotnistym trakcie, oddalał się z ciężkim sercem od miejsc, w których poznał po raz pierwszy radość i ból kochania.

— Przebudź się, zbudź na Boga! — wołał mu nad uchem młody porucznik. — Pa-

nie raczą mu wybaczyć, to nowicyusz, rekrut nie nawykły jeszcze do służby.

Tadeusz podniósł głowę, jakby istotnie ze snu zbudzony, a wzrok jego spotkał kilka par pięknych oczu, patrzących na niego łaskawie, usłyszał też kilka dźwięcznych głosów, wyrażających jednomyślnie jakieś życzenie. Odzyskał szybko równowagę i skłonił się z niewymuszoną galanterią, usiłując zrozumieć, czego od niego żądano.

Chodziło tu, jak się okazało, o współudział jego w szeregu mimicznych scen, które zamierzano urządzić z okazji nadchodzących imienin ks. Józefa. Nieobecność gospodarza dawała wyborną sposobność urzędnika próby projektowanego przedstawienia. — Zabawy takie cieszyły się wziętością, a towarzystwo posiadało kilku uznanych mistrzów, a zwłaszcza mistrzyń ceremonii, celujących w układaniu żywych obrazów, szarad, niemych scen, wykonanych w obmyślanych starannie kostyumach, pozach „attitudach“. Nowy prąd ujawnił się nawet w tych zabawach, w których zaczęto odstępować od panujących dotąd wszechwładnie klasyczno-mitologicznych tematów.

Tym razem miała to być mieszanina stylów, złożona z grup różnoplemiennych, przybranych w charakterystyczne stroje narodowe. Hiszpanie, Włosi, Cyganie, Arabowie, Ka-

talończycy grupować się mieli w oddzielnych namiotach, spełniając kolejno powierzone sobie role. — Honorowe miejsce zachowano dla ulubionej zawsze sceneryi greckiej i do tej to ostaniej grupy otrzymał zaszczytne wezwanie Tadeusz Sawicki. Ujmująca jego powierzchowność nie uszła uwagi obecnych dam, a zwłaszcza tak wytrawnej organizator-ki, jaką bywała księżna wirtemberska.

— Oddasz nam pan nieoszacowaną usługę — mówiła — przyjmując na siebie rolę przodownika w chórze greckich młodzieńców. Będą oni składać ofiary w świątyni, która ustawioną zostanie w głębi sali, wraz z gromadą greckich kapłanek. Pośrodku zaś, siedząca na trójnogu Pythia, wróżyć będzie z zasłoniętą twarzą tym, którzy pragną dowiedzieć się czegoś o swojej przyszłości.

Ale tu pani Aneta Potocka wystąpiła z energicznym protestem. Organizowała ona na własną rękę namiot cygański i tam jedynie, zdaniem jej, było miejsce odpowiednie na wypowiedanie wróżb. Ułożyła już sobie cały program i zapowiadała z tajemniczą miną, że przygotuje w swoim namiocie niespodziankę, na jaką nie zdobędzie się żadna inna grupa.

— Będzie to pomysł oryginalny, pierwszorzędne. Une surprise de premier ordre\*), zapewniała obecnych.

---

\*) Niespodzianka pierwszorzędna.



— Sprowadzi więc pani chyba pannę Lenormand z Paryża — zauważył jeden z francuskich oficerów.

— Nie jest to w mojej mocy, skoro jednak tylko znajdę się w Paryżu, udam się natychmiast do tej słynnej prorokini. — Czy to prawda, że nie chce ona żadną miarą wróżyć przyszłości cesarzowi.

— On sam raczej unika zetknięcia z nią. Cesarz przesądnym jest jak prawdziwy Korsykanin i obawia się, aby niebaczenie uchyłona zasłona nie odwróciła go od wielkich celów, do których zmierza jego geniusz.

— Opowiadają sobie w Paryżu — rzekł tenże oficer francuski — że bardzo wiele już osób zgłaszało się do panny Lenormand, zapytując o przyszłość cesarza. Ona jednak nie opowiada nikomu nic stanowczego. Za każdym razem dziwna ta kobieta rozkłada podobno karty i wpatruje się w nie z natężeniem, a następnie miesza je na nowo i powtarza to wielokrotnie, szepcząc jakieś niezrozumiałe zaklęcia. Twarz jej przybiera wtedy wyraz ponury i żałosny, ale usta milczą nieubłaganie, tak, że nikt odgadnąć nie może, na jakich drogach ukazuje się jej w tajnikach czaru tak świetna dziś gwiazda Napoleona.

— Szatanka — mruknął jeden ze starych wiarusów — boi się powiedzieć za wie-

le lub za mało, aby nie utracić nabytej reputacyi.

— O nie! nikt nie może posądzić panny Lenormand o chciwość, lub chęć wyzyskiwania łatwowiernych. Wszystkie wróżby ogłoszone przez nią sprawdziły się co do joty. W przyjmowaniu zaś wynagrodzenia postępuje bardzo kapryśnie, nie biorąc go niekiedy wcale lub też odmawiając wszelkich wyjaśnień, znakomitym nawet osobom, któreby mogły jej hojnie zapłacić.

— Księżę Murat, przy którego boku służę, usłyszał od niej, że zginie od kuli, wpierw jednak uwieńczy czoło koroną.

Słowa te wymówił pan de Flahaut, adjutant Joachima Murata, wielki zjadacz serc niewieścich, mający pod tym względem ustaloną sławę, pomimo zaledwie dwudziestu paru lat życia, jakie liczył. Publiczną było tajemnicą, że ujarzmiły go w Warszawie piękne oczy pani Anny Potockiej, z powodu której poróżnił się ze swym wodzem, ubiegającym się także o jej względy. Pani Aneta tymczasem z właściwym sobie ogniem obstawała przy pierwszeństwie swego cygańskiego namiotu, który sam tylko posiadać powinien monopol na wróżby. Spór między dwoma damami ukończył się ostatecznie na drodze polubownej. Uchwalono, że grecka Pytya wróżyć będzie jawnie i niejako urzędowo, bez

żadnych ograniczeń, podczas gdy wróżka, utajona w namiocie cygańskim, przepowiadać miała przyszłość uprzywilejowanym tylko osobom. Ruszono wreszcie tłumnie do teatralnej sali, gdzie wstępowali kolejno na małą estradę, przedstawiciele przyszłych grup hiszpańskich, arabskich lub katalońskich. Dobierano się stosownie do rysów, charakteru, urody, stosownie także do wzajemnych uczuciowych komplikacji, jednocząc zakochane pary, lub też je rozłączając. Bawiono się w ten sposób nawpół naiwnie, nawpół sentymentalnie, bawiono się z czystym sumieniem, gdyż był to rok wyjątkowego spokoju, a z wszechwładnych ust Napoleona padło upoważnienie, równające się rozkazowi.

— Bawmy się, póki się bić nie możemy — wyrzekł cesarz do otoczenia swego w czasie pobytu swego w Warszawie, a słowa te przy swej pozornej dobroduszości, zawierać miały utajony balsam na rozczarowanie, jakiego doznali Polacy, skutkiem tylzyckiego traktatu, na słuszną obrazę, jaką stać się mógł dla nich sam tytuł miniaturowego Księstwa Warszawskiego.

— Bawcie się, a ja myśleć będę za was, bawcie się, zanim powołam was znów do czynu — dopowiadali komentatorowie, uzupełniający chętnie słowa cesarskie, w duchu własnych utajonych pragnień.

Rozbawił się też stopniowo i młody Sawicki, ulegając zaraźliwemu nastrojowi. Rozbawił się z fantazją i polotem, a po parogodzinym pobycie pod Blachą czuł się tu prawie równie swobodnym jak dawni bywalcy tych salonów. Poruszał się swobodnie, zawierał znajomości, rzucał trafne odpowiedzi i śmiałe dowcipne uwagi, cięte jak błysk polerowanej stali. Blask oczu, barwne stroje, subtelna woń upojnych perfum podziały na niego zwolna silniej prawie, niż musujące wino, które roznoszono obficie wraz z chłodzącymi napojami. To też gdy przyszła kolej jego wystąpienia na podniesioną platformę małej sceny, przejął się bez trudu włożoną na siebie rolę i nie spuścił wzroku przed spojrzeniem szafirowych oczu pani Czosnowskiej, wybranej obok niego na przodownicę greckiego chóru. Udrapowani na prędcie w białe chlamidy, stali na przedzie sceny, pochyleni ku sobie, stanowiąc zdaniem ogółu wybornie dobraną parą, zbliżającą się najbardziej do idealnego typu greckiej piękności. Zyskali też ogólny aplauz. Niektórzy szkicowali ich na prędcie na białych kartkach, wydartych z kieszonkowych karnetów.

Po chwili zauważył Tadeusz, że posągowe rysy pięknej pani Czosnowskiej ożywiły się nagle, przetwarzając ją w zdumiewający prawie sposób. Senne jej oczy zmąciły się na-

gle, pociemniały i trysnęły z nich niespodzianie jakieś migotliwe płomyki. Przegięta lekko w tył, podniosła nad głową białe, toczące ręce, w których stosownie do wyobrażanej przez się postaci, trzymała ofiarną amforę, a wzrok jej pobiegł w przestrzeń ponad głowami podziwiających ją widzów. Pociągnięty tem magnetycznem spojrzeniem zwrócił wzrok swój i Tadeusz w tymże co ona kierunku i odgadł natychmiast powód tego nagłego przeobrażenia. Na progu, we drzwiach otwartych, stał przybyły widocznie przed chwilą książęcy amfitryon wykwintnego tego zebrania. Stał taki, jakim widywać go miano później, a widywano już i wtedy na sztychach i portretach, zdobiących ściany każdego prawie polskiego domu. Świetny, rycerski, okazały w swym ułańskim mundurze ukazał się oczom Tadeusza, jak żywe uosobienie szlachetnej i pełnej wrodzonej dostojności męskiej urody. Bożyszcze jednych, przedmiot zawiści drugich, zapoznawany często a później tak długo, tak tęsknie wspominany i żalowany wódz polski, posiadał wrodzony dar zniewalania tych, którzy z nim bliżej obcowali. Wywierał zwłaszcza magiczny czar na młodzież, a czaru tego doznał też Tadeusz na sobie, ujrzawszy go po raz pierwszy. — Na widok tej rycerskiej postaci zagrały w duszy młodzieńca jakieś nuty bojowe, zama-

jaczyły młodzieńcze sny o sławie. Ogarnął go też jednocześnie rodzaj wstydu na myśl, że przedstawia się oczom przyszłego dowódcy w roli salonowego figuranta. Zeskoczył też bez namysłu ze swego wzniesienia a zrzucawszy z siebie z pewną pasją improwizowane greckie draperye, zmieszał się szybko z tłumem gości.

— Co ja tu u dyabła robię i poco dałem się namówić na tę jakowąś maskaradę? — myślał z niesmakiem.

Przybyły świeżo ze wsi, nie wytresowany w żadnej wielkoświatowej szkole, jaką stanowił naprzykład dla młodzieży ówczesnej dwór Puławski, nie odczuwał wcale artystycznego efektu tych kostyumowanych scen i obrazów, mimo, że obmyślane były i wykonane przez najwykwintniejszych przedstawicieli pięknego świata; uznał je owszem za rozrywkę płochą i dziecinną, dobrą może dla dam, lecz wcale niewłaściwą dla żołnierzy i bojowników, w których szeregu stanąć chciał jaknajprędzej.

Żadna z tych pięknych dam nie oczarowała go zresztą, bo i któraż z nich równać się mogła z cudną i tajemniczą dziewczyną, której pamięć zachował dotąd wiernie. Instynktem zakochanego przeczuwał, że znajdzie tu ją samą, lub przynajmniej jaką wieść o niej.



Signor Orwi dawał mu nieraz do zrozumienia, że zamierza otworzyć Pauli drogę do wielkich i znakomitych przeznaczeń, nie określając jednak bliżej, jaką właściwie ma być owa świetna przyszłość. Tadeusz lękał się i spodziewał, że usłyszy o niej coś niezwykłego. W tym czasie nietylko mężczyźni ale i kobiety robiły świetne i niespodziewane kariery — te ostatnie jednak najczęściej przez małżeństwo.

Tego właśnie lękał się Sawicki, a spodziewał się natychmiast, że uda mu się odnaleźć Paulę, zanim ta stanowcza zmiana oderwie ją od niego na zawsze. — Z tą niejasną nadzieją dał się namówić do stawienia się pod „Blachą“ zaraz po przybyciu do Warszawy, mimo, że należałoby mu raczej pomyśleć wpierw o załatwieniu swych osobistowojskowych spraw.

Tymczasem od chwili przybycia gospodarza, zapanował wśród zebrania wesoły popłoch. Zasunięto szybko kurtynę, mimo, że książę dawał ręką znaki, iż nie chce być przyczyną przerwy w tak pięknym widowisku. Zdwojone życie zakipiało w sali. W pewnej grupie dam zawrzała już cicha rywalizacja, potęgując jeszcze wrodzoną ich zalotność. Młodzież naradzała się cichaczem, zamysławiając o tańcach. Miano pod tym względem niejaki skrupuły, bo była to niedziela



ostatnia w karnawale, a dzisiejsza zabawa u dworu zamykała urzędowo erę tańców.

— Książę nie pozwoli — twierdzili jedni.

— I czemużby nie, będzie to przecie zabawa na małą skalę, une petit sautiere bien innocente.\*)

Ostatecznie postanowiono udać się pod protekcję pani Czosnowskiej. Liczono wiele, za wiele może, na znaną galanterię gospodarza dla pięknych dam. Ilość sukcesów, przypisywanych mu na tem polu przekraczała daleko istotną miarę, a mnogość tych lekkich wawrzynów, jakimi wyobraźnia tłumów przystrajała osobę księcia, zasłaniała długo przed oczyma współczesnych prawdziwą jego wartość i głębszą istotę duchowej jego fizjonomii. Byli i tacy, którzy radzili zwrócić się do pani Vauban.

Książę uchodził za człowieka zawojowanego w domu, w sprawach drobniejszej natury. Większość wszakże wołała polegać na pośrednictwie pani Czosnowskiej.

Piękność siedziała w pewnem odosobnieniu od reszty zebrania, przybrawszy jedną z tych niedbale rozkosznych póz, których sama tylko posiadała tajemnicę.

Usłyszawszy czego się po niej spodziewano, wyraziła absolutną wątpliwość, aby słowo jej mogło mieć jakie znaczenie.

---

\*) Całkiem niewinne poskakanie.

— Allons donc — rzekła — Czemuż nie zwróćcie się panowie raczej do pani Aleksandrowej, wszak ona to posiada klucz do serc i mieszkań książąt.

— To prawda — odrzekł ktoś — chociaż odsyła niektórych z nich do swojej teściowej.

Aluzya była złośliwa i w lot zrozumiana. Odnosiło się do anegdoty, opowiadanej sobie z czasów pobytu w Warszawie Joachima Murata, szwagra cesarskiego.

Ten nowo kreowany książę, zaufany w swą piękną, rycerską postawę i urok imienia francuskiego, będąc goszczony w domu Stanisława Potockiego, przestał pięknej jego synowej klucz od swych apartamentów, w mniemaniu, że składa jej w ten sposób hołd, który nie będzie odrzucony.

Młoda pani poleciła mu odpowiedzieć, że nie omieszka odesłać owego klucza swojej teściowej, dla której niewątpliwie był przeznaczony.

Dowcipna ta odprawa, dana zuchwałemu wojakowi, nie przyczyniła się do poprawienia i tak już oziębłych stosunków, między świekrą a synową.

Podróżując się nieco, pani Czosnowska zgodziła się wreszcie być rzeczniczką młodzieży.

Księżę, zawsze czuł na piękno, przystąpił do niej wkrótce, wypowiadając pod jej adresem parę komplementów z powodu jej ukazania się na estradzie.

— Mam prośbę do księcia — rzekła uroczą syrena, posyłając mu z pod spuszczonych powiek pełne obietnic spojrzenie.

— Jest już ona z góry spełniona — odparł bez wahania.

Pierwszy to raz dzisiaj ta pusta i lekka kobieta wydała mu się inną, jakby nagle ożywioną Galateą.

Ona także zrozumiała, że jej godzina nadeszła, a świadomość ta dodawała nieznanego dotąd wewnętrznego blasku zimnej jej posągowej urodzie.

— A więc sprawa wygrana — zawołało kilka wesołych głosów — kapela, zaraz skoczmy po kapelę.

— Jakto kapela! Przecież to już koniec karnawału, a przy tem co na to powie dwór?

— Nie dowie się, tam przecie idą spać z kurami. A zresztą ostatnie to może nasze zapusty.

Takiemi słowy żalili się młodzi oficerowie, należący do lekkokonnych pułków, których ostatnia półkompania opuścić miała wkrótce Warszawę.

Słowa ich podziały na serce księcia skuteczniej od pięknych oczu Zofii Czosnowskiej. Wielu bowiem z tych dzielnych zabawiało się może po raz ostatni na ziemi ojczystej, mając udać się w najkrótszym czasie daleką służbą do Francji.

Życzeniom ich stało się zadość i po jakimś czasie sprowadzona kapela uderzała już pierwsze takty „lansiera“, tańca świeżo skomponowanego na cześć ułanów. Posunęły w ów taniec pary wyborowe, oswojone już ze skomplikowanymi figurami. Pary te spletały się i rozpletały łańcuchem rąk, składając sobie z należyłą gracją, dworskie ukłony.

Reszta gości przypatrywała się z ciekawością tym popisom, byli i tacy, co nie mogąc brać udziału w nieznanym tańcu woleli opuścić zebranie. W tej liczbie znaleźli się i bracia Sawiccy. Wychodząc, spotkali się z osobą, która podobnie jak oni, usuwała się od hucznej zabawy. Była to Henryeta Vauban. Widziała ona dokładnie zalotne manewry pani Czosnowskiej i strzeliste wejrzenia, posłane przez nią wchodzącemu. Widziała następnie dwie piękne głowy pochylone ku sobie i elektryczne błyski oczu, gasnące na chwilę, aby zabłysnąć powtórnie. Wszystko to było jej dziełem, zdawna przygotowanem i działało się zgodnie z jej życzeniem, a prze-

cież nie miała ochoty patrzeć na dalszy rozwój, zainscenizowanej przez siebie miłosnej intrygi. Wyszedłszy raz poza obręb tej sali, gdzie nikt prawdopodobnie nie zauważył jej zniknięcia, odrzuciła dotychczasowy przymus i uśmiech przybrany i stała się tylko smutną, znużoną kobietą, mającą już za sobą wszystko, co stanowiło wartość życia. Uczucia te odbiły się wymownie na jej wyniszczonej twarzy, łagodząc chwilowo zwykły jej ostry wyraz.

— Kto jest ta kobieta — zapytał kuzyna Tadeusz, który oczywiście nie zauważył dotąd zwiędłej Francuski, zaćmionej doszczętnie świetnym bukietem świeżych piękności.

— Niegdyś faworyta księcia, a obecnie plaga jego domu, odparł niechętnie porucznik. Usunęli się obaj na stronę, chcąc unikać konieczności złożenia jej ukłonu. Przeszła też mimo nie dostrzegłszy ich, kierując się prawdopodobnie do swych apartamentów. Młodzi ludzie stali jeszcze chwilę, zamieniając kilka słów z paru oficerami, którzy wyszli tu dla ochłodzenia się. Przez uchylone drzwi dochodziła z dalszych salonów muzyka balowa, mięka i melodyjna, to znów przechodząca w rytmiczny takt marsza wojskowego. Słuchali jej czas jakiś, a gdy już mieli odejść, fertyczna Maryeta, przebiegła tuż obok, prawie ich potrącając. Mu-

siała widocznie spieszyć na czyjeś spotkanie, bo wkrótce ujrzeli ją znów, prowadzącą za sobą ciemno ubranego mężczyznę, którego ruchy wydały się odrazu znajome Tadeuszowi. Przypatrzwszy mu się bliżej, nie miał już wątpliwości, że ten spóźniony gość, nie jest kim innym, jak tajemniczym opiekunem pięknej Pauli. On to był Signor Orwi we własnej osobie, otulony w ciemną fantastyczną pelerynę, krojem zbliżoną do tych, które zwano wówczas talma od imienia słynnego aktora paryskiego.

— I cóżeś się tak zapatrzył? — pytał porucznik. — Czy ci tak do serca przypadły, pół wiekowe już przeszło wdzięki pani Vauban?

— Nie, nie, ale ten człowiek, ten spóźniony gość, skąd się tu wziął i do kogo przychodzi?

— A chyba do Francuski, skoro poszedł za jej garderobianą. Jest to lekarz signor Dottore, jak go tu nazywają. Trzeba ci wiedzieć, że madame jest niesłychanie kapryśna, grymaśna, mdlejąca spazmatyczka. Wyprawiała podobno dawniej komedye, udając wciąż chorą, a księżę i siostra jego brali to za dobrą monetę i troszczyli się o nią szafując na jej kuracyę. Dziś baba pomiarkowała, że jej z tem nie do twarzy, ale nosi się jeszcze ze swem delikatnem zdrowiem,

choć powiadają, że zamknąwszy się w swoim pokoju, potrafi jeść za trzech. Ona tu jest niby gospodynią, ale Boże uchroni co to za gospodarowanie. Skubie księcia jak może, a potem pożycza mu własne jego pieniądze na wysoki procent.

Ta ostra filipika, wymierzona przeciw znienawidzonej cudzoziemce, była echem ogólnego względem niej nastroju opinii. Wygłosił ją porucznik Sawicki, już po opuszczeniu przedsionka pałacowego, postępując wraz z krewnym swym drogą, idącą od zamku ku Wiśle. Noc była gwiaździsta, wyiskrzona i obaj młodzi ludzie, pochłonięci rozmową, nie spostrzegli, że minąwszy wąską o dwóch oknach kamieniczkę, w której mieściło się skromne ich mieszkanie, znaleźli się dość daleko po za nią. Zawrócili więc a w drodze powrotnej spotykali karoce i karyolki, odwożące gości powracających z pod Blachy. W oknie jednej z nich, mignęła im blada o suchym profilu twarz signora Orwi. Drugie to spotkanie ułożyło się dla Tadeusza jeszcze pomyślniej niż pierwsze, gdyż karyolka wioząca zagadkowego Włocha, zatrzymała się zaledwie o kilkanaście kroków od miejsca, gdzie się znajdowali. Zatrzymała się przed małym domkiem, uwieńczonym facyatką, a odgrodzonym od ulicy żelaznymi sztachetami. Tadeusz ścisnął za rękę kuzyna, wstrzy-



mując go gestem. Stanęli obaj i widzieli, jak signor Orwi wysiadł z karyolki i wszedł do ogrodu okalającego domek, otworzywszy sobie własnym kluczem wchodową furtkę. Przez okna nie przedzierało się żadne światło, okiennice były szczelnie pozamykane. Włoch świecił sobie latarką i znikł w końcu na krańcach ścieszki, okrążającej budynek.

— Czy poznałbyś to miejsce w biały dzień? — zapytał kuzyna Tadeusz, który jako świeży przybysz nie oryentował się jeszcze dość jasno w ulicach Warszawy, czy trafiłbyś tu bez trudności?

— Ależ oczywiście, znam doskonale całą tę dzielnicę naszego miasta, bo przechodzę tu codzień prawie, idąc do koszar.

— Ale ten dom, ten niski domek ogrodzony sztachetami?

— Jest on częścią sporej posessyi, ciągnący się daleko w głąb, aż w stronę zamku. Ale co ci właściwie zależy na tej wiadomości?

— Chciałbym wiedzieć, chciałbym koniecznie wiedzieć kto tu mieszka.

— Niejeden zapewne, chociaż prawdę mówiąc ten dom... Tu porucznik urwał nagle a tak raptownie, iż Tadeusz mógł się od razu domyślić, iż poruszył kwestyę, której wyjaśnienie równałoby się niedyskrecyi. Mimo to ponowił pytanie.

— Ten dom, powtórzył porucznik, a raczej jego lokatorowie, to rzecz o której dowiesz się prędzej lub później, skoro tylko wstąpisz do naszej dywizyi. Bo każdy prawie z nas, wojskowych, uzyskać tu może wstęp w pewnych warunkach.

— A warunki te?

— O nich właśnie nie wolno mi teraz mówić, zakończył porucznik, a i Tadeusz nie nalegał dłużej. Powziął on już na prędce plan, odszukania tu zaraz nazajutrz starego Orwiego, a za jego pośrednictwem Pauli. Wierzył, że mu się to uda i nie chciał wiązać się żadnymi przedwczesnymi zobowiązaniami wobec kuzyna. Z jego niedomówionych słów, domyślał się, że domek musi być miejscem zbornem jakiego kółka, może klubu oficerskiego, do którego i on wciągniętym będzie w przyszłości.

Wolał jednak wpierw zrobić na własną rękę dyplomatyczny rekonesans. Słyszał wiele jeszcze w domu o płochości, panującej w Warszawie, zwłaszcza wśród wojska, zaniepokoiła go też wzmianka porucznika o małym domku, w związku z bytnością w nim signora Orwi.

Przypominał jednak dla dodania sobie otuchy, jak wysoko stawiał stary Włoch wartość swej pupilki, jak górne żywił dla niej ambicye. Trudno też było przypuszczać, aby

ograniczył je do zrobienia z niej muzy zwykłego oficerskiego klubu, z niej, która zaczęłaby bez trudności wszystkie głośnie piękności, jakie Tadeusz oglądał dziś pod Blachą. — Tam zabawa dobiegała już do końca. Szary świt zaglądał do okien, gdy umilkły ostatnie dźwięki kapeli. Damy rozjeżdżały się w popłochu, nie chcąc, aby wiadano u dworu o udziale ich w tej na wpół niedozwolonej zabawie tanecznej. Wiele z nich zniknęło już poprzednio, nie chcąc wystawiać na ogniową próbę dziennych refleksów, wdzięków, jaśniejących jeszcze pierwszorzędnym blaskiem w świetle kinkietów. — Pozostało tylko kilka bliżej i poufalej tu zadomowionych, a przytem pewniejszych siebie i władzy swej nad sercami sztabowych oficerów. Grono to nie myślało o spoczynku. Jaśniała wśród niego świeża jak poranek pani Czosnowska, która, zamiast powrócić do mieszkania swego na Podwalu, zgodziła się wziąć udział w śniadaniu, wyprawionem na jej cześć przez młodych adjutantów. Narzuciwszy więc naprędce futrzane okrycie, spłynęła po schodach, prowadzących do dolnych apartamentów, zawsze otoczona swą świtą. Książe Józef odprowadził ją wzrokiem, stojąc u góry schodów, a potem zawrócił do swego gabinetu. Od pewnego czasu kusicielka stawała wciąż na jego drodze. Spotykał ją nietylko

na zebraniach towarzyskich, ale i u siebie w domowym zaciszu, o ile dom jego zastąpić mógł na to miano, w krótkich i rzadkich momentach, w których nie był przepelniony gośćmi. — Henryeta Vauban zapalała od pewnego czasu niezwykłą przyjaźnią dla czarownej królowej sezonu, a księżę bywał nieraz świadkiem wybuchów sztucznego wyłania, jakich nie skąpiły sobie obie kobiety. Piękna pani Zofia snuła się często po jego salonach.

W tym czasie każde spotkanie z uroczą syreną, napełniało księcia drażniącym niepokojem, którego nie umiał opanować. Naturę tego niepokoju rozumiał nazbyt dobrze, ale miał silne postanowienie nie folgowania sobie w tej mierze. — Nie były to już osławione czasy pruskie, w których chodziło mu już tylko o to, aby zepchnąć dzień za dniem, urozmaicając bodaj szalonym wybrykiem nużącą, jednostajną szarżyznę. — Po ośmioletniej przerwie, w czasie której umilkły w nim, niejako zawieszone wszystkie tętna szerszych pożądań, odetchnął nareszcie pełną piersią. — Powierzono mu zadanie, które nie tylko odpowiadało jego męskim ambicyom, ale było mu jeszcze nad wyraz drogie. Wojsko polskie liczne, doborowe, wybornie wyekwipowane, to wojsko, o którym marzył napróżno, gdy przed kilkunastu laty

rzecony z małym korpusem na krańcach Rzeczypospolitej, salwować miał całość ojczyzny, a salwował zaledwie jej honor. Wojsko to powstawało dziś w jego oczach, rosło, olbrzymiało, wypełniało imieniem swoim Europę. Najmężniejsze z mężnych, najrycerniejsze z rycernych, dokazywało cudów poza granicami kraju i stało ostro na straży małego skrawka własnej ziemi, zwróconej nieszczołą ręką zdobywcy. Księżę Józef od niedawna dopiero otrzymał naczelne dowództwo. Od niedawna dopiero francuscy marszałkowie przestali rządzić się w Warszawie jak u siebie i wybierać z małego, wyczerpanego księstwa, niewyczerpaną daninę złota i mienia. Tem większa ciążyła na nim odpowiedzialność. Wiedział zresztą, że dziś oczy całego kraju są na niego zwrócone. A nie były to tylko przychylnie lub entuzjastyczne spojrzenia, z jakimi spotykał się codziennie, mustrując na Saskim placu wyborowe swoje szeregi. Z daleka, z głębi kraju patrzyły na niego oczy inne, zawistne, złe, podejrzliwe, podsuwające mu wciąż intencje dwuznaczne, obwiniające o niedołęstwo lub o zdradę. — Brutalny eks-jakobin Zajączek, ten istny kondotier nowożytny pienił się wprost z wściekłości, na myśl, że musi ulegać „książątku“, jak nazywać zwykł naczelnego wodza. — A i stary lew Dąbrowski pomrukiwał z niedowie-

rzaniem, widząc go na tak wysokim stanowisku.

Ksiązę wiedział o tych niechęciach i nie trwożyły go one. Wiedział, że przyjdzie czas, w którym przekonać potrafi najoporniejszych, że nie zawiódł położonego w sobie zaufania. Ale chciał być w zgodzie sam z sobą. Pokusa choćby przybrała na siebie postać stokroć ponętniejszą jeszcze od tej, w jakiej go nawiedziła, winna była dziś być wyrzuconą po za nawias jego życia.

Pochylony nad biurkiem, odczytywał raporta, przeglądał plany, kreśląc uwagi na marginesach, kładąc niekiedy decydujący swój podpis, kreślony pięknem, czytelnem pismem.

Mnogość spraw domagała się jego decyzji. Program i regulamin założonych przez niego szkół wojskowych, plany budującej się właśnie twierdzy w Modlinie, fabryki broni, sprawy popisowe, nowy regulamin dla wojska, przyjęty od armii francuskiej.

Ksiązę pracował pilnie, a gdy odkładał pióro, do uszu jego dochodziły płynące z domu przytłumione echa wesołych śmiechów i wiwatów.

Skończył wreszcie, a wezwawszy adjutanta polecił mu doręczyć niektóre papiery szefowi biura.



Powstał wówczas i zawahał się chwilę, ale wahanie to było krótkie. Nadchodziła już godzina, w której młode, niewyćwiczone jeszcze wojsko gromadziło się na placu Saskim, dla codziennej mustry. Ćwiczeniami temi kierował często książę osobiście, a nigdy nie czuł się tak w swoim żywiole. Sam doświadczony żołnierz i jeździec wyśmienity oceniał w lot zarówno talenta, jak i braki swych podkomendnych.

Kierował umiejętnie, wydobywając na jaw zalety, prostując braki, bez cienia brutalności, a trudno było wymarzyć sobie serdeczniejszego i piękniejszego stosunku, niż ten, który go łączył z bezpośrednio mu podwładnym korpusem.

Osobliwszymi względami obdarzał starszych wiarusów, którzy służyli wpierw w legionach, a przenieśli się teraz do jego dywizyi. Po skończonej mustrze, zabierał często po kilku do siebie pod Blachę, sadzał ich przy swym stole i częstował obiadem, nie zważając na fochy pani Vauban, która nie schodziła do stołu lub też chorowała na nerwy. Słuchał wtedy długimi godzinami homerycznych ich opowiadań, słuchał w milczeniu przejmujących epizodów wspaniałego dramatu dziejowego, w którym nie brał do tąd bezpośredniego udziału.

Piękna twarz jego powlekała się wówczas chmurną zadumą, a oczy płonęły tajemniczym ogniem. Być może, przed oczyma temi stawała już tedy wizya przyszłości, przeczuwał może już wtedy, że jemu to właśnie przyjdzie uderzyć w tej krwawej, bohaterskiej symfonii, w ostatni, tragiczny, najpotężniejszy może akord.

Narazie postawiony na czele siły zbrojnej w małej, odzyskanej części ojczyzny, nie miał dotąd sposobności odnowić dawnej sławy, która zabłysła mu niegdyś efemerycznie w pierwszych dniach wystąpienia jego na arenie publicznej, nie miał czem zamknąć ust niechętnym. Oddany czynnościom organizacyjnym, zakładał szkoły wojskowe (dwie w samej Warszawie utrzymywane przeważnie własnym kosztem), tworzył fabryki broni i budował fortece.

Ale prawdziwem dla niego wytchnieniem, w które wkładał całą swą duszę i fantazję rycerską, były te momenta, które spędzał z żołnierzami swymi na placu ćwiczeń. Nie były to bezduszne ćwiczenia, robiące z wojska automatyczną maszynę, spełniającą ślepo wydane rozkazy. To wojsko polskie wraz ze swym wodzem, dzielnym i pięknym, jak królewicz z bajki, a noszącym w duszy swej skomplikowane pierwiastki dawnego rycerza i przyszłego romantyka, stanowiło

żywy organizm, którego nerw każdy drgał żądzą sławy i czynów bohaterskich. Nie dostrzegłeś tu posępnych, zachmurzonych twarzy, świadczących o spełnianym z przymusu obowiązku.

Ta dzielna, sprawna młodzież, pojmowała w lot nowe dla siebie obroty, przeciężała trudności i ze świeżego rekruta przetwarzała się szybko w doborową armię, dotrzymującą kroku wypróbowanym w ogniu napoleońskim gwardzistom. Patrząc na tę cudowną prawie przemianę i być do pewnego stopnia jej sprawcą, było prawdziwą rozkoszą dla rycerskiego serca księcia. Kochał też swoją armię, pieścił się z nią niejako, pobrażał nawet za wiele, jak twierdzili niektórzy członkowie rady stanu, sarkający po cichu na przewagę żywiołu wojskowego, zaćmiewającego zewnętrzną swą świetnością osoby i ich prace, związane z cywilno-administracyjnym zarządem.

Za to Warszawa kochała swych obrońców i pyszniła się nimi. I dziś też, skoro tylko świetne ich barwne hufce konne i piesze płynąć zaczęły z różnych dzielnic miasta dla udania się na zwykły punkt zborny, ludzie gromadzili się wszędzie na przejściu, chcąc nasycić oczy ich widokiem.

Wszystkie okna zatłoczone były głowami kobiecemi. Przechodnie zatrzymywali się, a

z ust do ust podawano sobie jedno słowo, niby hasło porozumienia: „Nasi! Patrzcie tylko, to nasi.“ I ten jeden magiczny wyraz rozpromieniał twarze, spletał w bratnim uścisku dłonie obcych, nieznanym sobie ludzi.

Chłopcy nawet uliczni, szalejąc z zachwytem, wyprawiali karkołomne harce przed końmi żołnierzy, gwizdząc przenikliwie „Mazurka“ Dąbrowskiego, lub też uskokczywszy na chodnik, zwijali ręce przy ustach i rzucali w ucho przechodzącym dziewczętom słowa znanej piosenki:

„Ułany! ulany malowane dzieci  
Niejedna panienka za wami poleci.  
Niejedna panienka i niejedna wdowa,  
Za wami, ulany, polecieć gotowa.“

Czasem znów, przeciągnawszy komicznie twarze i strojąc sztuczne zafrasowane miny, śpiewali żałośnie:

„Dziewczyna konała,  
U księdza pytała,  
Czy na tamtym świecie  
Są ulani przecie.“

Rozgrzane ciepłem tej rodzimej atmosfery, płynęły pulki jedne po drugich, baczne na każdy ruch swój, na dzielność postawy, dbałe o nie z pewnością niemniej, jak na najparadniejszych rewiach cesarskich. Serca ludu i wojska były jednakiem tętnem, zaciera-

ła się granica między widownią a sceną. Bo też aktorzy ci wyszli z tego samego tłumu, który przyglądał się rycerskim ich obrotom, byli mu bliscy wiarą, rodem, czuciem, byli bliscy i swoi. A wódz ich, wódz naczelny jechał w otoczeniu swego sztabu, ogarniając od czasu do czasu wzrokiem to miasto, — droższe mu nad wszelkie stolice świata.

Księżę kochał od lat najmłodszych Warszawę szczególnem, wyjątkowem przywiązaniem. Do niej wydierał się z ponurego domu matki, ziemczalej, czeskiej arystokratki, która nie umiała go nigdy odczuć, ani do siebie przywiązać. Tu uparł się zostać po nieszczeniach krajowych, aż dopóki nie wypłoszyły go intrygi Targowiczan, dla których obecność jego była solą w oku i głośnym wyrzutem.

Tu wreszcie przetrwał ośmioletni, odrętwiały swój sen, z którego rozbudził go dopiero szum orłów napoleońskich. Dziś czuł się już tak zrośnięty z życiem polskiej stolicy, że nie potrafiłby istnieć gdzieindziej. — Kochał ulice jej, domy, gmachy i piękny widok, odsłaniający się z tarasu zamkowego i żółte, piaszczyste łąchy, biegnące wzdłuż brzegów Wisły. Kochał też ludzi w niej zamieszkałych, począwszy od tych, którzy stanowili jego otoczenie aż do starego żebraka,

lub małej kwieciarki, którą obdarzał datkiem i uśmiechem w zamian za ofiarowaną sobie wiązanek wiosennych kwiatów.

Wojsko polskie i Warszawa, te dwa jego serdeczne umiłowania, były zresztą tylko składowymi czynnikami wielkiej i wysoko pojętej miłości ojczyzny, której był wiernym synem, mimo nawpół cudzoziemskiego wychowania. Ani wychowanie to, ani młodość spędzona na obczyźnie, nie zdołały go pozbawić najistotniejszych cech narodowych, mimo, że przypruszyły jego rdzennie polską duszę obcemi naleciałościami, zaczerpniętymi z prądów, jakie narzucała współczesna kultura tak zwanego wieku oświecenia.

Mustrował więc książkę na placu Saskim polskie szeregi w pogodny dzień marcowy. Migotały w słońcu złociste szlify i hafty mundurów, lśniły w jasnych promieniach wysmukłe lance ułańskie. Lekkie konne plutony przelatywały jak wichry, zwijając się to rozwijając w udanych natarciach, wiosenna radość życia rozpierała piersi i wypełniała obojętne serca.

A w tymże czasie, w opustoszałych salonach pałacyku pod Blachą, snuła się znów szczupła, wydłużona postać kobieca. Spotykała tam co krok ślady wczorajszej zabawy, tu zwiędły kwiat, ówdzie strzępek urwanej falbanki lub wstążki. Obchodziła wszystkie



kąty, przestrzegając przywrócenia wszędzie należytego porządku.

W ten sposób doszła do małego saloniku, przytykającego do sypialni księcia, gdzie w grupie kwitnących wazonów, przywożonych tu codziennie z sąsiedniej Jabłonny, znalazła niespodzianie mały wachlarz kobiecy. Poznała go natychmiast i oglądać zaczęła podejrziwie.

— Powinnam się była tego spodziewać — szepnęła nie tając rozjątrzenia. — Chcą się tu więc bezemnie obejść.

Przeczytała kilka razy słowa wypisane na wachlarzu, a twarz jej spochmurniała bardziej jeszcze. Zwijała, to rozwijała wachlarz, namyślając się, jak ma z nim postąpić. Wyjęła wreszcie z niedostępnego „retikulu“ mały kieszonkowy notatnik i zapisała w nim w dosłownem brzmieniu strzeliste wyznania, skreślone na kostkach z kości słoniowej spojonych brukselską koronką.

Wyznanie to brzmiało krótko, lecz wymownie. „Czekam wciąż, czekam codziennie u siebie.“

— Nie, nie moja piękna — szepnęła zaciskając wargi Henryeta Vauban. — Dokażesz tyle tylko, ile ja zechcę i wtedy kiedy ja zechcę, nie więcej i nie wpierw.

Wyrzekłszy te słowa, zwilżyła chusteczkę i wytarła nią starannie listki wachlarza,

niweczając gruntownie miłosną apostrofę, na którą pozwoliła sobie piękna syrena, bez jej wiedzy i poza jej plecami.

Owinęła następnie starannie wachlarz i poleciła odnieść go niezwłocznie pani Czośnowskiej, do jej mieszkania na Podwalu.

— Mógłby się wziąć na te romansowe sposoby — westchnęła, powracając do swego pokoju, bo w gruncie rzeczy jest wciąż jeszcze tak uczuciowy, jak w pierwszych chwilach naszego spotkania, a przytem tak młody jeszcze, *helas toujours jeune*\*). Siedziała czas jakiś z twarzą opartą na rękach, aż jakaś myśl szczęśliwa przyszła jej widocznie, bo ożywiła się nagle, a na ustach jej wykwitł rodzaj uśmiechu.


— Tak, tak — postanowiła w duchu — napiszę dziś jeszcze. Trzeba wczesnie pomyśleć, aby wrażliwa jego dusza, znalazła we właściwym czasie przeciwdziałanie, *un puis sant contre poid*\*\*). Rozwinęła więc przed sobą spory arkusz żółtawego papieru i nakreśliła na nim u góry uroczysty, początkowy tytuł:

Do brata S. O. Iluminata rządzącego i kawalera Wschođu, podług Siódmego Stopnia rytu szkockiego.

---

\*) Niestety, wciąż jeszcze młody.

\*\*) Potężną przeciwwagę.

„Miły bracie — pisała dalej — zachciej wprowadzić do domu tego tak górnie obdarowaną córkę i siostrę twoją, abym oglądać ją mogła doczesnemi oczyma mojemi i przyczynić się do przyszłej jej świetności, jakoteż do większego jeszcze znaczenia sprawiedliwej i doskonałej  . . . (łoży naszej). Zaklinam cię o to w imieniu osieroconej, a wspólnie nam matką będącej W d o w y, której oboje dziećmi jesteśmy. Przeto ufam, że prośbie mojej nie odmówisz i pozostaję jako życzliwa zawsze i miłująca siostra i mistrzyni III. stopnia“ Henryeta.

Ukończywszy kabalistyczne to pisanie, pani Vauban siedziała czas jakiś zadumana, nie spiesząc z wyprawieniem szczególnego tego listu. Niechętnie i w rzadkich tylko wypadkach uciekała się pod opiekę tajemniczego bractwa, którego członkiem została jeszcze w młodości, nie zdając sobie sprawy z właściwych jego celów i zadań. Stopniowo dopiero zaczęła oryentować się w rozmaitych jego rozgałęzieniach i doszła sama do wyższych i zaufanych stopni w łóżach masonskich.

Te związki swoje postanowiła teraz wykorzystać dla osobistych swych celów, a raczej oddać je na usługi pożerającej ją skry-

cie zazdrości i żądzę wpływania chociażby pośrednio na uczucia i losy człowieka, na którego życie natrętna jej opieka kładła już i tak szkodliwy cień. Nienawidziła w gruncie tych wszystkich pięknych dam, które przesuwwały się przez salony księcia, nie wyjmując tych, których mieniła się przyjaciółką. Dziś nadarzała się jej nowa sposobność, zasachowania ich światowych powodzeń.

Od niejakiegoś już czasu krążyły wśród towarzystwa warszawskiego pogłoski o przybyciu do stolicy tajemniczego mędrca magnetyzera, czy też wróżbity, który zajmować się miał krzewieniem wielce ciekawych tajemnic, nie znanych jeszcze polskiej masonii. W czasie seansów swych, które odbywał w jednej z łóż tak zwanej „dependencyi zagranicznej“, których nie brakło wówczas w Warszawie, posługiwać się miał pomocą młodej, zdumiewająco pięknej, jasnowidzącej dziewczyny, która zadziwiała nielicznych świadków tych produkcji trafnością swych odpowiedzi. Opowiadano o niej, że przewyższy z pewnością wkrótce słynną pannę Lenormand.

Pogłoski te doszły też do uszu pani Vauban i zaciekały ją, jak innych. Przesądna jak wszyscy, co utraciwszy prawdziwą wiarę, szukają oparcia w zabobonnych praktykach, wierzyła w przepowiednie, wróżby, kabały i uciekała się do nich często, szukając

w nich złudnej pociechy. Wierzyła skrycie w cudowne działanie upiększających balsamów i powracających młodość eliksirów; roiła nawet niekiedy, że za ich pomocą odzyska dawną nad księciem przewagę, a kto wie, potrafi może nawet stać się rzeczywistą panią tego domu, w którym czuła się dziś ledwie tolerowaną.

Z drugiej strony praktyczny jej umysł ocenił odrazu korzyści, jakieby mogła wyciągnąć z pozyskania sobie tajemniczej jasnowidzącej, o której opowiadano sobie cuda mimo, że niewielu tylko miało sposobność oglądać ją i to z daleka i niedokładnie. Postanowiła poznać ją sama, ocenić jej wartość, a w razie potrzeby użyć jako narzędzia w jednej z niezliczonych intryg, których snucie było dziś najulubieńszem jej zajęciem.

Powziąwszy to postanowienie nie mogła się jednak wstrzymać od smutnych refleksyi, które nasuwały się jej zwykle przy każdym podobnym eksperymencie.

— Więc już nic dla mnie, nic dla mnie — jęknęła z cicha, — Mamże więc już do końca rozpalać tylko na drodze jego coraz to nowe płomienie i patrzeć bezsilnie, jak popieleją w nich wszystkie moje nadzieje i wspomnienia przeszłości!

---

## ROZDZIAŁ II.

## Niepowołany medyator.

Tadeusz Sawicki otrzymał bez trudności u księcia żądane posłuchanie. Było to wogóle łatwem, bo książę był dostępny, a w tym wypadku wstęp ułatwionym jeszcze został młodemu człowiekowi listem polecającym, który przywiózł ze sobą od ojca.

Stary Sawicki, szlachcic na małej wioszczynie, służył niegdyś pod rozkazami księcia na kresach i zachował z tych czasów najlepsze wspomnienia o młodym wodzu, który mimo związku krwi, poszedł z narodem przeciw królowi, a przede wszystkim z narodem przeciw Targowicy.

Siedział więc Tadeusz w prywatnym gabinecie naprzeciw księcia, który wypytywał go ciepło o jego stosunki rodzinne.

— Chciałbyś pan zapewne otrzymać jaką szarżę? — pytał łaskawie.

— Żadnej, żadnej — zaprotestował z zapalem Tadeusz. — Żołnierzem chcę być, zwykłym szeregowcem pod rozkazami waszej książęcej mości, aż dopóki nie wysłużę krwią własną jakiego skromnego stopnia.

— A nie korciż pana? — mówił dalej książę — rozgłośna sława, jaką zdobywają pułki nasze, służące w armii francuskiej? Go-



tówżeś jest kontentować się służbą na własnym zagonie?

Tadeusz zawahał się chwilę z odpowiedzią. Rozgłośna sława nęciła go owszem i początkowo miał ochotę starać się o przyjęcie do pułków lekkokonnych, gdzie dopuszczano młodzież na pewnych wyjątkowych warunkach i gdzie miałby za kolegów ludzi, noszących najznakomitsze nazwiska w kraju, ale woła ojca pokierowała nim inaczej.

— Chciałem, odparł z całą szczerością po krótkim namyśle, chciałem służyć u szwoleżerów, lub w legii nadwiślańskiej, ale było to wpierw, niż miałem zaszczyt być przedstawionym waszej książęcej mości, dziś nie cięży mi rozkaz ojcowski, który przeznaczył mnie do służby w kraju.

Miłym był księciu ten mimowolny niewymuszony hołd młodzieńczy, miłym mu był w ogóle ten dorodny chłopak, w którego błękitnych oczach palił się szlachetny ogień czystego zapału. Powstał i chodząc po pokoju mówić zaczął poufalej i serdeczniej, chcąc utwierdzić młodzieńca w powziętem postanowieniu.

— Prawda, że nie piszą dziś o nas i świat nie wie o naszych czynach. Ale pomyśl co byłoby z naszym księstwem, gdybyśmy nie stali na straży jego granic. Jest nas tu cztery tylko dywizye, trzecia część zaledwie

kontyngensu, jakiego Polska dostarcza cesarzowi, nie za wiele chyba to dla utrzymania w respekcie najbliższych naszych sąsiadów. Zechcesz pan zapewne służyć w jeździe.

— Wszędzie gdzie postanowi wola waszej książęcej mości, wszędzie pod jego rozkazami czuć się będę w służbie z honorem i pożytkiem dla kraju.

Dziwnie, jak echo ubiegłej młodości zabrzmiały w uszach księcia wyrazy te, które były dosłownem prawie powtórzeniem tych, jakie słyszał przed 14 blisko laty od swych podkomendnych w obozie pod Kurowem.

— „Prowadź nas, pójdziemy wszędzie za tobą, nie powiedzisz nas inaczej jak z honorem i sławą“ — wołali do niego, a od króla z Warszawy, przylatywali wciąż gońcy z listami błagalnymi, uniżonymi prawie, usiłującymi nakłonić go do powolnego posłuszeństwa w tem, co lepsza część narodu uznała za hańbę i zdradę.

Pamiętał ów poranek lipcowy, w którym puścił się umyślnie na niebezpieczny rekoniesans, bo już ciążyć mu zaczynało nazwisko wspólnie noszone z królewskim stryjem. Pamiętał słowa listu, który pisał do króla, wróciwszy wbrew życzeniu swemu żyw i cały, z tej desperackiej wycieczki. „Najjaśniejszy panie, pisał wtedy, gdyby były wyrazy dość mocne, na okazanie ci rozpacz, jaką dusza

moja napełniona została, wybrałbym je wszystkie, przekonawszy się z twego listu, że łączysz się ze zdrajcami, z ludźmi okrytymi hańbą i ohydą, którzy dla swej miłości własnej sprzedali krew swych obywateli, że oni to łącznie z tobą, że oni to, mówię, na przyszłość dawać będą prawa ludziom, którzy szczęśliwi mogąc poświęcać swe życie oddychali tylko dla sławy W. K. M., dla honoru i szczęścia narodu. Mógłżeś wahać się najjaśniejszy panie, wybrać raczej chwalebny zgon, z gubę zupełną, ale zaszczytną, nad tę resztę ponowania, tę resztę narodu, skalaną intrygą, zdradą, nierządem i słabością“.

Takie wyrazy żalu i oburzenia cisnęły mu się wówczas obficie pod pióro, w tych listach pisanych z obozu i później z emigracji. — A jednak były to jeszcze dla niego dobre lata, lata górne, w których nie stracił jeszcze wiary w siebie, ani wiary w szlachetną stronę natury ludzkiej.

Mógł jeszcze wówczas śmiało pisać do króla, grożącego mu odjęciem środków do życia, ogłodzeniem go przez rządy rozbiorowe, „że wolałby zebrać o chleb, zginać z nędzy, skazać się na wieczne wygnanie, niżby miał w czem zmienić uczucia swe względem zdrajców i czuć dla nich co innego prócz nienawiści i wzgardy“. Gorsze chwile przyszły dla niego później, gdy ten król, któremu bądź

co bądź wiele zawdzięczał, a który sam kochał go najsilniejszym przywiązaniem do jakiego był zdolny, zaprzepaścił do reszty imię swoje, rzucając tem samem cień i na jego życie. Byłóż to jego winą, że zwątpił wówczas o sobie, że uznał się za człowieka złamanego moralnie i odmówił sam sobie prawa do dźwigania sztandaru narodowego? — Byłóż jego winą, że los skazał go w sile wieku na przymusową bezczynność, odkradając mu najlepsze lata życia?

Słowa, wypowiedziane przez Sawickiego, dały na chwilę księciu złudzenie, że owe lata, lata zmarnowane, znikły gdzieś, zapadły w próżnię, jakby wcale nie istniejące. Przeszłość związała mu się nagle z teraźniejszością i widział się znów, jak wtedy, wyobrazicielem najdzielniejszych aspiracyi, stróżem honoru i sumienia narodowego.

— Ucieszyłeś mnie bardziej, niż bym ci to mógł wypowiedzieć — rzekł, podchodząc do Tadeusza i kładąc mu po ojcowsku rękę na ramieniu. — A nie zawiedziesz się w nadziejach twych, daję ci na to mój parol rycerski. Z honorem i z pożytkiem służyć dziś można krajowi naszemu tu na miejscu, nie szukając sławy z podbijania narodów, które nam nigdy wrogami nie były. Co się zaś tyczy rangi, możesz się waćpan pozbyć zbytecznych skrupułów. — Bo i w czasie pokoju,

energiją i dzielnem sprawowaniem, można zasłużyć na skromny awans. Lud rolny, oswobodzony z zależności, garnie się chętnie do szeregów. Dzielny to materiał, choć jeszcze nieco surowy i potrzebuje dobrych instruktorów. Ufam, że przezwycięzysz rychło sam pierwsze trudności, a wnet damy ci do ćwiczenia taką kompanię mazowieckich chłopaków. Obaczysz sam co warci są, jako materiał wojskowy, jaki w nich animusz, co za zdolność wrodzona do zgrania się zgodnego w jedną całość. Marzyliśmy obaj z Kościuszką o powołaniu ich pod broń, już w czasie pierwszej wojny. Kościuszko uskutecznił to częściowo tylko, dziś dopiero ta przynajmniej sprawa rozstrzygnięta jest w duchu sprawiedliwości. Włościanin nasz jest już obywatelem jak inni i niema wśród nas niewolników.

Tadeusz słuchał z szacunkiem tych wynurzeń księcia, a jednocześnie czuł się do niego magnetycznie pociągnięty.

Zadzierzgał się pomiędzy nim a wodzem jeden z tych tajemniczych węzłów, które łączą niekiedy w mgnieniu oka ludzi obcych sobie przed chwilą i spajają ich na zawsze mocą silnego bezinteresownego uczucia.

Otrzymawszy stanowcze wskazówki i blankiet urzędowy z podpisem wodza, uznał Tadeusz posłuchanie swoje za skończone i

miał już odchodzić, gdy księżę zatrzymał go jeszcze, jakby sobie coś przypominał.

— Ale, ale! — wszakże to nie pierwszy raz się widzimy, byłeś pan już wczoraj pod Blachą, a nawet nasze damy zdołały już cię wciągnąć do swych reprezentacyi. — Tadeusz zatrzymał się a potem się zarumienił. Chciał coś powiedzieć, chciał zaprotestować żywo przeciw udziałowi swemu w tego rodzaju produkcjach i upewnić, że wciągnięto go w nie wbrew jego woli, ale przypomniał sobie naraz, że ma to być jakaś niespodzianka, że przyrzekł komuś dyskrecyę. Bąknął więc coś niezrozumiałego, skłonił się raz jeszcze i wyszedł. Księżę wytłómaczał sobie inaczej jego zmieszanie.

— Wzięto go, jak widzę, odrazu na pierwszy ogień — mruknął, podkrecając wąsa. Piękna Zofia przewyższyła wczoraj sama siebie, ale szkoda by na to chłopaka. Czysty zda się jak łąza, a przytem co za ogień, jaka postawa. I widział go księżę w myśli na dzielnym koniu, w czapce ułańskiej, ciesząc się, że pozyskał wojsku polskiemu nowego zucha, który nie przyniesie wstydu jego szeregom. Tadeusz zdążał tymczasem szybkimi krokami na Bernardyński plac, gdzie w jednej ze starych kamienic, opatrzonych podjazdem, mieściła się tak zwana austerya pana



Macieja, w której gromadzili się dla posiłku mniej zamożni oficerowie różnych stopni.

Wszedłszy do dużej, sklepionej sali, mrocznej i wypełnionej dymem, szukał w niej oczyma kuzyna swego Romana, z którym miał się tu spotkać. Znalazł go bez trudności, a i tamten przyzywał go ręką, zapraszając do stolika, który zajmował wraz z dwoma kolegami.

Jeden z nich, nazwiskiem Zabielski, był czystej krwi Warszawiakiem, co można było zresztą łatwo poznać z ruchów jego i wzięcia się, nacechowanych lekkim humorem i szumnym temperamentem, właściwym dzieciom syreniego grodu.

Zabielski był nie tylko przyjacielem Romana, ale i przyszłym jego szwagrem, gdyż porucznik zakochany był po uszy w młodziutkiej jego siostrze Krysi Zabielskiej, a pozyskawszy jej wzajemność, otrzymał od niej niedawno pierścionez zaręczynowy.

Drugim towarzyszem Romana był młody Francuz, nazwiskiem Blechamp, rodem z Hawru, który przybywszy do Warszawy z korpusem francuskim, przeniósł się następnie do wojska polskiego i służył w warszawskiej dywizyi.

Stanowili we trzech z Romanem i Zabielskim trójkę serdecznych przyjaciół, a widząc nadchodzącego Tadeusza, zrobili mu

miejsce przy sobie, witając go jako czwartego w tym związku.

— A jesteś przecie! — wołał do krewniaka porucznik. — Czekamy tu na ciebie godzinę bez mała a i uraczyliśmy się już nieco, bo głód nam okrutnie dokuczał.

— Wybaczcie opóźnienie.

— Wybacz i ty, żeśmy zaczęli bez ciebie, ale się nam już należało, bośmy wołyżerowali dziś bez wytchnienia na Saskim placu.

— Widziałem i rwało mnie do was, ale i ja miałem posłuchanie u księcia.

— Więc jesteś przyjęty? i masz już może jaką nominację?

— Wstąpiłem do służby, ale nie zapiszę się aż jutro w kancelaryi generała Hebdowskiego. O nominacji zaś niema mowy do-  
kąd nie przejdę półrocznego przynajmniej kursu w szkole aplikacyjnej. Szeregowcem więc jestem bez stopnia.

— Z buławą w tornistrze — odrzekł mu na to Hipolit Blechamp — wszyscy od tego zaczynamy.

Pocieszające to zdanie wypowiedział Blechamp w jakimś nieokreślonym narzeczu, środkującym między polską a francuską mową.

Młody to był jeszcze chłopak, dzieciuch prawie, nie liczący z pewnością nawet dwudziestu lat.

W czarnych jego oczach migotał wesoły ogień i wielka ochota do życia. Spodobało mu się ogromnie w Warszawie i projektował sobie zostać w niej na zawsze i stać się polskim obywatelem. Piękność Warszawianek wprowadzała go w zachwyt, kochał się też w nich masowo, kochał się też na ochotnika w Krysi Zabielskiej, czego mu nawet porucznik nie bronił, pewny serduszka swej ukochanej, a dumny z nęklamanego podziwu, jaki jej urok budził w młodym cudzoziemcu.

Ale przedewszystkiem i nad wszystko uwielbiał Hipolit Blechamp księcia Józefa Poniatowskiego, od którego doznał kilkakrotnie dowodów życzliwej opieki, jakich książę nie szczędził swym podwładnym, „owym drogim dzieciom“, jak ich w poufnych wynurzeniach nazywał.

— On jest naprawdę jak ojciec, dla swoich żołnierzy — mówił Blechamp do kolegów w swej francusko-polskiej żołnierskiej gwarze. — On nie patrzy na tytuły i rodowe nazwiska, nie pyta czy kto jest „de“ czy nie „de“, dla wszystkich jednako przystępny. Całkiem inaczej niż nasi eks-republikanie, którzy radzi mieć dokoła siebie samych duków i hrabiów i robią z nich swych adjutantów.

— Bo też wasz republikanizm jest bardzo świeżej daty, a u nas od wieków już panuje duch republikański — objaśniał go wymowny Zabielski. — Polska, jak wiesz, była do ostatka republiką i to właśnie kłóło najbardziej w oczy naszych sąsiadów.

— Republika z królem? — dziwił się Francuz.

— Nasz król był tylko stróżem i wykonawcą prawa, uprzedziliśmy całą Europę, rozwijając prawa nasze w duchu równości i wolności.

— Słyszałem przeciwnie, że u was lud trzymany był w ucisku.

— Co wy tam wiecie o nas? — oburzał się Zabielski. Pisał tam coś piąte przez dziesiąte wasz Rhuliere i trzymacie się tego, jak pijany płotu. U nas — uważasz — wolność rozwijała się stopniowo, idąc z góry na dół. Zaczęła się od króla, magnatów i szlachty. Konstytucya 3-go maja dała ją mieszkańcom, a Kościuszko uwolnił włościan. To właśnie nie podobało się pludrom i kłapom i nakryły nas kanalie. Ale co tam mówić o tem, skoro dziś Bogu dzięki.... tu urwał i nalał sobie mały kieliszek nalewki, dostarczonej usłużnie przez samego pana Macieja, a raczej pana „Mathieu“, tak bowiem przemalował na szyldzie swoje imię pan Maciej Brzechalski, stosując się oportunistycznie do ogólnie pa-

nującej mody. Usiadłszy obok politykujących oficerów — Tadeusz przyjął także ofiarowany sobie kieliszek wybornego wiśniaku i powiódł machinalnie wzrokiem po sali. Była ona tak ściśle, tak wyłącznie prawie wypełniona wojskową publicznością, że każdy strój cywilny, zabłąkany tu przypadkowo, raził i zwracał na siebie oczy, jak ciemna lub szara plama, rzucona na różnobarwne tło perskiego kobierca. To też i Tadeusz bezwiednie prawie dostrzegł natychmiast i zauważył obecność kilku osobistości, nie dających się zaliczyć do barwnej, wojskowej kompanii. Jeden zwłaszcza osobnik, zwrócił baczniejszą jego uwagę. Był to stary, odosobniony człowiek, ubrany w dziwny strój na wpół francuski, nawpół kwakerski. Na nogach miał czarne pończochy i trzewiki ze sprzączkami, spodnie krótkie, obcisłe, szaropopielate i takiż spencerek, zapięty mocno pod szyją bez żabota lub kamizelki, zakończony tylko popielatym halsztukiem, podchodzącym mu prawie pod uszy. Całości dopełniał harcap z siwych włosów, spadający dość nisko na plecy. Twarz wygolona, pokryta delikatną siecią zmarszczek. Czoło wysokie, usta zaciśnięte i mające w wyrazie swym coś ascetycznego, nadawały człowiekowi temu pozór pustelnika lub mnicha, któremu habit lub opończa pielgrzymia, przystawałyby o wiele lepiej od

świeckiego stroju, w jaki był przybrany. — Ciekawa ta postać stanowiła typ tak oryginalny, że Tadeusz powrócił do niej kilkakrotnie wzrokiem. Podano mu tymczasem porcyę zrazów i kaszę ze szwedami a do stolika przysunął się sam papa Mathieu, jak go popularnie nazywano. Obsługiwał on często sam swoich gości, uważając takie zbliżenie się do nich za delikatny sposób przypomnienia niektórym zadawnionych a niewyrównanych rachunków. Udzielał wogóle dość szerokiego kredytu swoim klientom, wiedząc, że w razie zbyt długiej niewypłacalności, ministerjum wojny, względnie wódz naczelny, pokryją mu zawieszoną zaległość. Zapytywał, czy nie brakuje czego panom oficerom i sunął do innych stolików. — Rizotto! — wołał, zachwalając, pozwólcie waszmość panowie, potrawa przysposobiona na sposób italski. — Kuchmistrz mój nauczył się świeżo sekretu od kuchmistrza pana de Serra. A i makaroni włoskie, prawdziwie oryginalnie przyrządzone, że i w Neapolu lepszego nie dostanie. Lubił się papa Maciej popisywać takimi zagranicznymi potrawami, których nazw uczył się starannie na pamięć, jako też oderwanych francuskich wyrazów, służących mu do porozumienia się z francuskimi gośćmi.

Schowaj sobie papo Macieju twoje włoskie przysmaki, dla tych co wiedzą o nich



ledwie ze słuchu, myśmy się ich dość nakosztowali, nim z italskiej ziemi przyszlśmy do Polski i nie złapiesz nas na recepty kucharskie pana de Serra — rzekł nad to jeden z gości.

Papa Mathieu, nie zmieszany, przeszedł natychmiast do zalecania innych dań, w które obfitowała jego kuchnia, ale podporucznik Zabielski dopatrzył się jakichś skrytych aluzji w odprawie danej włoskim potrawom.

Powstał też a przechyliwszy się przez stół, usiłował przyjrzeć się dokładniej tym, których obsługiwał w tej chwili papa Maciej.

— Byłem tego pewny! — mruknął, szarpiąc za rękaw Romana. To ci z Kaliskiej dywizyi.

Przy stoliku siedziało istotnie kilku wojskowych, których amarantowe kołnierze i białe wyłogi wskazywały na przynależność ich do dywizyi generała Zajączka.

— Jeżeli sądzą, że im to ujdzie płazem — zakonkludował wojowniczo.

Tadeusz położył na chwilę sztuciec i nóż, próbując zrozumieć w czem leży jądro kolizyi.

Zabielski tymczasem powstał i przesunawszy się między gęsto siedzącymi gośćmi, zatrzymał się skubiąc jasnego wąsika, przed stolikiem zajęтым przez podkomendnych generała Zajączka.

— Za pozwoleniem — rzekł — mam zaszczyt się przedstawić.

Tu wymienił nazwisko swe i stopień, w zamian za co spotkało go uprzejme zaproszenie do zajęcia miejsca.

— Dziękuję uprzejmie — mówił dalej, sadowiąc się na prędcie — dziękuję uprzejmie, a teraz mam zaszczyt zapytać, kogo to wasza mość, panie kapitanie, miałaś na myśli, mówiąc o tych, co ze słuchu ledwie wiedzą o italskich przysmakach.

Wąsaty kapitan, ze szramą na marsowej twarzy, zmrużył filuternie oczy, ocienione krzaczastymi brwiami i rzekł, wyciągając przed siebie suchą, masykularną prawicę, stwardniałą od robienia bronią.

— Chwali ci się twoja domyślność mości poruczniku, tembardziej, że przypomina ona znane przysłowie o stole i nożycach.

— A zatem? — pytał z wyszukaną grzecznością Zabielski.

— A zatem, skoro chcesz koniecznie znać prawdę mości poruczniku; miałem na myśli tych, co wysługują sobie stopnie i szlify sprawnymi harcami na Saskim Placu, choć się im ledwie puch pod nosem sypie i choć nie oglądali dotąd prawdziwej bitwy, chyba na kopersztychu.

— Chciałem właśnie mieć pewność panie kapitanie — odparł z równą zawsze, lekko żartobliwą uprzejmością Zabielski.

A potem, zmieniając nagle ton, powstał i rzekł poważnie, salutując po wojskowemu:

— Nikt bardziej, nikt głębiej odemnie nie wyznaje czci dla bohaterów, co idąc z ziemi włoskiej, wolność nam przynieśli, a za wysokie mam o nich wyobrażenie, bym mógł posądzać którego z nich, iż może poczytywać komuś za grzech, iż się później od niego urodził.

Tu zrobiwszy piękny zwrot na prawo zamierzał już młody oficer powrócić na miejsce, uważając rozprawę za skończoną, gdy nastąpił w niej niespodziewany zwrot.

— Panie oficerze! — ozwał się nagle miódowo-słodki głos — czcigodny panie kapitanie. Budująca, naprawdę, budująca, jest ta czysto ojcowska wyrozumiałość, z jaką traktujesz waszmość pan wybryki swych młodych kolegów.

Głos pochodził z sąsiedniego stolika i płynął z ust ubranego po cywilnemu jegością, którego twarz szeroka, rumiana, nacechowana była wyrazem bezgranicznej зда się dobroćliwości. Każdy ruch przysadkowej jego postaci, każdy gest pulchnej, o krótkich palcach ręki, zdawał się wyrażać bezbrzeżną wprost uprzejmość i gotowość od-

dania się w każdej chwili na usługi swych bliźnich.

A przecież pojednawcze jego słowa wywarły skutek wprost przeciwny od tego, jakiego się można było po nich spodziewać.

Wąsaty kapitan, zachnął się niecierpliwie, jakby miał jakąś wątpliwość, co do poprzedniego zachowania się i zawołał tubalnym głosem:

— Czekaj no jeszcze mości poruczniku, pozwól tu jeszcze na słówko.

Zabielski zawrócił natychmiast, a i kilku młodych wojskowych, do których doszły echa rozmowy, kupić się zaczęło dokoła grupy Kaliszan.

Zanosilo się na jedną z tych sprzeczek, jakie wybuchały przy każdym prawie spotkaniu, między podwładnymi księcia Józefa, a podkomendnymi generała Zajączka.

Ale tu niepowołany medyator wystąpił znów ze swem miodopłynnem pośrednictwem.

— Panowie! — rzekł, kładąc na sercu swoją pulchną dłoń, przyozdobioną paru złotymi pierścieniami. — Lubo młodzi, potraficie przecie ocenić uczucia tych godnych oficerów, co tułając się lat tyle na obczyźnie, nie znaleźli następnie w kraju tego, co im się słusznie należało.

Przemówienie to zwrócił do młodzieży w niebieskich wyłogach, przedstawiającej dywizję warszawską. Na ten niespodziany wybuch współczucia, Kaliszanie spojrzeli po sobie. Uprzytomniły się im może zarzuty i utyskiwania na niesprawiedliwe nominacje, które słyszeli nieraz w swej kwaterze. Tu i ówdzie padło słówko niechętne, wymierzone przeciw bucie i wyłączności tych panów z dywizyi warszawskiej. Młodzi ludzie w niebieskich wyłogach nie pozostali dłużni z odpowiedzialnością. Słowna tapotyczka przybierała zwoleńna coraz ostrzejszą formę, mimo, że wąsaty kapitan, który był pierwszą przyczyną zajścia, próbował hamować młodzież, pamiętny na swą odpowiedzialność.

Pomagał mu w miarę możliwości miodopłynny mediator, który zdążył w międzyczasie przedstawić się kaliskiemu kapitanowi jako radca von Stierre, członek wydziału sprawiedliwości, pracujący pod kierunkiem ministra Łubieńskiego. Mówił on gładko i z przesadną poprawnością, ale w mowie jego dawał się uczuć niedostrzegalny prawie akcent cudzoziemski. Za jego przykładem paru jeszcze cywilnych urzędników zbliżyło się do zaperzonej grupy oficerów, stanowiąc jednak raczej bierną galerię. Pan von Stierre zabierał od czasu do czasu głos, zwracając się do jednej, to do drugiej z wo-

jujących stron, ale tchnące zawsze jednaką słodyczą kwiaty jego wymowy pozostawały najczęściej bez echa. Niezrażony niepowodzeniem, zwrócił się znów kolejno do kaliskiej grupy.

— Niepodobna czynić odpowiedzialną dzielnej naszej młodzieży — mówił z namaszczeniem — za wyższe rachuby polityczne, kierujące postanowieniami sfer rządzących. Czyż sądzisz pan, panie kapitanie, że nie służyliby oni równie chętnie, a może nawet chętniej, pod rozkazami tych, co jak generał Dąbrowski lub Zajączek okryli się europejską sławą, że równie chętnie, a może nawet chętniej nie widzieliby ich na stanowisku naczelnem.

— Dąbrowski! tak. Dąbrowskiemu należało się dowództwo — ozwało się kilka głosów. — Ale co się tyczy generała Zajączka...

— A czemuż gorszy generał Zajączek — obruszył się jeden z kaliszczan — nie przelewał tak samo krwi własnej, nie dzieliłże tułaczki legionów naszych?

— Tak, tylko, że w czasie tych lat tułaczki odzwyczaił się nieco od kraju.

— Prosił o indygenat francuski.

— Nie chciał przysięgać na wierność królowi saskiemu, który jest naszym księciem.

— Zachciewa mu się francuskiej buławy marszałkowskiej i oddałby za nią chętnie polskie regimentarstwo.



Zarzuty te sypały się z ust warszawiaków, a: odpierane były słabo przez kaliszan, którzy czuli w gruncie rzeczy ich słuszość.

— Tak, tak — powtarzał swoje radca von Stierre. — Generałowie Dąbrowski lub Zajączek byliby również uwielbiani przez tych dzielnych wojaków. Ale karność jest ich prawem, dochowują więc karności księciu, naczelnemu wodzowi. A wiadomo przecie, że nominacya jego dogadza daleko idącym widokom politycznym. Jest on przecież ulubieńcem dworu austriackiego, pamiętają tam jeszcze jego wierną służbę.

Dwuznaczne te pochwały, oddawane księciu Józefowi, padały z ust pana von Stierre, nie budząc z razu niczyjego protestu. Zachęcony tem, prowadził dalej swoją rzecz.

— Księżę — mówił — ma wielkie zachowanie u dworów. Królestwo pruscy są również na niego łaskawi. Wiadomo przecież, że przyjmując pierwszy raz Francuzów, wyjechał na ich spotkanie w pruskich orderach.

Jeden tylko Zabielski, który z natury już należał do tych, co jak mówią, słyszą, jak trawa rośnie, zrozumiał już oddawna intencye pana Stierre. Wyrazy: prowokacya i prowokator, nie były wprowadzie jeszcze wprowadzone do polskiego dykcjonarza, ale

rzecz sama istniała, niestety stara jak świat, jak wszelka nikczemność.

— Posłuchajno — rzekł do Romana Sawickiego — uważasz ty co ten skrzeczy o księciu. Robi z niego poprostu pruskiego czy austriackiego zausznika.

— Co to właściwie za jeden? — spytał Romana.

— Pamiętam go wybornie z czasów, gdym chodził jeszcze do szkoły — odparł Zabielski — służył kanalia w urzędzie za pruskich czasów i pisał się von Stier, mając się za czystej krwi Niemca. Teraz przyrzucił sobie do nazwiska „e“, i robi patryotę. Wartoby mu przecie buzię zamknąć.

— Lub wyprosić z kompanii.

— Chodźmy więc.

Przysunęli się we trzech, a i Blechamp, choć nie wiele rozumiał, dowiedziawszy się, że chodzi tu o honor księcia, towarzyszył im, gotów wystąpić z czynną pomocą.

— Za pozwoleniem! — zaczął Zabielski, nie bawiąc się tym razem w prezentację. — Co pan tu pozwoliłeś sobie mówić przed chwilą o księciu, naszym wodzu. Co znaczą te wzmianki o austriackich i pruskich fa-worach?

— Nie mam nic prócz wyrazów czci i uwielbienia, dla naszego polskiego Alcybiadesa. — zawołał patetycznie von Stierre.

— Nie puszczaj się pan na antyczne porównania, nota bene, wcale nie trafne.

— Lub też zastosuj je raczej do swego szefa, który zmienia opinię, częściej niż książę rękawiczki.

— Tak, tak pan Łubieński za pruskich czasów wysługiwał się landratom. Niemcami polskie wsie obsadzał i zbory protestanckie dla nich budował, a dziś udaje gorliwego katolika.

— Stróżem prawa się mieni a ogranicza wolność słowa.

— Jaki pan, taki kram.

— Panowie! — bełkotał von Stierre. — Nie rozumiem doprawdy. Mówilem przecie, że nic prócz czci i uwielbienia.

Ale usprawiedliwienia jego nie odnosiły skutku.

W usposobieniu zebranych nastąpiła nagła zmiana. Zarówno kaliscy, jak warszawscy oficerowie, uznali jednomyślnie, że wmieszanie się do ich sporów człowieka obcego, profana, lajka, cywila, który jest w dodatku mężem zaufania niepopularnego ministra Łubieńskiego, narusza w sposób krzyżący pojęcia koleżeńskiej i wojskowej etyki towarzyskiej.

Wyrazicielem ogólnych życzeń stał się Zabielski, który od chwili już proponował

panu von Stierre mniej więcej dobrowolną rejteradę.

— Powietrze w tej sali nie służy panu radcy — upewniał go z niekłamana troskliwością. — Tam na ulicach świeżo, pięknie, wiosenne słońce ledwie zaszło.

A pochylając się niżej jeszcze do ucha niefortunnego radcy, dodał poufnie:

— Wogóle powietrze naszego księstwa nie może służyć, takim jak pan, panie von Stier.

Wobec tak zdeklarowanej, ogólnej decyzji nie pozostałoby, zda się nic innego panu radcy, jak wycofać się z honorem.

A przecież nie uległ on jeszcze i z podziwu godną odwagą, pozostał na miejscu. A nawet stało się teraz coś dziwnego. Pan von Stierre łypnął nagle oczyma, przechylił się w tył, zwieszając głowę na lewe ramię, a przytknąwszy do serca wielki palec, wywijając zaczął rodzaj młynka resztą dłoni, patrząc równocześnie badawczo na swych prześladowców.

Tadeusz, który wraz z innymi stał blisko jego stolika, usłyszał jakiś cudzoziemski wyraz, powtórzony kilka razy i zauważył ze zdziwieniem, że przed chwilą tak zawzięci oficerowie, zawahali się i poczęli naradzać, a w końcu rozeszli się na swe miejsca.

Zabielski tylko zawrócił raz jeszcze do pana von Stierre i rzekł półgłosem:

— A jednak nie zaczynaj pan na drugi raz, bo jak mi Bóg miły, zrobię z tem porządek, choćby sam Przewielebny wziął cię w opiekę.

Tak więc pan Stierre wyszedł już prawie cało z opresyi, gdy naraz osamotniony człowiek w harcapie, który był dotąd niemym świadkiem całego zajścia, przystąpił z kolei do jego stolika.

Tadeusz, który sam jeden prawie pozostał w pobliżu, zauważył, że za zbliżeniem się nieznajomego pan von Stierre znacznie spokorniał. Rumiana twarz jego przeciągnęła się, pękata postać skurczyła się prawie. Po kilku słowach zamienionych z nieznajomym, ujął on laskę, kapelusz i zwiesiwszy głowę, opuścił salę.

Człowiek z harcapem stał chwilę zadumany, a potem zajął spokojnie miejsce przy opróżnionym stoliku, Tadeusz zaś powrócił do swojej kompanii.

Cała ta scena miała dla niego wiele momentów niezrozumiałych, ale nie miał czasu zastanowić się nad nimi bliżej, bo wszakże dziś jeszcze odszukać chciał signora Orwi, przypomnieć się mu jako dawny znajomy i zasięgnąć od niego wiadomości o miejscu pobytu Pauli i jego matki.

To też opuściwszy traktyernię pana Macieja, pożegnał pod pierwszym lepszym pretekstem swych towarzyszy i spieszył z bijącym sercem w stronę tajemniczego domu.

### ROZDZIAŁ III.

#### Spotkanie.

Wieczór wypełniał już mrokiem skąpo oświetlone ulice, a skutkiem jednego z tych nagłych przeskoków, właściwych pogodzie marcowej, wieczór ów po dniu słonecznym, stał się wietrzny i słotny i zakończył się formalną zawieją śniegową. Sypały się z chmurnych obłoków lekkie, gwiazdziste puchy tak gęste i drobne, iż świat przeglądał przez nie jakoby przykryty gazową zasłoną, a przechodnie patrzyli na siebie, jak przez mgłę.

Sam nie wiedząc czemu, Tadeusz rad był tej niepogodzie, która pozwalała mu przesunąć się prawie niepostrzeżenie przez ulicę, zaułki i place. Miał niejasne poczucie, że krok jego tak prosty napozór, odszukania dawnych znajomych, potrącał jednak o jakieś struny tajemnicze, których niebaczne targnięcie grozi mu czemś nieokreślonym.

Z tem uczuciem stanąwszy wreszcie przed furtką małego domku, pociągnął za drewnianą



raćzkę, kołyszącą się dość awanturniczo i niekarnie na sznurku, przeciągniętym przez otwór drzwi. Pociągnął raz i drugi, ale do uszu jego nie dobiegł spodziewany dźwięk dzwonka, żaden też głos ludzki nie odpowiedział mu, ani zaprosił do wnętrza.

Po krótkiem oczekiwaniu pchnął lekko furtkę, która ustąpiła natychmiast i otworzyła się na oścież. Wszedł oczywiście i przekonał się nie bez zdziwienia, że miejsce, które uważał za szczelnie obwarowaną fortecę, otwarte jest dla każdego przechodnia i stanowi widocznie rodzaj publicznego traktu, służącego może do skrócenia drogi.

Okrążywszy domek tą samą ścieżką, na której zniknął mu wczoraj signor Orwi, zobaczył przed sobą rodzaj placu, zasadzonego drzewami, dalej rzucone od niechcenia dwa budynki, niby pawilony, następnie znów drzewa i biegnące między nimi ścieżki, prowadzące do innych zabudowań.

Znajdował się jakby wewnątrz małego odrębnego miasteczka, które odkrył niespodzianie pomiędzy Warszawą a Pragą. Była to zapewne owa posesya, ciągnąca się ku zamkowi, o której wspominał mu wczoraj Roman.

Jakże tu jednak zorientować się w tym nieznanym labiryncie, a jeszcze w tak mglisty wieczór? Chyba że uda mu się spotkać

kogo i zapytać o drogę. Oglądał się raz i drugi, gdyż od pewnego już czasu słyszał za sobą kroki.

Dwie ciemne postacie, opylone śniegiem, zdążyły w tymże co on kierunku. Uchylił czapkę i już już miał na ustach pytanie, gdy z szerokich rękawów ciemnej, futrzanej salopki, wyciągnęły się do niego dwie szczupłe rączki, a z pod nasuniętego na czoło kapturka błysnęły mu oczy, które teraz nawet w mrokach zaśnieżonego wieczoru iskrzyły się i mieniły nieznównanym blaskiem — niby dwa czarne dyamenty. — Były to te same cudne, przepaściste, niezapomniane oczy, których wspomnienie towarzyszyło mu nieodstępnie.

Tadeusz odnalazł naraz swój skarb utracony, odnalazł Paulę. — Przez chwilę doznał błyskawicznego olśnienia, potem uczuł niewyjaśnione zakłopotanie, potem szaloną radość, a wśród zmieszanych tych uczuć, powtarzał jednostajnie.

— Właśnie szukałem, właśnie chciałem odnaleźć waćpannę, chciałem złożyć mój szacunek jejmość pani szambelanowej. Co za traf szczęśliwy, co za szczęśliwy traf.

— Właśnie i ja czekałam, czekałam od rana — mówiła jednocześnie z nim prawie Paula. Mówił mi signor wujaszek, żeś waćpan był z nim razem, gdzieś na zamku u

króla czy u księcia, żeś go nie poznał, że on sam nie mógł cię zaczepić, bo spieszył do chorej damy. Ucieszyłam się, nad wyraz ucieszyłam, a teraz cieszę się bardziej jeszcze.

Mówili prawie jednocześnie, patrząc sobie w oczy i trzymając się za ręce, a raczej Tadeusz trzymał i obejmował dłonią obie ręce Pauli, która wyciągnęła je do niego w chwili powitania, a nie cofała ich i teraz. — Powiewna, szczupła, drobna prawie w stosunku do rosłej, wysmukłej jego postaci, zdawała się wyrażać tym bezwiednym prawie a tak pełnym ufnej poufałości gestem, jakąś rozrzuwającą bezradność, instynktowną potrzebę oparcia i zdania się na czyjąś wolę i opiekę. Tak przynajmniej odczuł, tak zrozumiał Tadeusz ten pierwszy gest powitalny. Doznawał też dziwnego wzruszenia, czując te dwie drobne delikatne rączki, uwięzione w swej męskiej dłoni, wyczuwając prawie tętna pulsów, bijących przez cienką skórę rękawiczek.

Nagle smukłe nerwowe paluszki zacisnęły się silniej dokoła jego ręki. Paula odzyskała naraz dawny tak dobrze mu znany, bujny swój ognisty wybuchowy temperament.

— Jak to dobrze! — mówiła szybkim przerywanym tempem, jak się to wybornie składa, żeś nas waćpan dziś właśnie odwiedził. Proszę za mną, bo my tu mieszkamy.

Wyrwała mu się i pospieszyła przodem, przyzywając go ręką. Po chwili odwróciła się znów, a ujawszy za ramiona zdążającą za nią z trudnością towarzyszkę swą, starszą dość korpulentną jejmość — zwróciła ją zwinnym ruchem twarzą do Tadeusza, mówiąc pieszczotliwie.

— Patrz tylko Franuleńko, patrz, to on, panicz z Krasnostawiec.

Tadeusz dostrzegł wtedy dopiero przed sobą twarz znajomą sobie, szeroką i nieco rozlaną, ale pocziwą i patrzącą na niego przyjaźni. Twarz tę widywał przed rokiem, wychylającą się z pod białego rurkowanego czepeca, a należała ona do czcigodnej pani Franciszki Łunieckiej, będącej prawdziwą opatrzącością schorzałej pani szambelanowej i opuszczonego jej pałacu, w którym pełniła funkcyę ochmistrzyni, pielęgniarki, gospodyni, i powszechnej żywicielki, zaopatrującej w cudowny prawie sposób, potrzeby swych pań. Nie odrazu stwierdził jej tożsamość, gdyż w stroju przykrojonym na nową modę, ochmistrzyni przedzierzgniętą została w typ miejski i bardziej nowoczesny.

— Chodźmy już, chodźmy — ozwała się Franuleńka, która przypatrywała się dotąd z życzliwą pobłażliwością powitaniu młodej pary.

Tadeusz miał u niej pewne względy, które zaskarbił sobie niegdyś, delikatnie udzielanymi zasiłkami, jakimi wzbogacał niezasobną najczęściej kasę pocziwej ochmistrzyni. Znał jednak niezwruszoną jej dyskrecję i wiedział, że nikomu by się nie udało wydobyć z niej tego, co uznała za stósowne zataić. Mimo, że dobroduszną, a nawet gadatliwą, dostrajała się Franuleńka wybornie do zagadkowej atmosfery, otaczającej rodzinę, w której skład wchodziła i wyglądała nieraz na żyjącą skarbnicę tajemnic. To też i teraz obejrzała się podejrzliwie, a potem położyła znacząco palec na ustach, mrużąc pod nosem.

— Nie tu miejsce na rozmowy, jeszcze Boże uchroni, ktoś podpatrzy, a podsłucha, a przytem jaśnie pani szambelanowa czeka tam na was, biedactwo.

Na stosunek jej do schorzałej, zhistryzowanej jej pani składała się wzruszająca mieszanina pełnej szacunku służbistości i ciągłej nieco gderliwej opieki, którą rozciągała nad nią, prawie jak nad chorem dzieckiem.

— Idziemy już, idziemy, nie turbuj się Franuleńko — potwierdzała Paula i pomknęła szybko, zapuszczając się w głąb jakiejś starej alei.

Tadeusz podążał za nią, zapatrzone, nie zdając sobie sprawy, gdzie i dokąd go prowadzi.

Znalazł się też, sam prawie nie wiedząc jak, w mieszkaniu, gdzie owiała go atmosfera nieco duszna, wypełniona zmieszanyymi wyziewami lekarstw i pachnideł. W pokoju panował półmrok, który Franuleńka pospieszyła natychmiast rozświecić, zapalając dwa świeczniki, stojące na mahoniowej komodzie.

Rozejrzał się dokoła i zauważył panujący w pokoju nieład. Na sprzętach leżały rozrzucone suknie kobiece. W głębi stała duża gotownia z lustrem, obok którego leżały różne przybory, służące do wykończenia fryzury i stroju. Sprzęty ustawione pod ścianami, nie były dobrane, ani jednolite. Obok ciężkiej, dębowej szafy o drzwiach rzeźbionych, tuliła się lekka kozetka z lakierowanego drzewa, pokryta spłowiałym rypsem. Pośrodku stał stół okrągły, oparty na jednym baniastym słupku, zakończonym trzema bronzowymi łapami.

Ogłędziny te przerwało Tadeuszowi wejście Pauli, która zdążywszy już zrzucić wierzchnią salopkę, stanęła w progu, ujęta w ramę osłoniętych portyera drzwi, prowadzących do sąsiedniego pokoju.

Wtedy dopiero Tadeusz ogarnął ją wzrokiem i dostrzegł zmiany, jakie w niej zaszły przez ten rok rozłączenia. — Wyrosła nieco i wypiękniała jeszcze, ale nie było już



w jej urodzie tej wiosennej świeżości, jaką tchnęła delikatna jej twarzyczka w czasie niezapomnianych ich przechadzek po opuszczonym parku. Rysy jej nabrały ostatecznego wykończenia, ale przytem zaostrzyły się nieco w kontury, rzeźbione delikatnie, jak najprzedniejsza kamea. Cera olśniewająco biała, miała przecież pewien podkład kredowy, jakby wyblakły, jakiego nabierają twarze tych, którzy przebywają długo w zamknięciu. Tem świetniej odbijały przy tej bladej, wielkie czarne oczy, ocienione czarnymi, długimi rzęsami i cienkimi łukami brwi, tem barwniej odcinały się małe karminowe wargi, rozchylone w tej chwili w radosnym uśmiechu.

— Franuleńko — rzekła na wstępie Paula — idź do niej, czeka już na ciebie, aby z rąk twoich przyjąć ten nowy dekolt, który jej zalecił signor wujaszek. Wiesz dobrze, że nie chciałyby go inaczej wypić, idź moja serdeczna, idź.

— Idę gołąbeczko — odparła ochmistryni, która, przypasawszy fartuch i skrzyżowawszy na swych potężnych kształtach białą chusteczkę, wysunęła się istotnie z pokoju.

Od progu tylko odwróciła się raz jeszcze i ogarnęła młodą parę życzliwym wzrokiem, który zdawał się mówić:

— Pogwarzcie sobie swobodnie moje gołąbki, już ja w tem, że nikt wam nie będzie przeszkadzał.

Zostali więc sami. Paula podeszła z wolna do spłowiej kozetki i pełnym wrodzonego wykwintu gestem wskazała Tadeuszowi na stojący naprzeciw fotel.

Usiadł i przebyli tak chwil kilka w milczeniu, którego żadne z nich nie przerywało. Po wrażliwej twarzy dziewczęcia przelatywały nikłe rumieńce, usta jej drżały lekko. Być może, ona także oceniła w tej chwili dopiero zmiany korzystne w powierzchowności młodego swego przyjaciela, a może uświadamiała sobie szaloną radość, jaką sprawiło jej to nagłe z nim spotkanie.

W głowie jej plątały się różne wrażenia, które dałyby się wypowiedzieć takimi mniej więcej słowy: „Jesteś bardzo piękny, oczy twoje patrzą na mnie tak dziwnie. Byłam wciąż smutna, od kiedyśmy się rozstali, — a przytem musisz być lepszym od wszystkich innych ludzi i dobrze jest być przy tobie.“ Zamiast tego jednak wyszeptała tylko bezwdzięcznie prawie.

— Matka chora.

— Tak? — Odparł machinalnie Tadeusz.

— Chora jest — powtórzyła dziewczyna — i co wieczór tylko powraca jej trochę sił. Lubi wtedy rozmawiać z Franuleńką o da-

wnych czasach. Dlatego też kazałam jej odejść.

Usprawiedliwiała się instynktowo z oddalenia ochmistrzyni, które pozwalało jej na to sam na sam.

— Taak? — Powtórzył znów echowo Tadeusz, który nie słyszał właściwie jej słów.

Ale po chwili opuściło go to dziwne odrętwienie, pozbawiające go możliwości wystąpienia się. Zaczął więc mówić szybko, popędliwie niemal, usiłując wyrzucić z siebie za jednym zamachem wszystko, co się w nim natłoczyło tęsknot, wyrzutów, niepewności i posądzeń.

Zapytywał Paulę o przyczynę nagłego jej wyjazdu, skarżył się na zupełny brak wiadomości, na odmówienie mu zwykłego nawet słowa pożegnania. Dziwił się i oburzał na ten tryb życia, jaki pędziła w towarzystwie swego zagadkowego wuja, na tajemniczość, jaką otaczali się oboje, która mogła rzucić na ich sławę, Bóg wie jakie światło.

Dziewczyna słuchała, na wpół go tylko rozumiejąc.

Tryb życia, jaki pędziła dotąd, nie wydawał się jej dziwnym ani niezwykłym, nie znała prawdopodobnie innego.

Rzuciła mu też parę w tym duchu odpowiedzi.

— Tak być nie może, tak dłużej być nie może — obstawał przy swoim Tadeusz. Waćpanna masz zdrowie za delikatne, na to ustawiczne wożenie się taborem, życie takie dobre dla cyganki, nie dla młodej panny z jej urodą, z jej urodzeniem.

Tu nagle urwał zakłopotany, bo przypomniał sobie, że właśnie o urodzeniu Pauli krążyły rozmaite najfantastyczniejsze pogłoski, że on sam nie znał właściwie jej nazwiska.

Paulę w całej tej przemowie uderzyła głównie wzmianka o cyganach.

— Tak! tak — zawołała klasnąwszy w dłonie, mówiono mi już nieraz, że podobna jestem do cyganki. Nazywano mię królową cyganek, lub indyjską księżniczką.

— Kto? kto mógł to waćpannie mówić? — Zawołał zapalczywie Tadeusz.

— Mówił mi to raz, sam najpotężniejszy — odrzekła spokojnie, a także mistrzowie przewielebni i mistrz obrzędów.

Urwała nagle, spostrzegając zdziwienie Tadeusza.

— Co? o kim waćpanna mówisz — pytał, bo przemknęła przez głowę jego straszliwa myśl, że cudna dziewczyna, którą ma przed sobą, jest może biedną obłąkaną isto-

tą, ukrywaną dla tego właśnie przed światem.

Ale ona odczuła w lot instynktowo, że w głowie młodzieńca powstało w tej chwili posądzenie, któreby mogło obniżyć wartość jej w jego oczach. Postanowiła wytłómaczyć się jaśniej, postanowiła dowieść mu, że to co mówi, nie jest wcale niedorzeczne.

— Opowiem panu wszystko — rzekła, pochylając ku niemu swą wdzięczną główkę. — Gościmy tu od niedawna, to jest od kiedy wujaszek orzekł, że edukacya moja jest już skończona i że może mię wreszcie wprowadzić w świat.

Słowa te brzmiały wprawdzie całkiem naturalnie, a przecież Tadeusz zadawał sobie z niepokojem pytanie, kto i w jakich warunkach podejmie się wprowadzenia w świat tej pięknej dziewczyny, która miała za jedynych opiekunów chorą, o awanturniczej przeszłości matkę, starego wuja cudzoziemca i pocziwą, lecz nieoświeconą ochmistrzynię.

W tej chwili stojący w kącie staroświecki zegar wydzwonił jakąś godzinę. Wysłuchawszy tego dzwonienia Paula powstała i chodzić zaczęła nerwowo po pokoju. Tadeusz podążył za nią. Zatrzymali się oboje przed zwierciadłem, które odbiło obie ich twarze, dając przez chwilę obraz dopraszający się pędzla artysty.

Wysmukłe paluszki Pauli ujęły biały jakiś przedmiot, leżący na gotowalni, a jednocześnie ciemne łuki brwi zsunęły się na białem czole. Pracowała widocznie myślą, aż wreszcie powzięła jakąś decyzję.

— Ubierać się muszę — rzekła — Franuleńka zaraz nadejdzie i włosy mi utrefi, ale wpierw upewnić się muszę, że i pan zechcesz być na tem zebraniu; będzie to właśnie mój pierwszy występ tu, w Warszawie.

„Pierwszy występ“. A więc błysnęła Tadeuszowi myśl, że signor Orwi sposobił swą pupilkę na artystkę sceniczną i że Paula występować będzie w teatrze. Nie był rad temu odkryciu, ale postanowił się upewnić.

— Więc ma pani wystąpić w teatrze, a w polskim czy francuskim — zapytał.

— W teatrze? nie, ale ukryta będę za kurtyną. Wyrobię waćpanu wstęp, mam do tego prawo — dodała, potrząsając główką — mam prawo wprowadzić jednego brata, a będzie to tem łatwiej, że wszyscy będą dziś w maskach.

— Więc to reduta? — zapytał jeszcze Tadeusz.

— Nie mam czasu, nie mogę na razie powiedzieć wszystkiego waćpanu. Ale przyślę ci tu zaraz Franuleńkę, ona powie i wyjaśni wszystko. Przyniesie też rzeczy potrzebne do przebrania.



To rzekłszy Paula, której głos od pewnego już czasu drżał tłumioną niecierpliwością, wybiegła szybko, zostawiając Tadeusza samego i pogrążonego w niepewności. Nie dano mu wiele czasu do namysłu. Po upływie kilku minut wtoczyła się do pokoju Franuleńka, niosąc małe zawiniątko, którego zawartość położyła na gotowalni.

— Zechciejcie paniczu włożyć to na siebie — mówiła, wydobywając ostrożnie biały atłasowy fartuszek, parę również białych rękawiczek i spory krzyż, zawieszony na czerwonej wstędze z zielonymi brzegami. Tadeusz pozwolił się bez oporu przystroić w przyniesione przedmioty. Fartuszek upięty został zręcznie pod jego granatową kurtką, skrojoną już po żołniersku na wzór tych, jakie używało wojsko francuskie. Zawiesił też na piersiach pąsową wstęgę z krzyżem. Krzyż ów miał w środku trójkąt otoczony kołem i uwieńczony koroną. Gdy przebranie jego było w ten sposób ukończone, przez uchylone drzwi wysunęła się na chwilkę ciemna główka Pauli. Na ramionach miała zarzucony biały peniuar, a włosy rozpuszczone, spływały jej prawie do stóp.

— Jesteś pan więc teraz kawalerem szkockim — mówiła.

— Takież więc ma być strój kawalera szkockiego? — spytał Tadeusz.

— Nie inaczej. A tu jeszcze oto maska. Teraz nauczyć się jeszcze waćpan musisz znaku i hasła.

To mówiąc, podała mu ćwiartkę papieru, na której wydrukowane było słowo „Szabaleth“.

— „Szabaleth“? — przeczytał półgłosem Tadeusz.

— Naucz się waćpan dobrze tego słowa i odpowiadaj niem na wszelkie pytania. Najlepiej zresztą mówić niewiele.

— Ale pocóż to wszystko? — pytał nieprzekonany jeszcze.

— Chcę, abyś pan widział mój pierwszy występ. Chcę, abyś widział i opowiedział mi później, jak wypadły moje odpowiedzi.

— Ależ, nie wiem doprawdy...

— Dość, dość, nie mam już czasu.

Portyera zasunęła się i Paula znikła. Tadeusz pozostał w towarzystwie ochmistrzyni.

— Zabieraj sobie waćpani te wszystkie fatałaszk i błyskotki — rzekł, robiąc taki gest, jakby chciał zdjąć z siebie przypięty fartuszek i zawieszony na piersiach krzyż.

— Nie bój się paniczu, nie bój się mój gołąbku, nic ci się nie stanie, sama cię zaprowadzę, a potem wywiode z powrotem.

— Ani mi się śni bać się, ale to przecie błazeństwo stroić się w te wszystkie oznaki.

— Nie można, inaczej nie wpuszczonoby pana do łoży. Zróbcie to dla niej paniczu — dodała, patrząc na niego prosząco. — Trzeba przecie, aby ktoś zaopiekował się biedactwem, bo jak mnie nie stanie — dodała, pochylając się ku niemu tajemniczo — ten wujaszek, ten Włoch, słowem, trzeba ratować dziecko od zguby.

— Co mówicie? — pytał Tadeusz z nagłym przestraszeniem.

— Dotąd nic — uspokajała go pani Łunicka — dotąd nic. Bogu dzięki, ja jestem przy niej. Ale widzę przecie, jakimi oczami patrzą na nią ci wszyscy. A stary nic nie wie, nic nie rozumie, zapatrzony Bóg wie gdzie, zasłuchany mędrzec, filozof. Nie widzi, że dziecko niknie w oczach przez te jego, Boże uchowaj, pogańskie praktyki. Tajemna wiedza, powiada, siły przyrody. A tymczasem, widziałeś paniczu, co z niej zrobił. Bładziutka biedactwo, jak opłatek. A tęskni ona za innem życiem, choć go nie zna.

— Ale cóż on właściwie z nią robi? — pytał Tadeusz. — Wykraść mi ją chyba przyjdzie — dodał z nagłą determinacją.

— Nie mogę mówić, przysięgam, ale obaczycie sami paniczu. Pokazać mogę, przysięgam tylko nie zdradzić się mową — powtarzała z pocziwą przebiegłością, pasując

się widocznie z jakimiś skrupułami. — My tu służebni znamy się wszyscy między sobą. Wpuszczono już nie jednego, Boże odpuść, za pieniądze. A to dla dobrego, świętego celu, aby dziecko wyrwać z rąk... E! wolę nie mówić, czary to wszystko, gusła, wolę nie wspominać.

— Więc pójdę — zgodził się Tadeusz, który zaczynał wreszcie rozumieć. — Ale nauczcie mnie, jak się mam zachować.

— Wejdziecie paniczu, a gdy wskażę wam miejsce, starajcie się robić to, co drudzy. Słowo w słowo, jak wypisane na tej kartce. Gdybyście chcieli wyjść, zwróćcie się do służebnego, stojącego przy drzwiach i każcie sobie „zapalić lampę“, co w ich języku znaczy tyle, co nalać szklankę wina. On już — służebny — zrozumie, o co chodzi. My tu wspomagamy się wzajemnie. Wiadomo, ręka rękę myje. Ale chodźmy już.

Wzięła świecę i prowadziła go, włożywszy mu poprzednio maskę. Przechodzili przez sienie i kurytarze. Na chwilę pograżyli się w ciemności jakiegoś podwórka. Wreszcie stanęli przed oświetlonymi schodami.

---

## ROZDZIAŁ IV.

## W loży masońskiej.

— Dalej mi iść nie wolno — szepnęła Łunicka — ale ten pana powiedzie dalej.

Poszeptała coś na uboczu ze stojącym przed drzwiami szwajcarem.

Tadeusz sięgnął do kieszeni i wyjął dukata, którego wsunął dyskretnie do rąk służebnego.

Ten skłonił mu się głęboko, a jednocześnie zdążył szepnąć: „Drugie drzwi na prawo, zapukać, cztery razy po cztery, z przerwami“.

Tadeusz szedł z podniesioną głową, mierząc wzrokiem przez otwory maski nielicznych, widocznie uprzywilejowanych gości, — którzy wraz z nim wstępowali po schodach.

Podążył za innymi na korytarz, szukając oczyma wskazanych mu drugich drzwi. Porozumienie służebnych między sobą musiało się odbywać w czarodziejski i błyskawiczny sposób, gdyż stojący przy drzwiach szwajcar powtórzył Tadeuszowi z własnej inicjatywy wskazówkę o czterokrotnem pukaniu upominając go przytem, aby powiedział hasło!

Zapukał czterokrotnie, po cztery razy, za czwartem uderzeniem drzwi uchyliły się trochę i ktoś niewidzialny wyszeptał kilka niezrozumiałych wyrazów.

— „Sz a b a l e t h“ — rzekł Tadeusz z całą pewnością siebie.

Drzwi otworzyły się szerzej. Buchnęło przez nie krwawe, oślepiające światło, które zmusiło go do zmrużenia powiek. Nie wiedział, co dalej czynić, aby do reszty utorować sobie wstęp, a już za plecami jego następował gość inny, mający jak on, maskę na twarzy, a na piersiach błyszczący krzyż, zawieszony na czerwonej wstędze.

— Klejnot? — Usłyszał jeszcze pytanie.

Machinalnie wskazał ręką na świetne godło, błyszczące mu na piersiach.

Słyszał też za sobą cichy głos, który wymawiał wyraz „Andreas“.

— „A n d r e a s“ — powtórzył bezwiednie.

Drzwi otworzyły się całkowicie, wszedł wraz z drugim jeszcze uczestnikiem zebrania, od którego przejął przed chwilą dalszy ciąg hasła.

Opanował się całą siłą woli, ujął, niejako w garść, rozigrane już podniecającym nastrojem chwili nerwy i baczył pilnie, a ostrożnie, na każdy ruch, na krok każdy nieznanego swego towarzysza. Złożył jak on



ręce na piersiach, tak, że tworzyły one jakby ramiona krzyża, ułożonego podobnie jak ten, który służył tu widocznie za godło.

Pozwolił przypasać sobie szpadę z rękojeścią na krzyż złożoną, poczem zaprowadzono go na miejsce, gdzie usiadł obok dwóch zamaskowanych postaci.

Wtedy dopiero rozejrzeć się mógł dokoła i próbował zdać sobie sprawę z dziwnego swego położenia.

Miejsce, w którym się znajdował, było czemś środkującym pomiędzy kościołem a salą teatralną. Sala ta była obszerna, zakończona owalnie zaokrąglonem wgłębieniem. Wszystkie jej ściany obite były jaskrawym, szkarłatnym adamaszkiem, sufit pięknie rzeźbiony w kasetony, miał również tło pasowe. Na czterech ścianach przybite były duże złożone kandelabry, mające kształt krzyża, z trójkątem w kole i koroną, na wzór tych, jakie wszyscy uczestnicy nosili na piersiach.

W każdym z tych świeczników zatknięto cztery grube, woskowe świece, których płomienie, od blasku szkarłatnych obić nabrały złoto-krwawych refleksów.

Po obu stronach sali ustawione były szeregi krzeseł z wysokimi poręczami, w ten sposób jednak, że nie przytykały nigdzie do ścian, zostawiając wolne przejście dokoła.

W głębi po kilku schodach, przykrytych ko-  
biercem, wchodziło się na wzniesienie, na  
którem stały nie zajęte dotąd wysokie sie-  
dzenia.

U stóp ich leżało coś na kształt skrzyni,  
której wieko wyrżnięte było w dziwaczne  
arabeski, niżej jeszcze, zupełnie na podłodze,  
stał pień pokryty czerwonym suknem, na  
którem spoczywał topór katowski.

Cały ten aparat, obmyślany widocznie na  
wywołanie tajemniczego i pełnego grozy  
wrażenia, wydał się w pierwszej chwili Ta-  
deuszowi teatralnym i niesmacznym. Skoro  
jednak uprzytomnił sobie, że wszedł tu ja-  
ko intruz, nieświadomy formuł i zwyczajów,  
że lada chwila incognito jego może być  
zdradzonem, a jacyś nieznani ludzie pocią-  
gną go do odpowiedzialności, doświadczał  
niepokoju i stał się podatnym do pod-  
dania się nastrojowi wzrastającego podnie-  
cenia, jaki wytwarzał się zwolna wśród  
uczestników dziwnego tego zebrania. Trzy-  
mał oczy utkwione w skrzynię, spoczywa-  
jącą na wzniesieniu w głębi sali, do której  
wszyscy zwróceni byli twarzą, jakoby do oł-  
tarza.

Trzy niezajęte siedzenia nęciły go taje-  
mnicą, budząc w nim rodzaj niecierpliwego  
oczekiwania. Dostrzegał lekkie falowanie  
ściany, zamykającej wgłębienie. Domyślił się,

że jest to zasłona, której usunięcie odsłoni zapewne przed zgromadzonymi coś, co jest właściwym celem zebrania.

Pomyślał przelotnie o Pauli i wnet zapomniał o niej.

Od chwili już płynęła z poza ścian cicha przytłumiona melodia, której dźwięk podnosił się stopniowo, wzrastał, zupełnie tak, jakby jakaś doborowa orkiestra zbliżała się zwolna z wielkiej odległości. Tony jej stawały się coraz to głębsze i potężniejsze. W powietrzu unosić się zaczęła subtelna woń delikatnych, acz dziwnie przejmujących wonności. Rozchodził się przejrzysty, przewonny dym, jakoby płynący z niewidzialnie poruszanych trybularzy.

Naraz orkiestra zabrzmiała w jeden dźwięczny, przenikliwy, potężny i ogłuszający akord.

Wrażenie słuchowe było tak silne i niespodziane, że Tadeusz wzdrygnął się cały i porwał z miejsca, ale jednocześnie oprzytomniał, zbudzony z odurzenia.

Spostrzegł, że wszyscy zebrani wydobyli z pochw szpady, uczynił więc to samo.

Opróżnione przed chwilą miejsca były już zajęte. Zasluchany w melodię, odurzony wonnościami, nie zauważył wejścia trzech nowych osobistości, które zajmowały tu widocznie stanowisko naczelne.

Ludzie ci nie mieli na twarzach masek, więc wpatrywał się w nich ciekawie.

Jeden z nich nie był mu obcym. Widział już gdzieś tę wychudzoną twarz, te rysy ascetyczne i zaciśnięte usta. Tak widział już na pewno, a było to przed kilku godzinami w austeryi papy Mathieu. Był to ten sam osamotniony gość, którego twarz uderzyła go była odrazu niezwykłym swym wyrazem, ten sam, którego milcząca interwencya skłoniła do rejterady radcę von Stierre. Zauważył też wkrótce, że człowiek ten traktowany jest w tem zgromadzeniu z widocznem odznaczeniem, mimo, że nie zajmował pierwszego miejsca, siedząc po prawej ręce tego, który musiał być przewodniczącym zebrania.

Miał on na piersiach i ramionach odmienne odznaki, których wszakże Tadeusz nie mógł dokładnie obejrzeć ze swego miejsca. Twarze dwóch innych ludzi, siedzących na wzniesieniu, nie zwróciły niczem szczególnem jego uwagi, która zresztą zajęła się teraz czem innem.

Oto od chwili już wywiązał się pomiędzy przewodniczącym a niektórymi z członków zebrania rodzaj kabalistycznego dyalogu toczonego w języku niemieckim i polskim na przemiany.

Wysłuchując się weń pilnie, próbował Tadeusz zorientować się w zagmatwanych i tajemniczych zwrotach, powracających wciąż na usta mówców.

Były to jakieś przedwstępne formuły, po których nastąpiło uroczyste otwarcie zebrania.

— Czterykroć przewielebny bracie — pytał przewodniczący — która godzina?

— Czterykroć najprzewielebniejszy budowniku — odparł tamtem — południe pełna, czyli siódma godzina.

— Czterykroć wielebni bracia kawalerowie Szkoccy, Kapituła jest otwartą — rzekł przewodniczący.

Wraz ze słowami temi, powstał w sali dziwny szcęk, pochodzący od trzaskania szablami, w które wielebni Kawalerowie uderzali czterokrotnie; potem nastąpiły oklaski i dziwne nawoływania.

— „Huze“! „huze“! „huze“! — wołali kawalerowie.

— „Huze“! „huze“! — powtarzał wraz z nimi Tadeusz, dostrajając się do ogólnego tonu.

Z czasem wołanie to przeszło w ogólny szmer, jakby wspólnie odmawianej modlitwy czy zaklęcia, poczem przewodniczący, czyli raczej najprzewielebniejszy budownik, przemówił do zgromadzonych.

W przemówieniu tem, którego treść i forma były równie zawile i napuszone, jak cały przyjęty tu ceremoniał, zasłyszał coś Tadeusz o nieszczęściach i ciemnocie, w jakiej pogrążona jest ludzkość, o trudach, jakie należy ponieść, aby ją z niej oswobodzić. O skarbie, którego przechowanie przypadło w udziale Kawalerom szkockim i o zagubionem słowie, które należy im odszukać.

Słuchał słów tych obojętnie, nie dając się porwać ciemnym i ogólnikowym hasłom i obietnicom, od czasu do czasu wstrząsał nim lekki dreszcz niepokoju na myśl o swej nieprawnej tu obecności i o możliwych jej następstwach.

Wreszcie najprzewielebniejszy budownik przedstawił obecnym człowieka o ascetycznej twarzy, jako kawalera Różanego Krzyża, który doszedł już do najwyższych stopni i posiadał najgłębsze tajemnice. Potem przedstawił go jako delegata „Rady Królewskiego Jorku“, mającej siedzibę w Berlinie i założyciela „Wewnętrznego Wschodu“, któremu powierzona została reorganizacya wzniosłej i cudownej sztuki „Wolnego murowania“.

Brat ów, kawaler Różanego Krzyża i mistrz straszliwy wielkiej kapituły Królewskiego Jorku w Berlinie, nawiedzić raczył obecną kapitułę, bawiąc przejazdem w Warszawie i udzieli sam zebrany braciom



wszelkich objaśnień w sprawie zakredetowanych zmian.

Na wezwanie przewodniczącego kawaler Różanego Krzyża powstał, a złożywszy ręce na piersiach, powiódł po zgromadzeniu wyblakłemi i zadumanemi oczyma. Po chwili mówić zaczął głosem cichym, równym, brzmiącym monotonnie, nieco melancholijnie, jak szmer wody, spływającej ze spadzistej pochyłości i spadającej rytmicznie w nurty strumienia.

— Bracia moi! — zaczął. Znajdujecie się w smutku, przygnębieniu i rozpacz. Grube ciemności pokrywają ziemię, szerząc wszędy nieład i żalobę. Siła brutalna włada samowolnie, słowo niegdyś tak potężne, nie może dziś przekonać ludzi. Zbuntowali się przeciw rozumowi, sprawiedliwości i prawdzie, słuchają tylko głosu namiętności i złych popędów. W tym fatalnym kataklizmie rozumów, prace nasze zostały przerwane, robotnicy już się nie poznają wzajemnie, narzędzia rozrzucone, światło zgaszone. Czegóż, niestety, możemy się spodziewać?

W tym sensie mówił jeszcze czas jakiś kawaler Różanego Krzyża. Wymowa jego miała w sobie coś z moralizatorskiego tonu kaznodziei i dydaktycznego nastroju pedagoga. Porywała go niekiedy w górne regiony abstrakcyjnych dociekań, to znów, chwiejąc

się pomiędzy tryumfalną ekstazą z powodu rzekomo odkrytych prawd, a trwożnem zwątpieniem co do istotnej ich wartości, związała żałośnie skrzydła i gubiła się w nieokreślonych skargach, nad rozpaczliwym stanem ludzkości. Wymowa ta była zresztą wiernem odzwierciedleniem burzliwej, niespokojnej i miotanej tysiącznemi sprzecznościami duszy mówcy. Czcigodny Kawaler Różanego Krzyża, mistrz straszliwy Kapituły Berlińskiej i wielki reformator tajemnic i dążeń masonskich, miał za sobą niespokojną i obfitującą w wypadki przeszłość. Spędziwszy lata młodzieńcze w zacisznej celi klasztornej, z której wyrwała go nurtująca umysły współczesne nawałnica zwątpień i buntów duchowych, zerwał święte przysięgi, zapragnął sławy, zaszczytów i ziemskiej miłości. Zaznał też ich obficie. Otoczony uznaniem i wziętością, pozyskał sławę uczonego, bratał się z filozofami, wykladał na wszechnicy, pojmował i odrzucał małżonki, ale wszystko to nie dało mu zadowolenia. Nigdzie nie znalazł zaspokojenia dla trawiącej go bezprzestannie żądzy wrażeń, nigdzie oparcia dla strudzonej wiecznem dociekaniem myśli. Zbratawszy się z lożami masonskimi, odznaczył się szybko wśród członków bractwa, był nawet, rzecz można, w tej chwili na szczycie wziętości, słuchano go, podzi-

wiano, słowa jego przyjmowano z namaszczeniem. Nie wiedział o tem oczywiście Tadeusz, słuchając wywodów mówcy, a słuchał ich zrazu dość obojętnie, potem nie bez zainteresowania, czekając jednak niecierpliwie dalszego ciągu programu. Jakoż doczekał się go wkrótce.

Po rozważeniu zmian projektowanych przez gościa, odśpiewano jeszcze parę hymnów na cześć wolnomularstwa i odbyto po sali rodzaj procesyi, obchodząc ją dokoła i zatrzymując się z oznakami czci przed wzniesieniem, na którem stała skrzynia. Do uszu Tadeusza dochodziły poszczególne słowa zwrotek, opiewających doskonałość zakonu. Melancholijna melodia w połączeniu z migotliwem światłem niesionych pochodni ukołysała go stopniowo i wprowadziła w rodzaj ciwego skupienia.

Bracia śpiewali:

Z pomroczej wieków skrytości  
Powstajem wolni mularze,  
Dla prawdy chcąc i światłości  
Nowe zbudować ołtarze.

Przez trudy, cnoty najczystsze  
W cel zapatrzeni daleki —  
My czeladniki i mistrze,  
Związani z sobą na wieki.

Lecz próżno! w morzu ciemności  
 Zatopion zbawienia znak,  
 Ciało odpada od kości  
 O „Giblim“! O „makbenak“!

Tu śpiew przechodził w smętny, żałosny ton, wyrażający beznadziejne zwątpienie. Po pauzie jednak głosy śpiewaków stawały się żywsze. Melodya przechodziła w rytm bardziej zdecydowany.

Krzepcie się bracia mularze!  
 Zbierajcie siły na nowo.  
 Wam wielki budownik każe,  
 Odnaleźć zgubione słowo.

Już oto jutrzienka świta —  
 Już chwila tryumfu bliska,  
 Prawda od wieków ukryta  
 Trumienne wieko odciska.

Już krwi ocieka rubinem  
 Rozdarta pierś pelikana —  
 Godło zwyciężkim wawrzynem  
 Oplotła gałąź różana.

Dwie ostatnie strofy skomponowane były okolicznościowo, na cześć gościa, który, jako kawaler różanego krzyża, nosił jako klejnot na piersiach, pelikana karmiącego własną piersią dziatwę, u stóp krzyża oplecionego gałązką różaną.

Po ukończeniu obrzędów, kawalerowie usiedli znów na swych miejscach, a przewodniczący zarządził głosowanie, oświadczając zarazem, że ci, którzy nie zgadzają się na zaproponowane zmiany, opuścić powinni salę, nie zdradzając swego incognito. Pozostali mieli odsłonić twarze i odbyć dalszy ciąg obrad bez masek. Ci, którzyby wyszli w tej chwili, uznani będą temsamem za wykluczonych z obecnej kapituły i mogą szukać sobie przytułku w innej loży. Chwila to była krytyczna dla Tadeusza. Mógł wprawdzie wyjść z sali zamaskowany i położyć w ten sposób koniec swojej przygodnej wizycie intruza, ale chybiłby temsamem celu, dla którego tu się znalazł. Czuł się poniekąd związany obietnicą, a przytem zauważył, że nikt z obecnych nie okazywał zamiaru opuszczenia sali, gdyby więc on sam tylko wyszedł, krok ten zdradziłby go łacniej jeszcze, niż odsłonięcie maski.

— Nikt mnie tu nie zna — pomyślał i z rozpaczliwą determinacją zerwał z twarzy maskę, co też uczynili inni członkowie zebrania. Nie wiedział, jakie następstwa pociągnie za sobą ten krok, spuszczał się na losy i robiło mu nawet przyjemność to igranie z nieznanem. Nie bez ukrytej jednak trwogi, spojrzał na zebranych, po ogólnem zdemaskowaniu. Tu czekała go niespodzianka. Prze-

konany był, że jako świeżo przybyły do Warszawy, nie spotka tu ani jednej znajomej twarzy. Tymczasem w pierwszych szeregach rozpoznał od razu parę osób, należących do wysokiej arystokracji, znanych wogóle całemu miastu. Rozpoznał Stanisława Potockiego, ministra oświaty i Ludwika Gutawskiego, prezesa rady stanu, których pokazywano mu jako wybitnych mężów — przy nich siedziało kilku jeszcze dygnitarzy, ale stanowili oni grupę odosobnioną. Większa część zgromadzonych trzymała się zdala od tych kilku wybranych, stanowiąc jakby grupę popolitaków, związanych z sobą pewnem nieokreślonem podobieństwem.

Milczeli w tej chwili, ale wkrótce przekonał się Tadeusz, że mówili prawie wyłącznie po niemiecku. Na szczęście dla siebie, znajdował się właśnie wśród nich i z tego może powodu nikt nie zwrócił na niego szczególnej uwagi. Tak mu się przynajmniej zdawało. Naraz uczuł, że ktoś ścisnął nieznacznie jego rękę. Spojrzał, tuż obok niego siedział Signor Orwi. Włoch nie patrzył wcale w jego stronę i zdawał się go nie poznać, ale ten tajemniczy uścisk dodał mu otuchy. Paula musiała go widocznie polecić opiece wuja, który potrafi już jakoś usprawiedliwić jego tu obecność. Odzyskał humor i zaczął śledzić z całą już swobodą dalszy



przebieg wydarzeń. Czuł się jakby na ciekawym widowisku, słuchał więc ze świeżą uwagą kabalistycznych przemówień przewodniczącego i jego rozporządzeń.

Czterykroć przewielebny mistrzu dozorca, mówił prezes, udaj się do izby rozwagi i wprowadź do sprawiedliwej i doskonałej naszej kapituły, oczekujących tam delegatów. Polecenie to zostało spełnione, z odpowiednim ceremoniałem i delegaci weszli do sali. Byli to trzej młodzi ludzie w wojskowych mundurach. Weszli równym, miarowym krokiem; krokiem lekkim i butnym, jakim kroczyli zapewne w czasie pochodu, lub na manewrach wojskowych. Wraz z wejściem ich prysnął i ulotnił się w jednej chwili, duszny ciężki i przeładowany sztuczną tajemniczością nastrój, jaki panował tu dotąd. Widocznie było, że ta niefrasobliwa młodzież, nie wiele sobie robi z żądanych rytów i ceremoniałów, że nie zaimponują jej mgliste przemowy i zagadkowe symbole.

— Skąd przychodzicie bracia? — zagadnął ich przewodniczący.

— Z doskonałej i sprawiedliwej łoży, Zjednoczonych Polaków i szczerých wiarusów, odpowiedział śmiały wesoły głos.

— Szczęście, błogosławieństwo i pozdrowienie, udzielamy łoży waszej, w imieniu rady królewskiego Jorku i Fryderyka Wilhelma

pod Kolumną — rzekł wtedy z namaszczeniem przewodniczący.

Usłyszawszy te słowa, młody delegat w mundurze, uśmiechnął się lekceważąco, uderzając po wstążce popielatej, przewieszonej przez lewą pierś, na której przymocowany był medal, kształtu owalnego, zaopatrzony w pewne odciski i napisy.

— Wielki mistrz katedry generał Wincenty Aksamitowski ma zaszczyt oświadczyć przez nasze usta, że łoża nasza dependować będzie jedynie od Wielkiego Wschodu Francji, rzekł stanowczo.

— Dokąd nie powstanie tu w Warszawie, własny nasz polski Wschód Narodowy, dorzucił drugi delegat, przyczem obaj skłonili się lekko, w stronę Stanisława Potockiego i Ludwika Gutawskiego, upatrzonych już na polskich dygnitarzy przyszłej łoży.

Usłyszawszy to oświadczenie, Niemieccy bracia, nie mogli się wstrzymać od cichego szemrania, co nie wywarło jednak żadnego wrażenia na przedstawicielach szczerych wiarusów. Jeden z nich, brat Maksymilian Fredro, piastujący w swej łoży godność mistrza obrzędów, objaśniał ze swadą zgromadzenie o znaczeniu symbolicznych godeł, przyjętych przez nową łożę.

— Nosimy — mówił — godło nasze na popielatej wstędze, gdyż jest to barwa, którą

przywdziewa chętnie wielki cesarz Francuzów. W niej to ukazał się po raz pierwszy na naszej ziemi i dlatego miłszy nam jej widok, nad wszelkie świetne i jaskrawe kolory, przyjęte w innych łóżach. Pałasz z napisem, przypomina nam, żeśmy otrzymali broń z potężnego jego ramienia, dla odzyskania wydartej nam wolności, a ręce złączone, są alegoryą rozbitego narodu naszego, który jednoczy się w duchu pod gwiazdą wielkiego Napoleona. Wygłosiwszy swój program, delegaci zajęli miejsca.

— Bracia! Do porządku, rzekł przewodniczący, ratując honor germańskich kawalerów, którzy stanowili tu przeważny żywioł przed rokiem jeszcze, a dziś musieli znacznie spuścić z tonu. Odłóżmy na inny raz rozważenie tej jeszcze nie dość jasnej kwestyi, a przystąpmy raczej do ostatniego punktu programu, przed otwarciem łoży stołowej.

— Jeśli Najprzewielebniejszy ma jakąś wątpliwość, co do dependencyi naszej łoży, to pozwalam sobie powtórzyć raz jeszcze, że sprawa ta jest już stanowczo rozstrzygniętą i że posłaliśmy już gdzie należy rys budowniczy naszego Związku — rzekł Fredro — ale — dodał jeszcze — chętnie przyjmiemy tu udział w ostatniej części programu, bo i nas doszły pogłoski o cudownem zjawisku, jakie oglądać tu można.

— Do porządku bracia, rzekł raz jeszcze przewodniczący, ty zaś Kawalerze dozorczo, czyń swoją powinność i przekonaj się czy loża jest dostatecznie opatrzone.

— „Światowi“ są oddaleni, odparł wezwany, a kapituła nasza w doskonałym jest bezpieczeństwie.... Tu jednak dało się znów słyszeć czterokrotne pukanie.

— I któż to jeszcze poważa się zakłócić spokój naszych obrad? zapytał przewodniczący.

— To czcigodne siostry masonki zapytują, czy wolno im będzie współuczestniczyć w ostatnim obrazie.

— Niech wejdą! niech wejdą! zawołało kilka wesołych głosów, nie czekając na przyzwolenie przewodniczącego, który zresztą nie sprzeciwiał się wkroczeniu do sali czcigodnych sióstr masonek. Weszły więc, ale w tejże chwili zgaszono światła, pozostawiając tylko w jasności wzniesienie wraz z tylną kurtyną. Tadeusz nie mógł więc widzieć twarzy wchodzących, lecz usłyszał szelest jedwabnych sukien, a do nozdrzy jego dolatywała subtelna woń delikatnych pachnideł, świadczących, że damy musiały zająć miejsca, w pobliżu jego krzesła. Usłyszał jeszcze wezwania skierowane do braci artystów, by rozpoczęli na swych instrumentach stosowne do okoliczności harmonie, przyczem mówca lo-

żowy wygłosił twierdzenie, że „masonia nie tylko jest „wiecznotrwałą“ dzięki swej sile wewnętrznej, ale też przyozdobiona jest niezgasłą pięknoscią“. Zabrzmiała znów cicha przytłumiona melodia, dziwnie słodka i mięka, w głębi zaś, tylna ściana uniosła się w górę, niby kurtyna w teatrze, a oczom widzów ukazał się obraz zaprawdę czarujący. Na tle groty, której ściany oplecione były i przysłonięte obfitością kwitnących krzewów, siedziała nieruchomo jasna postać dziewczęca. Żaden zaiste artysta, władający pędzlem i lub dłutem, nie zdołałby wyśnić w najśmielszych marzeniach równie doskonale pięknego zjawiska. Taki był głos powszechny i szmer podziwu przebiegł po sali.

— Adorable! szeptały różane usteczka sióstr masonek.

Były to wszystko damy najwyższych sfer towarzyskich i mogły unosić się bez zastrzeżeń nad pięknoscią istoty, należącej do tak innych, tak odległych regionów, iż nie groziła im z jej strony żadna poważna rywalizacya. Chybaby kaprys którego z wysoko urodzonych braci, rozgorzały w trwałą namiętność narzucił ją wielkiemu światu; a zdarzało to się niekiedy w tych burzliwych czasach, w których fortuna lubować się zdawała, w szybkim i niespodzianem przedstawianiu światowych i społecznych wartości. Bra-

cia masoni, wyciągali szyje jak żórawie, chłonąc spojrzeniem to objawienie niezrównanej piękności, ukazane ich oczom.

Paula siedziała w naturalnie wdzięcznej pozie, z szeroko rozwartemi oczyma. Panujące w sali ciemności, nie dozwoliły jej na szczęście dostrzedz utkwionych w nią rozplamionych zachwytem źrenic, które by ją może mieszały. Czuła tylko niejasno panowanie swe nad tem ludzkim zbiorowiskiem, a fakt ten przenikał ją uczuciem subtelnej radości i współświadomej dumy. Zapatrzeni w nią widzowie nie dostrzegli przez dłuższą chwilę, stojącej obok niej postaci, która jak duch ciemności, zgasić miała wkrótce promienne zjawienie; nie dostrzegli signora Orwi.

— Oddaj się cała sile nieznanej, zatrac wolę własną, szeptały usta Włocha, pochyłonego nad pupilką. Przez chwilę ośwładnął go srogi niepokój, bo dusza ta zazwyczaj tak uległa, wymykać się zdawała z pod jego władzy. Paula nie słyszała zda się szeptanych jej do ucha wyrazów, nie odczuwała magnetycznego działania szybkich, nerwowych rzutów rąk — wykonywanych przez Włocha w pobliżu jej twarzy. Odstąpił więc parę kroków, chcąc użyć ostatniego, najsilniejszego, jak mniemał środka. Na skinienie jego zgaszono resztę światła i podano mu mleczną kulę, ustawioną w drewnianym aparacie, po-



dobnym do tych, w jakie oprawnymi bywają, naśladowujące kulę ziemską, globusy. Rozświecona od wnętrza biała kula zapłonęła jasnym, łagodnym blaskiem, stanowiąc jeden jedyny punkt świetlny w zupełnie ciemnej sali. Paula zwróciła machinalnie oczy na tę białawą głównię, wtedy dopiero ogarniać ją zaczęła senność, członki jej drętwiały stopniowo, powieki opuściły się ciężko, rzucając długimi rzęsami cień, na kredowo blade policzki. Zatrzepotała niemi jeszcze parę razy, jakby broniąc się od narzuconego jej przemocą stanu, poczem rysy jej stężały, zastygły niejako w posagową nieruchomość — wpadła w stan kataleptyczny. Włoch ujął wtedy w obie ręce kulę mleczną, a stanawszy przed uśpioną, postąpił parę kroków wzdłuż estrady. Paula podniosła się automatycznie i szła za nim nieodstępna jak cień. Zdawało się, że oczy jej, przebiwszy wąż zasłone z puszystych powiek, wpatrzone są uparcie w tę białą pochodnię, gotowe pójść za nią na kraj świata. Z pomiędzy widzów, śledzących z zapartym tchem przebieg ciekawego eksperymentu padł nagle stłumiony okrzyk.

Wybiegł on z ust Tadeusza na widok sceny, będącej wiernem odtworzeniem tej, której był mimowolnym świadkiem w sieni opuszczonego pałacu. — Porwała go głucha wściekłość, a pierwszym jego impulsem była

chęć przeciśnięcia się do estrady i roztłuczenia na drzazgi przeklętej białej lampy. Rozprawiliby się też chętnie przy tej sposobności z signorem wujaszkiem, bo w tej chwili dopiero zrozumiał całą doniosłość zarzutów stawianych Włochowi przez zacną Franuleńkę. Piękny on opiekun, frymarzący bajeczną urodą swej czarującej pupilki i wystawiający ją na widok publiczny dla swoich doświadczeń. Wszystkie instynkta szlacheckiej dumy, zbudziły się w nim i burzyły się na myśl o tych procederach. Ogarnął go też żal i gniew na całe zgromadzenie. Na te damy i tych wysoko urodzonych ichmościów, którzy dla marnej ciekawości, uświęcali swą obecnością tego rodzaju widowiska. Bracia? Siostry? Komedia to wszystko. Farmazoni.

Nawymyślałby im też z czystem sumieniem, tak jak to czyniono nieraz w rodzinnych jego stronach, mówiąc o tajemniczych schadzkach zagadkowego bractwa.

Włoch, rzecz zwyczajna, ciągnie zyski, chciwy na złoto. Ale oni wszyscy, czy nie widzą tego, czy nie czują, że spadli tu jakby zgryja wampirów; że ta zabawka jednej godziny, niszczy młode siły delikatnej, wątłej istoty, wypija z niej rumieńce młodości, pobiera bledziutkie wargi. Cóż im z tego, że chodzi tak jak lunatyczka. Cóż im z tego?

Robił sobie łokciami miejsce, chcąc przystąpić bliżej.

— Pst! wołano na niego. Ciszej! Zaczyna mówić.

Przystanął o kilka kroków zaledwie od miejsca, w którym znajdowała się Paula. Znakomitsi członkowie zebrania, zadawali już jej jakieś pytania. Przystanął i on i słuchał zdumiony.

— Widzisz go? Pytał po włosku signor Orwi. Czy widzisz gdzie on jest?

Pytano o cesarza Francuzów. Paula mówić zaczęła, mając wciąż powieki spuszczone, ale głos, który wychodził z jej ust, nie przypominał niczem dźwięcznej, pieszczotliwej jej mowy o lekko śpiewnym akcencie, który przejęła od Franuleńki.

Głos to był głuchy, drewniany, a przytem chwilami tak niski, że prawie męski. Brwi na białem czole zsunięte były z głębokim namysłem, przejrzyste dłonie poruszały się niespokojnie, jakby szukając oparcia.

— Widzę, rzekła, tak! widzę. Przed nim szabel błyszczących łań. To oni.

— Kto? spytał jakiś głos.

— Rycerze... Jeźdźce... Czapki na nich ogniste. Nad czołem słońce złote. Jego słońce.

— Nasze mundury! szeptano z podziwem. Czapki szwoleżerów. Opisała je tak dokładnie, jakby je miała przed oczyma.

— I cóż? pytano dalej. I cóż? Jaki los czeka tych rycerzy? Czy wrócą?

Włoch powtarzał te same pytania tuż prawie przy twarzy uśpionej, nadając im pewne charakterystyczne zwroty.

— Rycerze? mówiła Paula ociągając się. Rycerze? Widzę ich. Jak wichher rozbiegane konie ich. Jak wichrów stado.

— Czy zwyciężą? — pytano znów. — Czy wyjdą z chwałą?

— Wawrzyny! tak, wawrzynów las, wszędzie gdzie stąpią. Wawrzyn stroi im hełmy rycerskie. Zieleni się w zastygłych dłoniach, oczy zasłania przygasłe. Kiry rozesałano pod stopy ich, rozpięto nad głowami, ale i te umai wawrzynów moc. Kiry i wawrzyny, to zdobycz ich. Wawrzyny i kiry. Och!

Zimny dreszcz złowieszczych przeczuć powiał po zgromadzeniu. Ci, którzy cisnęli się dokoła estrady byli to wyłącznie Polacy, a gonili w tej chwili myślą pułki odległe, pułki wydane w moc wszechwładnego tryumfatora, dane mu na wysługę, prawie na zakładnika. Pieszczochy to były losu ci żołnierze, dzieciuchy prawie, w miękości chowane, w bogactwie.

Takich właśnie chciał mieć przy sobie, takich zażądał. I poszli ochotnie na jego wezwanie, prawie jak na zabawę, jak na wojсковą paradę. Oszczędzał ich dotąd wódz tryumfator. Obozować im dał spokojnie w Chantilly, ćwicząc ich do przyszłych występów. I świat cieszył się nimi jeszcze, a oni światem. Niektórzy z obecnych tu, mieli wśród nich bliskich przyjaciół lub krewniaków. Tu i ówdzie padło wyszeptane nieśmiało imię, z zapytaniem, czy wróci?

— Nie, nie — odpowiadała najczęściej Paula z żalosnym jękiem. — Och! nie!

Od pewnego czasu zależność jej od ruchów magnetyzera ustała zupełnie. Osunęła się na krzesło, które jej podano, podniosła powieki. Ale oczy jej w tem ekstatycznym naprężeniu stały się jakieś dziwne, przestraszająco piękne, patrzące w dal, a nie widzące.

Naraz odbiła się w nich śmiertelna trwoga. Tak wielu — jęknęła znów — tak wielu i on także? Och nie, tylko nie to!

— Paulo! — szepnął Tadeusz, który stał teraz tuż przy niej, zdając sobie sprawę od pewnego już czasu, że to czego jest świadkiem, przekracza zwykłą miarę ludzkiego zrozumienia.

Ale głos jego podziałął naraz cudownie na uszponą. Członki jej pozbyły się sztywno-

ści, oczy spojrzały przytomnie, blade usta uśmiechnęły się słabo. Wyciągnęła ręce do młodzieńca i widocznem było, że jego tylko poznaje tu i dostrzega.

— Jak to dobrze! — rzekła cichym, lecz już zupełnie naturalnym głosem — jak to dobrze, że się zbudziła. Miałam sen, taki okropny sen.

Chciała podnieść się, ale sił jej zabrakło. Nadmierny, potworny prawie wysiłek do jakiego zmuszono jej wolę, pokonał ją do reszty. Oczy jej zwarły się, śmiertelnie blade usteczka odchyliły się. Wyglądała w tej chwili prawie strasznie. Tadeusz porwał ją bez namysłu na ręce i z pomocą dwóch braci wiarusów, którzy znaleźli się jakoś tuż przy nim, niósł ją ostrożnie ku wyjściu. Poprzedzała ich wyrosła jak z pod ziemi Franuleńka, wołając:

— Tędy panowie tędy! proszę za mną!

W parę minut znaleźli się w jej mieszkaniu i złożyli omdloną na łóżku, a usunawszy się do przyległego pokoju, czekali na wiadomość o stanie chorej.

— Czy to krewna wasza panie kolego lub dobra znajoma? — pytał Tadeusza młody wojskowy, towarzysz brata Fredry, który pomógł mu przynieść tu omdlałą.

— Nie! nie! — zaprzeczył żywo Tadeusz — znam ją właściwie bardzo mało.



Wymawiając te słowa osądził się sam w duchu za nikczemnika, bo w gruncie wstydił się jej znajomości. Bo uwielbiając Paulę i czując dla niej jednocześnie bezbrzeżną litość czuł, że to, co nazywała swem pierwszym wystąpieniem, stawia pomiędzy nim a nią nieprzebytą zaporę, bo odnalazłszy ją po tak długim tęsknem oczekiwaniu, czuł, że traci ją na zawsze, stokroć bezpowrotnie, stokroć nieodwołalnej niż pierwej.

W tej chwili wtoczyła się do pokoju Franuleńka, a obejrawszy się podejrzliwie dookoła siebie, zamknęła i zaryglowała starannie drzwi wchodowe. Młodzi ludzie spojrzeli po sobie zdziwieni, ale ona przystąpiła do nich i jęła im wyłuszczać przyczyny swego postępuku.

— Nie wpuszczę do niej tego niby Włocha, wujaszka, ani żadnego z tamtych. Panowie inna rzecz, wojskowi, ludzie z honorem, a przytem swoi. Lekarza tu potrzeba, a potem! No! to już mnie wiadomo, co potem mruzczała raczej do siebie.

— Jest tu na szczęście nasz lekarz łożowy, a także i pułkowy Dr. Ginzig, skoczę po niego, a za małą minutę może tu stanąć. — Zechcecie go może przyprowadzić panie kolego — rzekł nieznany Tadeuszowi młody wojskowy.

— Ależ tak, bez wątpienia — odparł Sawicki, rad z tej sposobności wyjścia z dziwnego położenia, w jakim się znajdował.

Przypomniał bo sobie znów, że wkroczył niedyskretnie w tajne, zamknięte koło ludzi, gdzie mają go za swego, kiedy on właściwie o niczem nie wie. Powziął też szybkie postanowienie, a zbliżywszy się do Franuleńki, rzekł z cicha.

— Proszę, przyślij mi waćpani jutro wiadomości o jej zdrowiu. Ja tu więcej nie przyjdę, ja tu przychodzić nie mogę.

Stara popatrzyła na niego uważnie mądrymi swemi oczami.

— Wiedziałam, wiedziałam ja z góry, że wam to nie będzie po myśli paniczu. Ano widzieliście sami, a teraz Bóg z wami. Pieńędzy nie potrzebuję — dodała, oddając mu sztukę złota, którą jej w rękę wciskał.

— Lekarza przyślę — rzucił jeszcze na odchodnem Tadeusz.

Wstydził się trochę przenikliwego wzroku Łunickiej, która, zdawało mu się, odgaadywała właściwe jego uczucia, wstydził się do pewnego stopnia myśli, które nurtowały w nim skrycie. Wszakże nie rad już był temu spotkaniu, którego pragnął niedawno. Pozbyć się chciał prawie tych zażyłych stosunków i ochłodzić je, oddalić, a może zerwać. Gdy byli już przy drzwiach, Łunicka otwo-

rzyła im je, a jednocześnie wręczyła im klucz, mówiąc:

— Dajcie go panowie doktorowi, niech sam otworzy, prócz niego nie wpuszczę tu nikogo, jak mi Bóg miły, nikogo.

Zdawała się wciąż obawiać jakiegoś najścia, jakichś niepożądanych odwiedzin. W kilkanaście minut później doktor Ginzig, młody, inteligentny, medyk w wojskowym mundurze, udzielał chorej pierwszej pomocy. Franuleńka zaś spełniła wiernie swój program.

Napróżno Signor Orwi pukał kilkakrotnie do zaryglowanych drzwi, otrzymywał za każdym razem odmowną odpowiedź, wypowiedzianą tonem, od którego lekki dreszcz przechodził po skórze uczonego. Znał on z doświadczenia te wybuchy nienawiści starej ochmistrzyni i wiedział, że potrafi w takich chwilach rzucać się jak lwica w obronie swych małych.

Dał więc na razie za wygraną, mimo, że został formalnie wyrzucony z własnego mieszkania. Nie popsuło mu to jednak humoru, bo wystąpienie Pauli uwieńczone było, mimo jej omdlenia, świetnem i stanowczem powodzeniem.

Powrócił więc do ogólnego lokalu, gdzie odbywała się już tak zwana łoża stołowa, to jest suty bankiet ze śpiewami i toastami.

Bracia masoni wymieniali grzeczne i wesołe madrygały z czcigodnymi siostrami, a signor Orwi zaszczycony został długą i wyczerpującą rozmową przez znakomitego gościa z Berlina.

Siedzieli tak do późna w nocy, poczem opiekun Pauli zaryzykował powtórnią wyprawę pod drzwi własnego domu, przyczem towarzyszył mu gość z Berlina.

Zbliżone pojęcia i pokrewny sposób myślenia ułatwiły im porozumienia się tak dalece, że signor Orwi zdążył nawet zwierzyć się mistrzowi kapituły Wielkiego Jorku ze swoich domowych kłopotów. Mistrz straszliwy, nie okazał się wcale nieprzystępnym dla nowego swego przyjaciela, — umiał owszem współczuć jego kłopotom, umiał zniżyć się do codziennych zwyczajnych drobnostek życia.

Powracali więc w najlepszej harmonii, — zmierzając do zabudowania, gdzie uprzejmość braci łóżowych przeznaczyła mieszkanie gościowi. Zabudowanie to leżało tuż obok domu, w którym mieszkała Paula.

W chwili, gdy przechodzili mimo, signor Orwi ujrzał zstępującą po schodach Franuleńkę, która, trzymając w ręku zapaloną latarkę, żegnała z oznakami szacunku i wdzięczności człowieka w sukni duchownej. Na ten widok Włoch cofnął się niechętnie i rzekł półgłosem.

— Och, zważ tylko Signor mio — księdza sprowadziła odżegnywać ją, jak od guseł. Ciemna kobieta, gotowa wzbudzić w pupilce mojej niepotrzebne skrupuły. Ale mistrz straszliwy nie odrzekł nic na tę poufną uwagę, a Włoch zauważył ze zdziwieniem, że gość berliński nie spuszcza oka z twarzy księdza, oświeconej w tej chwili jasno światłem latarki. Tamten poczuł widocznie uparte to spojrzenie, bo zatrzymał się i zwrócił na wpatzonego w siebie mistrza jasne kryształowe oczy dziecka, osadzone w twarzy steranej już wiekiem, ale tchnącej pogodą i spokojem. Pociągnięci nieprzepartą siłą, postąpili obaj ku sobie, a ręce ich zetknęły się. Po tylu latach, mając już za sobą młodość i wiek męski, mając za sobą całe już upłynione prawie życie, spotkali się oto dwaj niegdyś przyjaciele, bracia prawie, nie mający niegdyś tajnej myśli przed sobą, a dziś przedzieleni całem morzem odmiennych pojęć i przeżyć.

— Aureli! — Hieronim! zawołali prawie jednocześnie. Stali przez chwilę, nie wiedząc, czy rozstać się mają, po tem niespodzianem spotkaniu. — Wiedzieli coś nie coś o sobie, rozumieli, że trudno im będzie zejść się i zgodnie z sobą obcować, ale wspomnienia młodości zwyciężyły pierwsze instynktowe wahanie.

— Ty tutaj? przemówił pierwszy ksiądz. Jakże to? czy na długo?

— Wyjeżdżam jutro odparł mistrz głosem, w którym brzmiał niepokój, miotający nieustannie smutną jego zwichrzoną duszą.

Parę godzin zaledwie dzieli mnie od wyjazdu, bo świt już niedaleko. Do snu kłaść się nie warto, a i tak rzadki to u mnie gość sen spokojny. Gdybyś więc chciał poświęcić mi trochę czasu.... Ksiądz zawahał się chwilę. Wiedział dobrze, kim jest dziś dawny jego przyjaciel i u kogo przyjmuje gościnę. Budziło to w nim pewne skrupuły. Ostatecznie dawne dobre wspomnienia przełamały niepewność i signor Orwi, widząc się zaniedbanym, podążył do siebie w nadziei złagodzenia rygoru ochmistrzyni — tamci zostali z sobą.

Weszli do jasno oświetlonego apartamentu, gdzie czekał ich wesoły ogień, palący się na kominku, a komfort urządzenia świadczył o względach, jakie mieli bracia łożowi dla wysokiego gościa.

Teraz dopiero spojrzeli na siebie uważniej. Pomimo lat ubiegłych i całej masy przeżytych wrażeń, odnaleźli w tej chwili w sobie jakąś iskrę wspólnych młodzińczych wspomnień i uśmiechnęli się do siebie dawnym dobrym uśmiechem. Godziny upływały im na rozmowie, a rozmowa ta prowadzona



zrazu ostrożnie, niejako wywiadowczo, przeszła nieznacznie w ton szczerých braterskich wynurzeń. Oczy zaiskrzyły się im jak ongi, gdy na ławach jeszcze szkolnych gorącym choć niedojrzałym umysłem rozbierali palące kwestye i zagadnienia. Mówili o życiu własnem, ale wypadki przeżyte schodziły w zwierzeniach ich na drugi plan, ustępując miejsca związanym z nimi zasadniczym ideom.

Z ust księdza wybiegały od czasu do czasu okrzyki zdziwienia lub wyrazy ostrej przygany.

Tamten uśmiechał się pobłażliwie, tłómaczył, wyjaśniał.

— Żonę pojęłeś? mówił surowo ksiądz.

— I nie znalazłem szczęścia, bracie. Kobieta szczęścia nie daje, a ognisko rodzinne całą jest więzienną tym, których orla myśl wybiega w podniebne szlaki.

— Bo czystem musi być ognisko to, rozpalonem w imię świętych i prawych uczuć wolnem od zdrady i krzywoprzysięstwa. — Tu ksiądz urwał. Nie chciał posuwać się za daleko. Nie chciał ranić zbyt boleśnie dawnego przyjaciela, tembardziej, że dostrzegał i wyczuwał aż nazbyt dobrze, że serce byłego alumna, jak ptak wytrącony z gniazda kołuje w próżni i tęskni do cichej przystani, od której oderwała go myśl zawrotna. Ale tamtem podniósł już rzucony pocisk.

— Życie rodzinne? — mówił z przejmującym szyderstwem — rodzinne ognisko? Szereg drobnych egoizmów, tuczących się pasożytniczo zasobem najlepszych sił ludzkich społeczności. Nie takie drogi otworzyć chcemy ludzkości — nie takie ukazujemy jej światła. I rozwodzić się zaczął szeroko nad wielkością zamiarów, jakie żywią on i jemu podobni, nad dążeniami, które wiodą w prostej linii do uszczęśliwienia świata, przez związanie wszystkich mieszkańców ziemi węzłem bratniej miłości.

Teraz z kolei książdz słuchał wywodów dawnego kolegi z uśmiechem pobłażania.

— Wszak to, coś wyrzekł nakazem jest Chrystusowym, głoszonym już przed wiekami — pogańskiemu światu. I w czemże tkwi to wielkie odkrycie wasze? na czem polega jego nowość?

— Dla nagrody wiecznej mieli ukochać cnotę, my żądamy jej bezinteresownie — rzekł twardo mistrz.

— Czy tylko to, czego żądacie, jest prawdę cnotą? Czy nie gnieciecie słabszych w imię wolności? nie wprowadzacie w błąd ciemnych w imię oświaty? Ty sam wykładając na wszechnicy, służyłeś oświeconemu despotcie. Uciśnionemu narodowi obcą narzuciłeś mowę, obce mu niosłeś prawo.

Usłyszawszy ten zarzut, mistrz kapituły berlińskiej okazał szczere zdziwienie.

— Nie rozumiem rzekł, czym chcesz być rzecznikiem.

Dzieliłem się ze słuchaczami moimi całym zasobem posiadanych umiejętności. Czemże są zresztą ciasne zapory narodowe i językowe różnice, wobec życiodajnego światła — wielkiego ogniska wiedzy. Wiedza bracie nie zna dla siebie przeszkód ni ograniczeń. Żyje i rozwija się sama przez się i nie przestaje być sobą, bez względu na to, w jakiej układano ją mowie.

— Wiedza prowadzić musi do poznawania praw Bożych, wy zaś robicie z niej nowoczesnego Molocha lub narzędzie ucisku.

— Nie rozumiem.

— Wiem, wiem. Rozumieć tego nie możecie, ty, ani tobie podobni. Ale ja, który od lat całych patrzę na robotę waszą. Tak, ja przyszedłem tu także jako cudzoziemiec, jako człowiek obcy. Ale skoro losy kazały mi pracować wśród tego ludu, poznałem język jego, obyczaj, zrosłem się z nim i czuję z nim — jednako.

— Stałeś się Polakiem?

— Skorom rozważył ogrom krzywd wyrządzonych temu narodowi, nie mogłem postąpić inaczej. Zresztą my kapłani, żyć musimy życiem tych, wśród których pracujemy.

Nie pozostawało mi, jak stać się bratem ich, lub odejść. Wybrałem pierwsze.

Mistrz zaprotestował w imieniu wszechludzkich ideałów. Rozmowa przeplatana namiętnymi sporami, potoczyła się dalej. Zastał ich jeszcze na niej dzień wschodzący. Widząc poświatę słoneczną, płynącą przez szyby okien, ksiądz pierwszy począł się żegnać. Wzywały go zajęcia codzienne, a przede wszystkim msza święta, którą odprawiać zwykł ze świtem. Uściskawszy raz jeszcze dłoń dawnego kolegi, zawahał się chwilę, a wreszcie rzekł.

— Kto wie, może Opatrzność sama sprowadziła dziś to nasze spotkanie. Ty, jak słyszałem, masz wysokie znaczenie wśród tych masonów, iluminatów, czy jak ich wreszcie zowią. Słowo twoje musi u nich ważyć.

Mistrz podniósł na to głowę z niejaką dumą.

— Wiedz o tem, rzekł, że słowo moje waży nawet u monarchów, lub u tych, którzy stoją bardzo blisko tronów. Są wszelako i tacy, którzy mię nienawidzą.

— Nie chodzi tu o monarchów ni o sprawy wszechświatowe, ale o jedną młodą niewinną duszę, o jedno młode życie, które ratować należy.

— I ja mógłbym ci w tem dopomódz? O kim więc mówisz?

Widziałeś ją dzisiaj. Młode dziewczę za-  
ledwie wyszłe z dzieciństwa, znajduje się  
w ręku ludzi, którzy używają jej za narzędzie  
dla swych samolubnych widoków, podkopują  
bez skrpułów żywotne siły młodego orga-  
nizmu, a w ostatecznym wyniku wtrącić ją są  
zdolni w odmęt zepsucia i zgubić doszczętnie.

— Masz więc na myśli ową młodą dziew-  
czynę, która złożyła dziś dowody nadziem-  
skiego niemal wyposażenia w cudowne fluidy  
magnetyczne? Bardzo chętnie uczyniłbym coś  
dla niej, bo mimo, że widziałem już wiele  
podobnych produkcji, nigdy nie zdarzyło mi  
się spotkać równie uzdolnionej w tym kie-  
runku istoty — zajęła mię też niepoślednio.

— Dziecko to jeszcze, nieświadome swego  
położenia. Nie wie, nie dorożumiewa się, jak  
dalece jest związaną i zależną.

Mówiąc to, ksiądz obracał w głowie różne  
pomysły, chcąc wyzyskać niespodziewane  
spotkanie dla dobra Pauli, której losem inte-  
resował się szczerze pod wpływem zwie-  
rzeń, jakie usłyszał dziś od Franuleńki.

— Przyjdzie czas — mówił dalej — w któ-  
rym ocknie się w niej świadomość i zapra-  
gnie zapewne zrzucić pęta. Gotowi wówczas  
zatrzymywać ją przemocą lub oplątać siecią  
intrygi. Wuj jej, który w najlepszym razie  
jest rodzajem maniaka, nie potrafi stanąć  
w jej obronie, tembardziej, że oboje żyją ko-

sztem związku, który łoży na utrzymanie dziewczyny.

— Musi być Luftonką — zauważył mistrz. — Książd zachnął się niechętnie usłyszawszy to określenie. Czuł on zdecydowaną odrazę, do wszystkiego, co miało związek z tajemniczymi koneksyami mistrza, zrozumiał jednak o co chodzi, bo rzekł.

— Być może, ale doszedłszy do wieku dojrzałego, zechce może wystąpić z szeregów bractwa.

— O! jeśli o to chodzi — odparł mistrz, — mogę zapewnić jej opiekę. Pozostawię ci dokument, który usamowolni ją w chwili, gdy tego zażąda, a nikt ze starszych związku nie poważy się jej zatrzymywać. Co do mnie, mam dziś przed sobą nowe i doniosłe zadanie. Jadę na północ, gdzie na olbrzymich obszarach śpi jeszcze duch ludzki, oczekując rozbudzenia. Wzywają mnie tam, dla zestrzeżenia w jedno ognisko kilku wątlých płomyków, tlejących nieśmiało. Płomyki te skupić należy dokoła tronu młodego monarchy, którego miękie serce rozgrzać się zdoła łatwo od ich blasku.

Rozstali się wreszcie, a w parę godzin potem mistrz berliński, unoszony rączą czwórką, udzieloną mu do podróży przez jednego z możniejszych braci, dążył na północ daleką i marzył o duchowym jej podboju. Upajał



się marzeniami temi trochę sztucznie, licząc na współdziałanie braci, skupionych w loży „ukoronowany Pelikan“, istniejącej oddawna w Petersburgu. Powoływano go tam dla wprowadzenia pożądaných zmian, mających zapewnić rozwój sekty, tem łatwiej, że przywódcy jej, widziani byli łaskawie przez młodego cara, który przyrzekł im swą opiekę. Było to świetne zwycięstwo, otwierające widoki najambitniejszym rojeniom.

A przecież rys zwątpienia, jakim napiętnowana była ascetyczna twarz mistrza, nie ustępował pod ich wpływem, pogłębiał się owszem i uwydatniał mocniej jeszcze.

— A gdybyś się omylił — szeptał mu w duszy utajony głos, nie dający się zmusić do milczenia.

Gdyby tamten właśnie miał słuszość, czyż na to myśl ludzka zatacza tak zawrotne kręgi, by wrócić w końcu tam, skąd rozwinęła skrzydła do lotu. Czyż i mnie czeka los podobny? A w uszach brzmiały mu słowa dawnego przyjaciela:

— Powrócisz, bracie! Tacy, jak ty, wracają zawsze. Byle nie zapóźno. Byle się to stało dość wczas, dla uratowania zbłąkanej duszy.

---

## ROZDZIAŁ V.

**Swoi i obcy.**

Marszałek Davoust przechadzał się w piękny dzień majowy po alejach parku, otaczającego rezydencję, w którą obdarzyła go hojność cesarza. Był on wówczas w sile wieku, licząc lat 38. Średniego wzrostu, ale silnej budowy. Twarz miał nacechowaną wyrazem energii i rozumu, a przedwczesna łysina dodawała jej powagi i nieco surowości. Znajdował się w tej chwili na parodniowym urlopie, który sam sobie udzielił, dla poświęcenia paru wiosennych dni ogrodnictwu, którego był namiętym lubownikiem. Poprzedni gospodarz Skierniewickiej rezydencji, niemniejszy z pewnością od marszałka miłośnik, a stokroć od niego wytworniejszy znawca kultury drzew i kwiatów, pozostawił mu pod tym względem piękną spuściznę, to też ćwiczenia ogrodnicze marszałka były raczej rozrywką, na którą sobie pozwalał, puszczając folgę pełnym prostoty nawyknieniom, jakie mu zostały z lat młodszych. I dziś więc francuski dostojnik, który przed utworzeniem właściwego rządu Księstwa Warszawskiego, dzierżył w niem prawie monarszą władzę, stał zrzuciwszy wierzchnie ubranie i manipulował zawzięcie, ry-

dłem to nożem ogrodniczym, dokonywując drobnych ulepszeń. Pot perlisty spływał mu z czoła, gdyż starał się wykonać każdą najdrobniejszą nawet czynność z dokładnością i poczuciem ładu, które go cechowały, a zmęczenie fizyczne, jakiego potem doświadczał, sprawiało mu dużą przyjemność.

I tu jednak nie był wolnym od urzędowych czynności. I tu ściagały go raporty, lub też podania i wizyty interesentów. Dotyczyły one najczęściej spraw wojskowych, skutkiem czego oficer ordynansowy odrywać musiał często księcia Auerstaedt, od sielskich jego zatrudnień, a marszałek, zawsze gorliwy w pełnieniu swych obowiązków, udzielał im ucha bez szemrania. I teraz więc narada jego z ogrodnikiem o przesadzeniu na klomb inny wspaniałej grupy róż sztamowych przerwana została nagle ukazaniem się w alei służbowego oficera, postępującego w pewnej odległości za młodą kobietą, ubraną w biały muszlinowy szlafroczek i duży kapelusz z ryżowej słomki, ozdobiony pękiem kwiatów i związany pod brodą kokardą z szerokich wstążek. Marszałek poznawszy zdaleka żonę, usiadł na ławce, oczekując jej zbliżenia się i dając ogrodnikowi ostatni rozkaz, dotyczący sztamowych róż. Pani Davoust zbliżyła się do męża, kładąc mu rękę na ramieniu, oficer zaś służbowy zatrzymał się dyskretnie o kilka

kroków, czekając na swoją kolej. Pani Davoust była to ładna, prosta i miła kobieta, posiadająca dużo wrodzonego taktu i intuicyjnego daru oryentowania się w nowych dla siebie stosunkach. Pożycie jej z mężem było szczęśliwe i jak na owe czasy prawie patryarchalne.

— Cheri — rzekła, sadowiąc się obok męża — chciałam uprzedzić cię wcześniej, że musimy wyrzec się na dziś projektowanej majówki pod cieniem drzew. Musisz się przebrać kochanku, bo zapowiedzieli się nam goście z Warszawy.

— Diable! quelle corvée\*) — westchnął Davoust, wyciągając przed siebie silne swe muskularne ręce, wynurzające się z zakasanych rękawów koszuli. Wolałby stokroć zjeść spokojnie obiad sam na sam z żoną, nie opinając się ciasnym mundurem i pracować potem w ogrodzie do późnej nocy.

— A któż tam łaskaw będzie na nas, — zapytał szorstko.

— Generał Morand ze swą czarującą generałową, rzekła z uśmiechem pani Davoust, wybierając na początek gości, cieszących się sympatią męża.

— Oh, la belle enfant\*\*) zawołał marszałek, a marsowa jego twarz rozpogo-

\*) Do dyabła co za pańszczyzna.

\*\*) O, to piękne dziecko!

dziła się na wspomnienie młodziutkiej i cudownie pięknej generałowej, którą kolega jego i towarzysz broni poznał w jego domu i tak się w niej od pierwszego widzenia rozkochał, że zaraz na drugi dzień po poznanu, oświadczył się o jej rękę. — Małżeństwo to wywołało duże wrażenie w ubiegłym karnawale, bo panienska była ubożuchna, a zdobycie przez nią wstępnym bojem napoleońskiego generała, uważanem być mogło za los olśniewająco świetny. — Mówiono w Warszawie o wypadku tym z pewną chlubą, przytaczając go jako dowód, nie jedyny zresztą zwycięskich spustoszeń, jakie piękność Polek szerzyła w armii francuskiej. Marszałkowa wymieniła parę jeszcze innych nazwisk a potem dodała:

— Otrzymałam także zaproszenie od pani Tyszkiewiczowej, gdzie ma się odbyć śliczna zabawa z okazji urodzin księcia Poniatowskiego.

— Zabawa? Bawią się bez wytchnienia w Warszawie. Co prawda cesarz sobie tego życzy, zauważył dobrodusznie Davoust. Rozmiłowany ślepo w swoim władcy, poczytywał niemal za świętość każde słowo jego, każde najdrobniejsze życzenie. Z żelazną też energią doglądał wykonania woli cesarskiej i pod tym względem ciężka jego ręka dawała się uczuć Księżtwu.

Dawał sam z urzędu okazałe zabawy w czasie pobytu swego w Warszawie, ale urządzał je sucho, prawie jak musztry żołnierskie i w gruncie ciążyły mu powinności reprezentacyjne. Przełał je też chętnie na barki uczonego i wykwińskiego pana de Serre, który wywiązywał się z nich godnie i ze szczerem zamiłowaniem, będąc przy gładkiem obejściu sybarytą, lubującym się w smacznej i wykwińskiej kuchni. Za to w kwestyach wojskowych nie dawał się marszałek nikomu wyręczać. — Obecnie główną jego troską było uzupełnienie legii nadwiślańskiej. Nie wtrącał się do swoleżerów, którzy szli niejako na ochotnika i utrzymywali się przeważnie własnym kosztem. Legia natomiast, jako część urzędowego kontyngentu, dostarczanego przez Księstwo cesarzowi, była przedmiotem gorliwych jego zachodów. Starał się usilnie, doprowadzić ją jaknajprędzej do przepisanej liczby, kontrolował, nękał, uciskał niemal miejscowe władze dla wydobycia potrzebnych na to funduszków. Podejrzywał też nieustannie księcia Poniatowskiego o lekceważenie i bagatelizowanie tej sprawy, o rozmyślne jej zaniedbywanie i brak dobrej woli.

— Cesarz wiedział co robi, zostawiając Poniatowskiego w Warszawie, zauważył po chwili, dobry jest do podtrzymania tam światowego, lekkiego tonu, który odpowiada



widokom polityki cesarskiej, il n'est bon qu'à cela\*).

— Zdaje mi się, że nie doceniasz polskiego wodza — rzekła mu na to żona.

— Miękki jest, wypieszczony, a przytem ulubieniec kobiet, c'est tout dire.\*\*)

Marszałkowa rozśmiała się na tę ostatnią uwagę.

— Nie przynosi mu to ujmy — wszak kobiety instynktowo uwielbiają bohaterów.

— Tiens, tiens! Zaledwieś tu przybyła i znasz go tak niewiele, a już występujesz w jego obronie. Pokazywano mi tu broszurkę, rodzaj dykcjonarza sławnych ludzi, w którym portret jego skreślony został wcale niepochlebnie przez jednego z jego rodaków.

— Ten, który ci to pismo pokazał, jest, jak' mnie upewniono, sam autorem tego paszkwilu — odparła pani Davoust.

— Il vous a donc ensorcelée\*\*\*) i gdybym cię nie znał, to doprawdy....

— Zrobiłbyś mi scenę zazdrości, przerwała mu żona, przesuwając lekko białą dłoń po jego czole — a kto wie, czy to nie ja raczej powinnabym. No! nie lękaj się, uspakajała go, widząc zmieszanie prawie naiwne w jego oczach, nie jestem podejrzliwą i nie staram się dowiadywać o tem, czego wiedzieć nie pragnę. — No, a teraz zostawiam

---

\*) Dobry jest tylko do tego.

\*\*) Tem powiedziano wszystko.

\*\*\*) Oczarował cię więc.

cię, nie chcąc nadużywać cierpliwości pana Lebrun.

Oficer służbowy zbliżył się salutując.

— No, cóż tam nowego? — zagadnął go marszałek — naciągając rękawy koszuli i usiłując przyprowadzić do porządku swoje ubranie.

— Dwóch oficerów pragnie zameldować się waszej ekscelencyi przed udaniem się do głównej kwatery legii Nadwiślańskiej.

— A dawajże tu tych zuchów — zawołał marszałek, zacierając ręce. — Każdy przybytek do legii napawał go radością, podczas gdy stan dywizyi miejscowych był mu stosunkowo obojętny. — W parę minut potem, dwaj oficerowie stawili się przed nim.

Wymienili swoje nazwiska. — Byli już obaj mianowani i przybyli podziękować za otrzymane stopnie. Davoust dopytywał ich o przeszłość, nie obfitującą w wypadki, gdyż obaj byli bardzo młodzi, i o poprzednią służbę.

Okazało się, że jeden pochodzi z rosyjskiego, drugi z pruskiego zaboru, i że obaj przekradli się za granicę dla zaciągnięcia się do wojska.

Okoliczność ta podniosła bardziej jeszcze ich wartość w oczach francuskiego marszałka. Przypisywał on ją wyłącznie urokowi Napoleona, nie zdając sobie dość jasno spra-

wy z pobudek patryotycznych, pod których wpływem działała młodzież polska.

— Vous êtes une brave nation\*) — rzekł z uznaniem. Cesarz potrafi ocenić waszą dzielność. Porucznik, który odbywał już służbę w armii pruskiej, zwrócił szczególną jego uwagę. Nie omieszkiał zapytać go swoim zwyczajem o królowę pruską, którą pocziwy marszałek uważał za swoje bête noire.

— Cóż, czy zdarzyło się panu kiedy widzieć sławną królowę Ludwikę? — spytał porucznika Branda.

— Widziałem ją, ekscelencyo, w przededniu prawie wyjazdu mego z Prus.

— I jakże teraz wygląda? Musiała chyba spuścić z tonu i nie wodzi już tak za nos tego biedaka króla? No cóż, odpowiadaj pan. Czy widać na twarzy królowej żal i zgryzotę?

Porucznik nie wiedział dokładnie, co ma rzec, i zauważył wymijająco, że piękność i nieszczęścia królowej Ludwiki budzą współczucie nawet wśród wrogów rządu pruskiego.

— Współczucie? — oburzył się marszałek. — Taka kobieta nie zasługuje na nic innego prócz chyba politowania. Spiskować przeciw cesarzowi? Voyons, i komuż to, une peronnelle\*\*). No, ale miała też za swoje.

\*) Jesteście mężnym narodem.

\*\*) Patrzcie ją taka srocza.

Mruczał jeszcze czas jakiś zaperzony, wreszcie rzekł: Zapominam, że wy, Polacy nie możecie się gniewać na błędy królowej pruskiej, bo im przecie zawdzięczacie powstanie waszego Księstwa i odzyskanie Warszawy. Oficerowie słuchali w milczeniu wynurzeń marszałka, który zwrócił się z kolei do porucznika Rutkowskiego.

— Pan nie byłś dotąd w czynnej służbie?

— Owszem, służyłem już rok w dywizyi księcia Poniatowskiego, nie miałem tylko dotąd szczęścia, znaleźć się na polu bitwy.

— No, masz pan jeszcze czas, taki młody. Ale cóż właściwie mogłeś się pan nauczyć na tych warszawskich musztrach?

— Książę jest znakomitym znawcą sztuki wojskowej, — rzekł z przekonaniem Rutkowski.

— No zobaczymy? — odparł z lekkim sceptycyzmem marszałek. Zostaniecie panowie u mnie na obiedzie. Obaj młodzi ludzie skłonili się z uszanowaniem, dziękując za zaszczyt, wymówili się jednak, bo też zasiadanie do stołu z wysokimi dygnitarzami wojskowymi nie jest przyjemnem ani dogodnem dla oficerów niskich stopni.

— 600 rekrutów oczekuje nas o pół mili stąd, musimy dziś jeszcze nocnym marszem poprowadzić ich ku granicy.

— Udajecie się zapewne do głównej kwatery w Jedanie?

— Tak jest, ekscelencyo.

— Czyńcie więc panowie swoją powinność, miło mi było poznać tak dzielnych kawalerów — rzekł uprzejmie, żegnając ich ruchem ręki.

Młodzi ludzie odeszli, oficer służbowy czekał wciąż.

— Cóż tam jeszcze? — spytał go Davoust.

— List przez umyślnego kuryera od generała Zajączka.

— Dawaj.

Davoust otworzył list i przeczytał go z uwagą. Dokończywszy czytania, tarł czoło z zakłopotaniem.

— I znowu — mruczał — i znowu! Znowu przyjdzie mi przesłać przedłożenie cesarzowi. Wszędzie kabały, intrygi; zaczyna to być nie do zniesienia. I cóż jeszcze? — pytał oficera.

— Kuryer generała Zajączka miał polecenie oświadczyć ustnie, że generał przybędzie tu dziś jeszcze późnym wieczorem dla omówienia osobiście ważnych spraw.

— A więc dobrze, a teraz czas już na mnie. Nie należy kazać zbyt długo czekać pani marszałkowej.

Z temi słowy oddalił się marszałek w kierunku pałacu, poddając się z rezygnacją

konieczności przebrania się na wieczorny obiad.

Dawno już drzewa Skierniewickiego parku nie były świadkami tak słodkiego, wonnego, majowego wieczoru. To też goście marszałka bawili nad zamiar i do późna w nocy widać było migające w alejach białe, powiewne suknie kobiece i towarzyszące im ciemne sylwetki męskie. Wybuchała też niekiedy krótka, lecz wdzięczna melodia piosnki francuskiej, śpiewanej dla zabawy, a bardziej jeszcze ku czci dwóch młodych polskich dam, spacerujących w parku. Obie damy były bardzo ładne, urocze i pełne wdzięku. Pani generałowa Morand, świeżo upieczona mążatka, liczyła zaledwie 19 lat, towarzyszką jej była panna Krysia Zabielska, koleżanka jej i przyjaciółka, zabrana przemocą prawie do Skierniewic przez młodziutką generałową. Obie miały na sobie jasne, krepowe sukienki, które unosiły dość wysoko, chroniąc je od rosy obfitej, błyszczącej na gazonach trawników. Stopy ich obute w płytke trzewiczki na wysokich koreczkach, stąpały z naturalną gracyą, omijając niebezpieczne punkta błyszczących gdzieniegdzie wodnistych łąkach, gdzieby się mogły urosić. Staniki lekk'o wycięte odsłaniały białe, toczone szyjki, a także szczupłe, spadziste, wdzięcznie zarysowane ramiona, na które zarzucone lekkie, przej-



rzyste szale, niewiele je zabezpieczały od wieczornego chłodu. Bujne włosy ułożone w pukle, stroiły foremne główki, a opadając po obu stronach uroczych twarzyczek, zwiększały jeszcze blask pięknych oczu i krasę rumieńców. Obie przyjaciółki spędziły wesoło dzień cały, goszczone uprzejmie przez marszałka i jego żonę.

Otoczone licznem gronem młodzieży, siędzały przy długim, uroczystym obiedzie i nasłuchiwały się sporo polskich grzeczności i francuskich komplementów, prawionych im na wyścigi przez oficerów obu narodowości. Czuły też potrzebę pogwarzenia teraz poufnie w cztery oczy i szukały zacisznego zakątka w parku, gdzieby mogły podzielić się spokojnie odniesionemi wrażeniami. Znalazły go wreszcie, usunawszy się dyskretnie od szarmanckich oficerów, pod pretekstem, że piękniej i poetyczniej będzie słuchać śpiewanych przez nich melodyj z poza ściany żywej zieleni.

— Ach! droga Krysiu — mówiła generałowa Morand, sadowiąc się na omszałej ławce kamiennej, umieszczonej pod cieniem dwóch lip stuletnich i jednej włoskiej topoli — wciąż jeszcze zdaje mi się, że to wszystko, co mnie spotkało, to tylko sen, po którym zbudzę się do dawnego życia. I któżby pomyślał przed dwoma laty, że stanie się ze

mną coś podobnego, nie było jeszcze wówczas wcale Francuzów w kraju.

— Nie było też i wojska polskiego, a i ja nie znałam jeszcze wówczas Romana — odparła panna Zabielska, podnosząc na przyjaciółkę oczy szafirowe, podłużne, ocienione złotymi rzęsami.

— Ty Krysiu, byłaś zawsze sensatką, wybrałaś sobie pana Romana i odtąd nie dbałaś o innych — ja co innego, wszyscy podobali mi się zarówno. Postanowiłam sobie tylko mieć męża w mundurze i dlatego może zgodziłam się tak łatwo, zostać żoną generała. A czy wiesz, co mię najbardziej ucieszyło po moim ślubie?

— Zapewne tkliwe i pełne delikatnych atencji przywiązanie, jakim otacza cię generał — odparła poważnie panna Zabielska.

— Nie, to zupełnie co innego. Mąż mój, pozwala mi na wszystko, psuje mnie prawie, jak gdybym była dzieckiem, a co najważniejsza, jest ogromnie dobry dla mojej rodziny. Kocham go też bardzo serdecznie i powtarzam mu to po kilkadziesiąt razy na dzień, to jest ile razy mię o to zapyta. Ale popsulaś mi wątek. O czem to ja chciałam mówić?

— O czemś, co cię bardzo ucieszyło po twoim ślubie.

— A tak, już wiem. Gdy już jako mężatka weszłam po raz pierwszy na salę balową, czułam się bardzo nieszczęśliwa. Wszystkich oczy zwróciły się na mnie, słyszałam wciąż jakieś szepty i uwagi. Generał zasiadł do kart, a ja po kilku przetańczonych turach, usunęłam się na stronę i zaszyłam się w kącie, chcąc trochę myśli zebrać. Ale i tu nie dano mi spokoju. Słyszałam wciąż moje imię. Nie nazywano mnie panią Morand, lecz „tą małą Parysówną“. Nicowano każdy mój krok, każde poruszenie. Zapomniałam ci powiedzieć, że mężczyźni byli dla mnie grzeczni i nadskakujący, za to panie nie mówiły do mnie nic prawie, a tylko oglądały mnie, jak jaką osobliwość. I teraz kilka z nich wzięło za temat swych spostrzeżeń moją skromną osobkę.

— Mała Parysówna nie czuje się zbyt dobrze w skórze generałowej — mówiła jedna z nich.

Nie znałam jeszcze wówczas ich nazwisk, ale były to wszystko damy z wielkiego świata, „de la meilleure société“<sup>\*)</sup>). Mówiły o mnie, nie wiedząc oczywiście, że ich uwagi mogę słyszeć.

— Trudno doprawdy zrozumieć, czem zdołała tak oczarować swojego dygnitarza.

---

<sup>\*)</sup> Z najlepszego towarzystwa.

Buzię ma ładną, niezaprzecznie, ale poza tem nic. Ruchy sztywne, niezgrabne.

— Trzeba się jednak z nią liczyć, bo mała ta, może mieć teraz duże wpływy — generał szaleje za nią, a i sam Davoust.

— Obaj nazywają ją aniołem, czarującym aniołem.

— Szkoda tylko, że się tak fatalnie ubiera, należałoby ją trochę pod tym względem okrzesać, bo skoro to nasz rodzinny anioł, który w dodatku przedstawiać nas kiedyś będzie w Paryżu, chodzi tu prawie o nasz honor. — Uwagę tę zrobiła młoda, ale wcale nieładna dama, z twarzą okrągłą, szeroką, i zadartym noskiem. Dowiedziałam się później, że była to pani Nakwaska.

— Tak, tak, musimy się zająć edukacją Kopciuszka, dodała inna, a potem zaśmiały się chórem, brzydkim, skrzeczącym śmiechem. Możesz sobie wyobrazić, z jakim uczuciem słuchałam tych złośliwych docinków.

— O tak, wyobrażam to sobie zupełnie — szepnęła Krysia, gładząc pieszczotliwie rękę przyjaciółki i dotykając delikatnie ustami jej czoła. — Nie rozumiem tylko — dodała — co cię w tem wszystkim mogło ucieszyć.

— Ależ, bo to dopiero początek, posłuchaj co było dalej. Gdy się tak w najlepsze zabawiały moim kosztem, usłyszałam nagle

głos męski, dźwięczny, miły, idący prosto do serca, który rzekł:

— La charmante femme a bien mérité la pomme, en dépit de mauvaises langues qui la lui disputent.\*)

— No i zgadnij, czy zgadniesz kto wystąpił w mojej obronie?

— Nie wiem; nie domyślam się, wiesz przecie, że nie należę do wielkiego świata, w którym ty się teraz obracasz.

— A jednak, mogła byś się łatwo domyślić. To był on, nie kto inny, naturalnie tylko ksiązę Józef. On, wzór rycerskości i kawalerskiej uprzejmości. Nie mogłam już dłużej wysiedzieć i poruszyłam się, aby powstać. Rozstąpiono się przedemną, tak, że złośliwe panie dostrzegły mnie niespodzianie przed sobą. Ta z zadartym noskiem, pani Nakwaska, zarumieniła się po białka oczu. Zauważyłam to wybornie, mimo, że zasłoniła się wachlarzem. Ale ja nie patrzyłam na nią. Za to rzuciłam księciu spojrzenie. Ach! wiesz, wszystko co czułam, wdzięczność bez granic, podziw dla jego szlachetności, wszystko to odbiło się w moich oczach, a w dodatku na płacz mi się zbierało.

— A on?

---

\*) Czarująca kobieta, zasłużyła stanowczo na jabłko, wbrew złym językom, które go jej zaprzeczają.

— Przedstawił mi się natychmiast, a potem podał mi ramię i przeprowadził mnie na drugi koniec sali. Czułam się przy nim taka bezpieczna, taka dumna, szczęśliwa, więcej nawet szczęśliwa niż dumna. I rozmawialiśmy potem z sobą całą godzinę. Wystaw sobie, ja z księciem Józefem, czy spodziewałam się kiedyś czegoś podobnego!

— Wszak spotykasz go teraz często i rozmawiacie z sobą nieraz.

— Tak, ale to już nie to. Tak mówić można z człowiekiem raz tylko w życiu. Miałam wtedy serce otwarte, a i on odsłonił mi wówczas coś z duszy swojej, coś, czego pewna jestem, nie zrozumiałyby żadna z tych mądrych światowych dam, które go otaczają.

Z początku wyznaję, że czułam się trochę zmieszana, ale się wkrótce ośmieliłam. Książe dziwił się, że mieszkając stale w Warszawie nie spotkał mnie dotąd; że trzeba było aż francuskiego generała, aby odszukać taką, jak ja, perłę. Powiedział to jakoś daleko zgrabniej, nie masz pojęcia, jak on ślicznie mówi, gdy się chce komu spodobać, nikt mu pod tym względem nie dorówna. A mnie już wtedy zmieszanie odeszło i rzekłam śmiało:

— A ja już księcia znam od dawna. I mówiłam mu wtedy takie słowa, które dopra-



wdy sama nie wiem, skąd mi na myśl przychodziły.

— My znamy księcia wszystkie, mówiłam mu. A to my podkreśliłam takim tonem, aby wiedział, że stawiam nieprzekroczoną granicę pomiędzy nami, prostymi sobie dziewczętami z niskich dworów wiejskich czy miejskich, a temi pięknymi damami, które wzrokiem ranią tam, gdzie słowem nie dosięgną. My wierzymy w księcia, mówiłam mu dalej, stokroć więcej niż w samego Napoleona, bośmy słyszały od ojców naszych, czem książę byłeś w godzinie upadku kraju, bo wiemy od braci naszych, służących pod jego komendą, czem książę jesteś dla sprawy naszej dzisiaj i czem może będziesz w przyszłości. Mówiłam mu wiele rzeczy, których dziś powtórzyć nie potrafię, bo spłynęło na mnie jakby natchnienie. Jak on wtedy na mnie patrzył, jak mnie słuchał! Dusza jego piękna, wspaniała, bohaterska dusza, otwarła się na chwilę przedemną i czytałam w niej jasno: „Nie zrobię wam zawodu“ mówiły mi jego oczy, „piersiami własnymi was zasłonię, ostatnią kroplę krwi dla was przeleję, gdy przyjdzie godzina“. A ja mówiłam mu, że gdyby kiedy został królem naszym, mężowie nasi i bracia służyliby mu wierniej i ochotniej, niż obcym. Bo jestem pewna, dodałam po chwili, że wówczas i generał zostałby tu

na zawsze, gdy tymczasem dziś, grozi mi, prędzej czy później, odjazd, może już bezpowrotny.

Na myśl o tej konieczności opuszczenia kraju rodzinnego, młoda generałowa westchnęła, ocierając łzy, które nabiegły jej mimowoli do oczu w czasie opowiadania. Ale łzy te osuszone wkrótce zostały pocałunkami panny Krzysi, podczas gdy do uszu obu przyjaciółek dobiegały coraz wyraźniej słowa śpiewanych na ich cześć piosenek. Głosy zbliżały się coraz bardziej. Młodzież wkraczała do zacisznej altanki, przerywając zwierzenia pani Morand.

— Takie było pierwsze moje wstąpienie w świat — zdążyła jeszcze dodać młoda kobieta, podnosząc się na widok nowoprzybyłych.

„Pour un regard  
De vos beaux yeux,  
Pour un sourire  
Nous sommes tous prêts,  
Douce générale,  
Prêts à mourir.“\*)

Tak brzmiała zwrotka piosenki skomponowanej na cześć pani Morand, przez które-

---

\*) Za jedno pięknych ócz twych spojrzenie,  
Za jeden uśmiech, słowo,  
Wszyscyśmy dać się zabić gotowi,  
O śliczna, słodka generałowo.

goś z jej francuskich wielbicieli. Śpiewano ją na nutę jednej z tych niezliczonych melodyi, jakie powstają same prawie, niewiadomo skąd i upowszechniają się i utrwalają w pamięci mimo że źródło, z którego wypłynęły, pozostaje na zawsze nieznane. Melodya była miękka i skoczna, słodka i figlarna zarazem, trafnie dobrana do wonnego, upajającego nastroju, jaki rozlewała dokoła siebie noc majowa.

Nie zapomniano też o pannie Krzysi — i zaśpiewano z kolei czułą do niej apostrofę:

„Rose, comme les roses  
Votre bouche mi close,  
Nous est cruelle.  
Soyez clemente!  
O blonde charmante  
Oh belle des belles.“\*)

— No! no! — pogroziła paluszką generałowa — nie bałamućcie mi tu panowie przyjaciółki, która oddana mi jest w opiekę.

— Tembardziej, że nie uszłoby to wam na sucho — przyszedł jej z pomocą jeden z polskich oficerów. — Cóż to panowie Fran-

---

\*) Srogo się zwarły piękne usteczka,  
Jak róża, krasą swą butna —  
O najpiękniejsza, o jasnowłosa!  
Nie bądź nam zbyt okrutna.

cuzi, czy myślicie nam zrabować wszystkie kwiatki naszej ziemi.

— A przytem pokażemy wam, że i my śpiewać umiemy, że i w naszej mowie znajdzie się dość wiązanych rymów, dla opiewania pięknych dam i naszych do nich afektów. Hola, chłopcy zaczynamy.

I popłynęły znów w powietrzu melodye mazurskie, smętne i rozlewne, jak ziemia, na której się zrodziły, lub też śpiewki rycerskie, rażne i krzepkie, mające w sobie coś z wojennej pobudki.

Nuta skoczna,  
Moc wyroczna,  
Polski mazur brzmi —  
O racz piękna  
Panno Krzysiu  
Podać rączkę mi.

Siwy konik nogą grzebie,  
Rwie na świata kraj.  
Odkąd dziewczę kocham ciebie,  
W duszy kwitnie maj.

Któryś znów ze starych wiarusów zanucił z powagą na nutę staroświeckiego poloneza:

Weźże mnie za ogrodnika,  
W twój najmiłszy sad.  
Ja z ochotą dla ogródka  
Cały rzucam świat.“

— Brawo, brawo! — zaklaskały w dłonie obie panie, przytakując siwowłosemu wojakowi, który podkręcał z zadowoleniem sumiastego wąsa.

— Ho! ho! — mówił — nie pierwszyna to nam zakasować Francuzów. Bywało nieraz na biwakach, gdyśmy byli z panem Dąbrowskim, śpiewamy swoje, a oni swoje, a zawsze w końcu nasze górą, zwłaszcza gdyśmy wspomnieli młode lata i zaśpiewali Filona.

Ale tymczasem już młodziutki pewien podporucznik, uwielbiający skrycie generałową, zanucił jej półgłosem, korzystając z ogólnego zamieszania piosenkę, w której zamknął młode swoje marzenia i tęsknoty.

„Rankiem o świcie, do ciebie już  
Westchnień tysiące ślę.

Wieczór przy blasku gasnących zórz,  
W milczeniu wielbię cię.

Na ciebie patrząc, chciałbym żyć.

O tobie marzyć wiek bym chciał

I w głębi serca miłość mą skryć,

Żem ciebie kochać śmiał.“

Melodyja była prosta, ale tak miękka, rzuwna, przejmująca, że pani Morand westchnęła mimowolnie i odsunęła się od rozkochanego młodzieńca, nie chcąc poddawać się wrażeniu. W tejże chwili dał się słyszeć na gościncu ciężki, rytmiczny tętent. Ujrzano po

przez szpaler zielonych drzew sylwetki dwóch jeźdźców, posuwających się stępa ku bramie wjazdowej.

— Jakiś gość spóźniony — zauważył jeden z oficerów.

— Któżby to mógł być? — zadziwiła się pani Morand. — Marszałkostwo, o ile wiem, nie oczekiwali już dziś nikogo. Ale już jeden z młodszych, wspiąwszy się na występ muru, poznał, kto byli przybysze.

— Te generał Zajączek ze swym adjutantem — objaśnił towarzystwo.

— Bah! il y aura quelque chose de nouveau\*) — mruknął jeden z Francuzów.

— Nie znoszę tego człowieka — szepnęła do Krzysi pani Morand, powiem ci potem z jakich powodów.

— Zgodziłabyś się z moim bratem, on także nie lubi pana Zajączka. Co prawda, wyście się prawie we wszystkim dawniej z sobą zgadzali.

Leciutki, niechwytny ton żalu, drżał w głosie panny Krzysi.

— Niedobry jest twój brat — podchwyciła pani Morand. — Tyle, już tyle razy prosiłam go, by nas zechciał odwiedzić, a on wciąż na nas nie łaskaw, wyrzeka się dawnych stosunków.

---

\*) Ba! będziemy mieć coś nowego.



— Mówi, że za wielki dystans dzieli go od was. — Mietek jest ambitny, znasz go przecie.

— W tym wypadku ambicya to przesadna i doprawdy....

— Mówmy o czem innem — przerwała panna Zabielska.

— Tak, mówmy o czem innem — powtórzyła pani Morand, nagle się zamyśliwszy.

A już właśnie zapraszano je do wieczery. Wieczera ta podana na sposób francuski, ani tak wykwinną nie była, jak te, któremi traktował swych gości pan de Serra, ani tak suta i smaczna, jaką dawano w polskich domach. Ale dobre wino i dobre humory nie pozwoliły odczuć braków i niedostatków dań. Młodzież bawiła się tem swobodniej, że marszałek nie przyszedł wcale do stołu, lecz zamknąwszy się w osobnym gabinecie z generałem Zajączkiem, wieczerzał tam z nim sam na sam.

Wizyty Zajączka sprawiały od pewnego czasu niemały kłopot francuskiemu dygnitarzowi. Cenił on polskiego generała, gdyż znał go z czasów służby jego we Francyi miał i nieraz sposobność stwierdzić niezaprzeczone jego męstwo. Przybywszy następnie do księstwa, odwoływał się do niego często, zasięgając jego zdania w rozstrzyganiu spraw kraju, którego nie znał zwyczajów ani

stosunków. Niezbyt biegły w ocenie psychicznej, ludzi, pomimo wrodzonego rozsądku, nie dostrzegł Davoust choroby nurtującej organizm duchowy człowieka, z którego chciał zrobić swego doradcę. Chorobą tą była zaświść, ciasna, fanatyczna, nieubłagana, a dziwnie przemyślna w dobieraniu środków, którymi godzić chciała w tych, co jej stanęli w drodze.

Generał Zajączek był jednym z tych ludzi, dla których powodzenie drugiego jest zawsze solą w oku, chociażby nie naruszało w niczem ich własnych interesów.

Za młodu piękny, a i dziś jeszcze wcale okazałej powierzchowności, z twarzą naznaczoną zaszczytnymi bliznami, przechadzał się generał dużymi krokami po gabinecie marszałka, zatrzymując się przed nim od czasu do czasu. Przyczyną jego rozdrażnienia była niedawna wizyta naczelnego wodza, który lustrował przed paru dniami jego dywizję. Zmuszony podejmować księcia i oddawać mu należne jego randze honory, nie zdołał stłumić dłużej zawziętej, zgryźliwej nienawiści, jaką żywił względem polskiego wodza.

— Zrobiłem to tylko dla cesarza — powtarzał co chwila, wylewając przed Davoustem żółć, która zalewała mu serce, stawiając urojone zarzuty, podkreślając najdrobniejsze błędy i uchybienia.

— Dzięki niezrozumiałemu zaślepieniu — mówił dalej — poddani jesteśmy pod komendę salonowego fircyka, spędzającego dnie i noce na ucztach i hulankach. Kim on się otacza, pomyśl pan tylko, kim on się otacza? Obaczycie wszyscy, że skoro tylko nadejdzie wojna, pomści się na nas zasadniczo błąd ten popełniony przez cesarza. Trzeba zwrócić na to jego uwagę, póki czas jeszcze.

— Cesarz nie znosi tego rodzaju ostrzeżeń — zaoponował Davoust. — Cesarz się nie myli — dodał poprawiając się. Ale generała Zajączka nie zadowoliło takie rozwiązanie kwestyi.

Nie wstrzymało go też od dalszej roboty przedsięwziętej dla podkopania zaufania, jakim Napoleon obdarzał polskiego wodza. Zapomniał nowoczesny Otello, podszyty Jagonem, jak niskie i nieszlachetne były te intrygi, knowane przeciw własnej, narodowej władzy, świeżej jeszcze i nieugruntowanej, jak mało obywatelskiem było to ustawiczne uciekanie się pod skrzydła obcego, chociażby przyjaźnego rządu. Zapominał też o tem, jak mało licowało takie postępowanie z jego własną przeszłością. Zapominał o krwawych wyrokach, jakich wzywał niegdyś na głowy jurgieltników Moskwy.

— Cesarz jest wielki, genialny, wspaniałomyślny — mówił dalej — ale w tym je-

dynym wypadku dał się omamić. Zdawało mu się, że stawiając na czele Poniatowskiego, zadowolni polską arystokrację. Gdyby znał naszą historję, przekonałby się, czem są Poniatowscy. Mała szlachecka rodzina. Ba, może nawet nie szlachecka. Czy uwierzy pan, że są i tacy, którzy zaprzeczają szlachectwa Poniatowskim, a twierdzenie to ma pewne podstawy — mówił syczącym głosem, pochylając się do ucha marszałka, jakby chciał mu zwierzyć ważną tajemnicę. Ale tym razem w zbytecznem uniesieniu chybił celu polski Otello — Jagon. Davoust, który jak wszyscy towarzysze broni Bonapartego, był sam dzieckiem własnych swych czynów, lekceważył rodową arystokrację — nie lubił jej i uznawał o wiele chętniej zasługi i talenty tych, którzy własną dzielnością zdołali wybić się i odznaczyć. Od tej więc chwili szala sympatyi jego przeważać zaczęła się na korzyść księcia Poniatowskiego, a dotychczasowa nieufność ustąpić miała wkrótce szczeremu uznaniu i przyjaźni. Nie dostrzegł tego jednak zawistny eks Jakobin i mówił dalej nie stygnąc w zapale.

— Nawet tak godni obywatele, jak Stanisław i Ignacy Potoccy, nie ufają Poniatowskiemu i tolerują go za ledwie i gdyby nie kobiety, bo jeden z Potockich ma za sobą jego siostrzenicę. ...

— Tak, wszystkie kobiety są za nim — zauważył dobroduszny Davoust — bo nawet i moja żona.

— Co? pani marszałkowa — mruknął Zajączek, czując, że grunt usuwa mu się pod nogami.

— Cóż pan chcesz? — rzekł żartobliwie książę Auerstadtu — znasz pan przecie francuskie nasze przysłowie: „Co kobieta chce, Bóg chce.“

Ale generał nie dał jeszcze za wygraną i postanowił wytoczyć działo najcięższego kalibru.

Widząc, że wymowne jego oskarżenia, nie odnoszą należytego skutku, postanowił wytoczyć działa najcięższego kalibru.

— Wiadomo zapewne waszej ekscelencyi, że brat mój stoi tu na czele wszystkich urzędów pocztowych, ztąd więc i to za wyraźną wolą cesarza, ma on baczną oko na korespondencyę zagraniczną.

— Czy zauważył co podejrzanego — zapytał Davoust z odcieniem niepokoju — w takim razie powinien zawiadomić niezwłocznie ministra policyi, a także rezydenta naszego, pana de Serra. Zajączek ociągał się z odpowiedzią. Być może rozwiały się na mgnienie oka jadowite opary zawistnej nienawiści, jakie uderzały mu niepohamowanie do mózgu, na samo wspomnienie imienia księcia Poniat-

towskiego. Przejrzał być może na chwilę były jakobin i zdał sobie sprawę z wartości swego postępowania. Szpiegować towarzysza broni, współziomka a wreszcie prawego swego zwierzchnika i oskarżać go przed cudzoziemcem! Przez chwilę uznał to sam za rzecz haniebną.

Umilkł i zdawało się, że urwie swoje zwierzenia i nie posunie ich za daleko. Ale wnet ślepa, niska namiętność, której ulegał całe życie, wzięła górę nad chwilowym przeblyskiem lepszych instynktów.

Człowiek zawistny potrafi zresztą zawsze wmówić w siebie, że on to właśnie został pokrzywdzonym i że intrygi, jakie knuje przeciw innym, są tylko koniecznym aktem samoobrony. Tą zasadą kierował się generał Zajączek, a ojczyzna i sprawa publiczna miały u niego tyle tylko znaczenia, ile dać mu mogły pole do nasycenia wiecznie głodnej ambicji. To też po krótkim wahaniu wydobyl dwa listy przejęte na pocztę z rozkazu jego brata, który zawdzięczając swe dostojęństwo generałowi, spełniał bez oporu jego ciche rozporządzenia.

— Przeczytaj pan te listy — rzekł do marszałka, a znajdzie się w nich najlepszy dowód, że mimo dobrodziejstw, jakich kraj polski doznał od cesarza, pałac pod Blachą nie może zapomnieć i dziś jeszcze swych



austriackich sympatii. Davoust obracał w rękę oba listy, stanowiące domniemane „corpus delicti“. Listy te, woniejące jakąś mdłą perfumą, a skreślone widocznie ręką kobiecą, adresowane były do hrabiego Neiperga.

— Cóż to znaczy? — pytał marszałek. — To nie jest przecież pismo księcia.

Pismo to znał aż nadto dobrze, pozostając z księciem Józefem w ciągłych ustnych i pisemnych stosunkach z powodu spraw wojskowych.

— Bo też on tego nie pisał. O! na to jest zbyt ostrożny. Książątko umie się dobrze maskować, chowając się za plecy kobiet. Listy te pisała jego zausznica, pani Vauban, dyrektorka jego seraju.

Ze szczególną lubością wymawiał Zajączek każdy wyraz, przynoszący ujmę jego przeciwnikowi. Ze szczególnem upodobaniem akcentował każdy frazes obelżywy, wypowiedziany pod adresem znienawidzonego współzawodnika.

— Pani Vauban? Ależ ta kobieta nie ma już dziś żadnego znaczenia, zresztą obaczmy — odparł Davoust. Przejrzał oba listy, w których było mnóstwo duserów i sentymentalnych wspomnień, odnoszących się do dawnego pobytu pani Vauban w Wiedniu. Stolica Austrii nazwaną w nich była jedy-

nem dziś w Europie siedliskiem prawdziwie wytwornego towarzystwa. Widocznem też było, że Francuzka ceni sobie wysoko stosunki swe zaustriackim dygnitarzem i stara się zapoznać go ze stanem umysłów w Warszawie. Wiadomości wszakże i małe ploteczki towarzyskie, o których donosiła, nie stanowiły wcale treści, któreby mogła służyć jako dowód obciążający.

— Zwykle banialuki kobiece — zaopiniował marszałek, ukończywszy czytanie.

— Ekscelencyo! — zauważył Zajączek — takie listy należy czytać między wierszami. Francuzka ta była zawsze stronnniczką Burbonów, i w ciasnem swem zaślepieniu považała się nie uznawać wielkości i geniuszu cesarza. Wiem na pewno, że w zaufanem jej kółku nie nazywają go inaczej, jak politycznym parweniusem.

— Co? — oburzył się marszałek, ale zresztą dodał po chwili — cóż może obchodzić cesarza głupie zrządzenie starej awanturnicy.

— Tak, tak, ale awanturnica ta jest także wytrawną intrygantką, a wiadomo powszechnie, że wodzi ona za nos Poniatowskiego, który w głupim swoim rozumie musi się zawsze na kogoś oglądać. I pomyśleć tylko, że taki człowiek ma w ręku swem plany wszystkich fortec, że mówią nawet o

udzielaniu mu dyskrecjonalnej władzy w sprawach armii Księstwa.

— Dyskrecjonalnej władzy nie udziela cesarz nikomu, nawet ja jej nie mam — odrzekł marszałek. — Ale to, coś pan powiedział o fortcach, trąci przesadą. Poniatowski jest może lekkomyślnym, ale nie sędzę go zdolnym do zdrady. Listy bądź co bądź prześlę cesarzowi.

Upewnienie to zaspokoili wreszcie Zajączka. Faktem było, że w duchu marzył on o naczelnem dowództwie, które po odejściu z Księstwa korpusu marszałka przejść musiało faktycznie w ręce któregoś z generałów krajowych. Zawczasu też usiłował podkopać stanowisko księcia Józefa z obawy, aby nie powierzono mu i tej jeszcze godności.

---

## ROZDZIAŁ VI.

---

### Bal empire.

Rankiem następnego dnia szereg pojazdów odwoził do Warszawy skierniewickich gości.

Spieszono z powrotem, aby nie ominąć wspaniałego festynu, który odbyć się miał w dniu 6-go maja w domu pani Tyszkiewiczowej. Zabawa ta zapowiadała się świetnie

i miała być niezwykle urozmaiconą, a zamykała ona szereg balów i przyjęć, wypełniających ubiegłe zimowe miesiące.

Obecność w Warszawie licznej falangi francuskich oficerów stanowiła niemałą podniechęć dla towarzystwa polskiego, a ci, którzy prowadzili domy otwarte, szli z sobą o lepsze w obmyślaniu i urządzaniu wykwinnych zabaw. Miano sobie za punkt honoru nie ustąpić pod tym względem nadsekwąnskim sprzymierzeńcom, a nawet przewyższyć ich i olśnić wytwornym smakiem i oryginalnością pomysłów. Przypadające w dniu 6 maja urodziny księcia Poniatowskiego dawały wyborny pretekst do urządzenia uroczystości, mającej być godnem uwieńczeniem kończącego się sezonu. Sama gospodyni była bliską krewną dostojnego solenizanta, a całe towarzystwo warszawskie weszło z nią chętnie w znowę i miało wziąć czynny udział w uświetnieniu malowniczej fety. Dołożono w tym celu wszelkich starań i nie żałowano trudu, ale też skutek odpowiadał oczekiwaniom.

W chwili rozpoczęcia zabawy salony pani Tyszkiewiczowej przetworzone zostały w rodzaj czarodziejskiego ogrodu, podobnego do tych, których opisy rozmarzają wyobraźnię dziecięcą w kołyszących ją do snu bajkach. Nic tu nie przypominało utartego szablonu

sali balowej. Ogród to był woniejący, pełen drzew i krzewów kwitnących. Strzyżone aleje, zaciszne altanki, tryskające fontanny dopełniały złudzenia.

Nie brakło drzew pomarańczowych, okrytych złotym owocem, ani obsypanych kwieciami krzewów różanych. A wśród tych wykwiłych sztucznie gajów snuły się zharmonizowane z nimi postacie w barwnych i malowniczych kostymach.

Licznie napływający goście wprowadzani byli do innych odpowiednich apartamentów, tu wpuszczano jedynie wtajemniczonych, z których każdy miał sobie wyznaczoną jakąś rolę, odpowiednio do niej zachować się musiał i przystroić. Oczekiwano z rozpoczęciem zabawy na przybycie solenizanta, który się jakoś opóźnił.

Pani Aneta Potocka snuła się po sali, po-brzękując złotymi cekinami, które zdobiły jej szyję i zwieszały się na kruczych włosach. Była ona duszą tej zabawy i troszczyła się wielce o jej powodzenie. Zaglądała też do każdego prawie namiotu, zatrzymywała się przy każdej kostyumowanej grupie, zapytując, czy wszystko jest w porządku, oglądając stroje i postawy. Towarzyszył jej młody Grabowski, wybrany na jej partnera z powodu smagłej cery i południowego swego typu. Oboje wyobrażać mieli przedstawicieli cygań-

skiego taboru i posiadali swój własny, odpowiednio urządzony namiot, który pani Aneta zamknęła starannie przed wzrokiem ciekawych, nie pozwalając nikomu oglądać jego wnętrza. Co pewien czas cygańska ta para zatrzymywała się w środku sali, przepowiadając sobie polski wiersz, umyślnie ułożony, który oddeklamować miała na dwa głosy, wróżąc przyszłość solenizantowi. Pani Aneta umiała wybornie swoją partyę, ale towarzysz jej mylił się jeszcze i zająkiwał, budząc tem w niej słuszne oburzenie.

— Powtórz pan raz jeszcze — upominała go wciąż i młodzieniec deklamował posłusznie:

„My na sarmackie zbłąkani równiny  
Cygańskich plemion koczujące syny“..

Dwugłos ten, składający się z kilku potocznych strof, przepowiadał solenizantowi wojenną sławę, związaną z pomyślnością kraju i przejęty był na wskroś duchem patryotycznym, pełnym świetnych nadziei i radosnych uniesień.

W środku rajskiego ogrodu powitać miała księcia grupa polskich i francuskich grenadierów, w błyszczących mundurach i pełnem uzbrojeniu. Tu znaleźli dla siebie miejsce Roman Sawicki i Mieczysław Zabielski, dzięki pięknym swym i rycerskim postawom. Przyjęli chętnie zaproszenie, pozwalające im podziwiać z bliska najświetniejsze piękności sto-



licy. Zabielski zwłaszcza, ze smukłą swą a jednak męską postawą i szlachetnymi rysami, przedstawiał się bardzo korzystnie i zwracał na siebie uwagę. Mógł też ze swego stanowiska podziwiać generałową Morand, dawną towarzyszkę lat dziecińczych, światowych rozrywek, piękną, pociągającą i ogólnie podziwianą. Porównywano ją do pani Walewskiej, do której była trochę podobna, lecz uznano ją za piękniejszą jeszcze od tej, która podbiła cesarza. To też dziś wybrano dla niej nie lada świetną rolę. Dziewicą być miała arabską, najpiękniejszą z pięknych, perłą pustyni. Królując w otoczeniu kilkunastu uroczych dam, otulonych w przejrzyste muśliny, trzymała w białych rączkach bogato haftowaną chustkę, którą rzucić miała przechodzącemu księciu. Mówiono powszechnie, że pani Czosnowska jest już o nią srodze zazdrosną, że książę rozkochał się w niej na dobre, że i ona nie obojętną jest na jego hołdy. Salonowa ta plotka powstała na prędkę, jak tyle innych równie bezpodstawnych, nie sprawiała wcale przykrości generałowej Morand, mimo, że doszła już do jej uszu.

Bo też nie była już ona tą nieśmiałą nowicjuszką, sztywną, niezgrabną i źle ubraną. Szybko i wspaniale zakwitła niezwykła jej uroda w cieplarnianej atmosferze, w którą los ją nagle przerzucił. Znała już wartość i

siłę swego uroku, ubierała się wytwornie i nie spuszczała oczu przed pociskami ciekawych, zawistnych lub pełnych uwielbienia spojrzeń, które spotykały ją wszędzie, gdzie się ukazała. Obecność jej w arabskim namiocie uważaną była za najsilniejszą atrakcyę zebrania; to też tu skupiały się wciąż gromadki ciekawych, które trzeba było nawoływać do porządku. Wreszcie dały się słyszeć dźwięki orkiestry, służące za hasło przybycia oczekiwanego bohatera uroczystości. — Na hasło to, każdy zajął wyznaczone stanowisko. Pani Aneta rzuciła ostatnie jeszcze, niespokojne spojrzenie w stronę drzwi, gdzie w festonach róż zatrzepotało grono uskrzydłonych aniołków. Grono to, złożone z malutkich przedstawicieli dziecinnego świata stolicy, wyuczone dokładnie, jak się ma zachować, zabiegło zaraz na wstępie drogę solenizantowi i wspinając się na paluszkach podało mu ozdobny szyszak. Widok tych ślicznych amorków rozchmurzył od razu księcia, który w gruncie nienawidził ostentacyi i bardzo niechętnie poddawał się manifestacyjnym uroczystościom, w których osoba jego służyła często innym za pretekst do zaspokojenia nienasyconej żądzy zabaw. Ale tu poddać się musiał i kapitulował wobec serdecznego nastroju, z jakim witano go w tym domu, z którym, prócz węzłów pokrewieństwa, łą-

czyła go szczerą życzliwość. Oceniał też artystyczny zakrój zabawy, przypominającej mu najświetniejszy okres jego młodości z czasów sejmu konstytucyjnego. Pochylił się więc i uściśnął serdecznie małego swego chrześniaka, postawionego na czele dziecięcego hufca i posunął się dalej, słuchając z właściwym sobie uprzejmym wdziękiem wygłaszanych oracyi i powinszowań. Oklaskiwał śpiewaczki, dziękował za dary, rzucając od niechcienia damom subtelne grzeczności, nie pozbawione szczypty ironii, do której upoważniały go doznane i przeżyte doświadczenia. — Za nim postępowało wszystko, co było w owym czasie najświetniejszego w składzie stołecznego towarzystwa. Rada stanu w pełnym komplecie z ministrami i referendarzami, wybitniejsi posłowie, generałowie i szefowie sztabów, polscy i cudzoziemscy. Rezydent francuski pan de Serra, generał Lepelletier i wielu innych. Nie było końca zachwytom i wykrzykom podziwu. „Francuzi oczarowani byli tym balem“ zanotowały w pamiętnikach swych wszystkie prawie piękne jego uczestniczki. Gdy przyszła kolej na grupę Arabów, księżę zatrzymał się dłużej wraz ze swem otoczeniem. Biała barwa, przeważająca w tym namiocie, wyróżniała się od innych, odbijając ostro na tle zieleni. Urocze twarzyczki dziewcząt arabskich przeglądały tajemniczo z poza

przejrzystych gaz, oczy ich świeciły nieznaczonym blaskiem. Dwaj poważni szeikowie z czarnymi brodami i w białych zawojach, siedzieli na straży z iście wschodnią powagą.

Oczekiwano z niecierpliwością chwili, w której generałowa Morand, stosując się do wziętej na siebie roli, uczci solenizanta rzuceniem mu symbolicznej chustki. Już właśnie zatrzymał się on przy jej namiocie, na który wszystkie oczy były zwrócone.

— Nie każ mu pani zbyt długo czekać — przynaglał jeden z szeików. Wtedy młoda kobieta odrzuciła zręcznym ruchem przezroczyste gazy, które zmieniały ją we wschodnią dziewczicę, a z tej przejrzystej powłoki wynurzyła się wdzięczna postać dziewczęcia polskiego w białej lekkiej sukience i obcisłym kabaciku. Metamorfoza ta była niespodzianką nawet dla aranżerów festynu. Pani Morand obmyśliła ją zupełnie samoistnie, a strój ten tak ją dobrze ubierał w wykwintnej swej prostocie, że zyskała odrazu powszechny aplauz.

— Taką cię chciałem mieć, śliczna generałowo — zdążył jej szepnąć książę, dziękując za kilka słów, wypowiedzianych przez nią życzeń. — A więc zechcesz mi pani przyrzec mazura, wszak w tym stroju tylko mazura — dodał, obrzucając wzrokiem postać jej, począwszy od ciemnej główki i spływającego

nisko warkocza aż do wysokiego safianowego bucika.

— Kontredansa, jeśli wasza książęca mość sobie życzy — odparła, — rumieniąc się lekko.

— Czy tak? — a więc kontredansa — odparł trochę zdziwiony, ale już porwano go dalej i zatrzymać się musiał przy innej grupie. Pani Morand została na miejscu niepewna i wzruszona. Bo też postępek jej nie był dziełem wypadku, lecz obmyślanym z góry planem. Jeśli parę dni temu spiskowano przeciw księciu w gabinecie marszałka Davoust, nie omieszkano też urządzić tamże kontr-spisku na jego korzyść.

Pani Davoust odgadła bez trudności powód wizyty generała Zajączka, a resztę wydobyla od męża, który ufał jej dyskrecyi i rozsądkowi. Powierzyła też pani Morand delikatną misję ostrzeżenia polskiego wodza, której to misyi pani Morand podjęła się z ochotą. Dlatego wołała tańczyć z księciem kontredansa niż mazura. Rozmawiać w mazurze o sprawach poważnych, to czyste niepodobieństwo. Ale jak się wywiąże z włożonej na siebie misyi, czy potrafi wyrazić się dość jasno i powiedzieć tyle właśnie, ile należy? Chętnie poradziłaby się kogoś. Ale tu w tem świetnem zebraniu nikogo nie miała bliższego. Świat ten nie był jej światem. Co więcej, czuła się od pewnego czasu prawie

swobodniejszą w kołach czysto francuskich. Coś, jakby przejrzysta zasłona, przedzielać ją zaczynała od społeczeństwa, w którym wzrosła.

— A czy mnie raczy pani przyrzec jednego mazura? — zabrzmiał naraz dźwięczny młodzieńczy głos.

To Mieczysław Zabielski stał przy niej w świetnym swym grenadyerskim mundurze. W głosie jego nie dźwięczała tym razem nuta chłodnej ironii, z jaką odnosił się do byłej panny Parysównej, od czasu jej świetnego małżeństwa. Widział on całe zajście, którego była bohaterką i wdzięcznym jej był zarówno za strój swojski, który przywdziała, jak i za wyrzeczenie się cokolwiek dwuznacznej i zbyt wyzywającej roli, jaką jej wyznaczono. Ona przyjęła chętnie ofiarowane sobie ramię towarzysza lat dziecinnych i odpłynęli oboje z falą gości, podziwiających coraz to nowe feeryczne obrazy. Przystanęli więc obok gaju pomarańczowego, w którym grono nimf wykonywało rodzaj mimicznej sceny w czarujących pozach i poruszeniach. W środku siedziała zachwycająca, młoda kobieta w postawie wyrażającej smutek i obojętność na wszystko, co ją otaczało. Miała to być Lesbia, oplakująca stratę swego wróbla. Nimfy usiłowały pocieszyć strapioną, ale gdy najwymyślniejsze ich attitudy nie zdołały rozerwać ich władczyni, jedna z nich,



wydaliwszy się na chwilę, powróciła niosąc na ręku cudne, skrzydlate dziecko, uzbrojone w łuk i strzały. Lesbia przyjęła kupidyńską z rąk nimfy i poczęła go obsypywać pieśczołkami, a zdradliwe dziecko ukłuło ją swą strzałą, sprawiając w niej cudowną przemianę. Opadła nagle z pięknej twarzy Lesbii maska smutku i apatyi, a z oczu jej strzeliły płomienie wyrażające namiętną tęsknotę i pożądanie, a płomienie tych spojrzeń skierowane zostały oczywiście w stronę solenizanta. Scena ta, wybornie odtworzona, wywołała prawdziwą burzę oklasków, a gdy te ucichły, dał się słyszeć śpiew z towarzyszeniem tamburinów.

To młoda Katalonka śpiewała smętny i melodyjny romans, którego każdą zwrotkę powtarzał otaczający ją chór katalońskiej młodzieży, pobrzękując na tamburinach.

Katalonką była księżna Wirtemberska.

Postępując dalej w głąb sali, przyjął już był książę honorową szablę z rąk grenadyerów, wysłuchał polskich i francuskich oracyi. Pozostawała mu już prawie tylko ustawiona w głębi sali grecka świątynia, w której kilkanaście uroczych kapłanek składało ofiary, poruszając wonnemi kadzielnicami, dla uproszenia pomyślności dla bohatera wieczoru. Tam właśnie królowała pani Czosnowska, pewna, że pomimo tylu bujnych po-

mysłów i czarownych piękności, ona to osiągnie ostatecznie palmę pierwszeństwa. — Ale książę zatrzymał się jakoś dłużej w cygańskim namiocie pani Anety, którego purpurowe ściany zamknęły się za nim, usuwając go na chwilę z przed oczu zebranych.

— Co to ma znaczyć? — pytali niektórzy.

— To niespodzianka pani Anety. Książę znajdzie w jej namiocie prawdziwą wróżbiarkę.

— Któż to jest. Zapewne jakaś cyganka lub stara pomarszczona kabalarka.

— Ani jedno ani drugie. Jest to młoda dziewczyna, obdarzona darem jasnowidzenia, a przytem cudownie piękna.

— Czemuż ukrywają ją przed nami tak zazdrośnie?

— Nie wiem, to jest tajemnica pani Anety. Nie wolno jej podobno popisywać się publicznie. Dzięki tylko wyjątkowej protekcyi udało się pani Anecie zjednać ją na dzisiejszy wieczór — rezerwują ją podobno dla osób wysoko położonych lub koronowanych głów.

— Rzec się ma całkiem inaczej — objaśniał ktoś drugi. — Dziewcze to wyzyskiwane było przez niesumiennych spekulantów, którzy obiecywali sobie ciągnąć z niej zyski, poddając ją niebezpiecznym próbom. Ale wdały się w to osoby wysoko położone,

które zaopiekiwały się sierotą. Wzbroniono jej opiekunom niebezpiecznych doświadczeń, a dzisiejszy jej występ, to prawie zabawka. Wróżyć ma księciu z ręki czy też z kart.

— Jest to podobno nowa kabała pani Vauban, której chodzi głównie o pokrzyżowanie zalotnych manewrów pani Czosnowskiej. Dziewczę to ma być piękne nad miarę.

— Pochodzić ma ze starej, szlacheckiej rodziny, dziś zubożałej.

— O! co się tyczy rodziny, są tam podobno skazy na szlacheckim klejnocie. Jakiś mezalians, czy awanturka miłosna. Słowem w żyłach dziewczyny płynąć ma krew włoska, o czem świadczy zresztą płomienna jej uroda.

Tadeusz oczekujący zbliżenia się księcia do greckiej świątyni, nie słyszał na szczęście tych krzyżujących się uwag. Nie widywał on Pauli od pewnego czasu, a nawet przypuszczał, że opuściła już Warszawę. Nie domyślał się też wcale, że znajduje się o kilka kroków od niego, ukryta w cygańskim namiocie.

Nikt zresztą nie dowiedział się co zaszło pomiędzy księciem a tajemniczą wróżbiarką w zaciszy purpurowego namiotu. Ci tylko, którzy stali bliżej księcia, mogli byli zauważyć w jego oczach pewien wyraz tęskny a daleki, właściwy niekiedy ludziom, których prze-

znaczeniem jest zgon tragiczny a niezwykle świetny. Odczuwając nawpół świadomie, konieczność takiego końca, do którego prowadzi ich życiowe fatum, wpatrują się weń bezwiednie oczyma ducha, a świeci on im jak gwiazda przewodnia, jak ostateczne rozwiązanie, które podniesie ich kiedyś ponad bolesne konflikta i zawiłości bytu. Taki wyraz zagościł w tej chwili na twarzy przyszłego zwycięzcy pod Raszynem i bohatera Lipskiej tragedyi. Na ustach jego ukazał się przytem dziwny uśmiech, którym uśmiechać się zdawał do jakiejś wizyi wewnętrznej. Było w tym uśmiechu coś tak szczególnego, że kilka osób, na które książę spojrzał przelotnie, odwróciło się za nim, gdy przechodząc, dopełniał dalej powinności upojonego i wdzięcznego solenizanta ze swą zwykłą doskonałą kurtuazyą. Nawet pani Aneta oderwała się na chwilę od hołdującego jej nieodstępnie młodego, francuskiego oficera, i spytała, zatrzymując go w przejściu. I cóż mon oncle, czyś zadowolony z mojej sybili? Nieprawdaż, że czarująca, nie mówiąc już o jej nadzwyczajnym darze.

Książę zatrzymał się, jakby nagle ocknięty, ale na widok krewniaczki, którą lubił nad inne, tak dalece, że podejrzrywano go nawet o czulsze dla niej afekta, rozpogodził się natychmiast i przybrał swój zwykły, lekko

uprzejmy ton, zabarwiony rycerską galanterią.

— Tak, tak, cała ta feta przynosi ci zaszczyt Anetko. Poznać w niej wyborny twój smak, a przytem wrodzony ci ogień i fantazyę.

— Ogień Poniatowskich! mój wuju, potwierdziła młoda kobieta, czuję go w sobie i dumną z tego jestem. Och! bo w rodzinie mego męża przeważa zimny rozsądek.

Ostatnie te słowa wymówiła z odcieniem goryczy, bo już piękny francuski hrabicz opanował tak dalece romansową jej główkę, że ukazała się jej w dalekiej perspektywie pierwsza myśl o rozwodzie.

— Ogień Poniatowskich! Anetko? Oh, ileż razy ogień ten okazał się złudnym, słomianym ogniem, albo też płonął na ołtarzach złudnych, fałszywych bóstw.

— Mówisz, wuju, o smutnej pamięci królu, stryju naszym, dajmy pokój biednemu człowiekowi, który już w grobie spoczywa. Ale za to mamy ciebie.

— Mnie? I cóżem ja uczynił, aby usprawiedliwić te wasze nadzieje? Dlaczego jedni kochają mnie nad miarę, a drudzy nienawidzą. Poprowadziłem parę razy ludzi do boju, nie cofnąłem się i nie cofnę i dziś przed ogniem nieprzyjaciela. Potrafię i dziś stać spokojnie pod gradem kul. Prosty obowiąz-

zek żołnierza. Ale nie umiałem — tak! nie umiałem w swoim czasie, postawić wszystkiego na kartę. Nie umiałem rozniecić w narodzie moim boskiego ognia, który rozplonąć mógł w jedno olbrzymie morze płomieni, strawić i zniszczyć doszczętnie, idące na nas mrowie.

Nie znałem wówczas polskiej duszy, Anetko, nie znałem polskiego żołnierza. Patrz tylko, czym jest on dzisiaj, jak rośnie liczba jego, jak rozwija się sztuka jego i męstwo. A wówczas, pomyśl tylko, marnych kilka tysięcy rzuconych bez pomocy. Żywności nam żałowali i furażu, ichmość panowie kresowi, obywatele wzrosli i utuczeni na ciele rzeczypospolitej, żywności i furażu, które sprzedawali obficie moskiewskim generałom, bo im za to suto płacili. A jednak mimo to należało wytrwać, należało, jakem mówił, postawić wszystko na kartę. Ach nie daruję sobie nigdy Zieleniec.

— Nie poruszaj się wuju temi smutnemi wspomnieniami — prosiła go krewniaczka, podnosząc na niego wymowne, swe ogniste oczy, a jednocześnie zdjęta mimowolnem rozrzewnieniem, ujęła delikatnie jego rękę i podniosła ją do ust. Wzdrygnął się książę pod dotknięciem tych świeżych purpurowych warg, a jednocześnie opamiętał. Wszakże znajdował się na balu, wśród wykwintnego



towarzystwa, gdzie się chciało bawić i tylko bawić. Może zresztą na tle tej zabawy znajdzie się miejsce na skryte westchnienia, płynące gdzieś z głębi stęsknionych do siebie serc, na czułe uściski dłoni i namiętne spojrzenia. Ale spraw wielkich, świętych, ran głębokich, a niewyleczonych nadziei górnych i prawie niedostępnych, nie należało tu obnażać.

— Wybacz mi Anetko, żem popsuł ci chwilę, ten jasny, słoneczny nastrój, który zawsze dokoła siebie rostaczasz. Zabawa twoja jest prześliczna, a uczestniczka jej więcej jeszcze od zgromadzonych tu krzewów i kwiatów, usprawiedliwia nazwę czarodziejskiego ogrodu, w który przeobrazić zdołałaś salon twojej matki.

Hrabina odczuła tę nagłą zmianę tonu i świadomy powrót do zwykłego szablonowego nastroju, ale już zbliżył się do niej pan Flahault, zazdrosny o swoje prawa i mówił, magnetyzując ją ładnymi swymi sentymentalnemi oczyma.

— Czy prawdą jest, że panna Grudzińska uszczęśliwi nas wykonaniem solowego tańca? Jej taniec, to prawdziwy poemat i nigdy się nim dość nasycić nie można.

Było to prawdą. Już robiono przygotowania do przeistoczenia wonnego ogrodu w salę

balową. Przed rozpoczęciem zaś tańców dwiętnastoletnia wówczas Joanna Grudzińska popisywać się miała talentem, który wyróżniał ją nad wszystkie warszawskie damy. Wdzięczna to była postać, choć nie jaśniała nadzwyczajną pięknnością. Twarzyczkę miała okrągłą, oczy jasno niebieskie z długimi złotymi rzęsami, które mrużyła często z niewysłowionym wdziękiem. Włosy jej były ciemno blond o złotawym odcieniu, nosek ładnie zarysowany, leciutko zadarty, usta trochę za duże, lecz dziwnie miłe w uśmiechu. Nikt nie wyrównywał jej w gracy i lekkości w poruszeniach. Taniec jej był naprawdę poematem, a był to dar wrodzony, prawie twórczy, bo nie ona od baletmistrzów, lecz baletmistrze uczyli się od niej. Taką była późniejsza księżna Łowicka, której los przyszły, smutny miał być pomimo zewnętrznej świetności. A i w krótkiej, szczęśliwej dobie Księstwa Warszawskiego, mówiono po cichu o sercowym konflikcie, którego ofiarą padła młodziutka panna Żaneta.

— Jest to taniec rozpaczy — zauważył jeden z wtajemniczonych — wylewa się w nim cała melancholia młodego serca. Panna Grudzińska przeginała się wdzięcznie, poruszając przezroczyście, jak tkanka pajęcza szalem, który owijał ją na kształt aureoli, to włókł się za nią, jak warkocz świetlistej komety,

to znów fruwał dokoła niej, jak skrzydła barwnego motyla.

— Trudny wybór między takimi siostrami, — dorzucił ktoś inny, patrząc na młodszą pannę Grudzińską.

Obiegała salony pogłoska, że obie panny Grudzińskie obdarzyły serdecznym afektem jednego z adjutantów, bywającego w ich domu, że ten hołdował z początku starszej, ale oczarowany nadzwyczajną pięknnością młodszej, która właśnie wchodziła w świat, przeniósł na nią swoje uczucia. Przyglądano się z ciekawością tej młodziuchnej piękności, która ukazała się dziś po raz pierwszy. Była nierównie piękniejszą od siostry. Wysoka i smukła, z twarzą podobną do Rafaelowskiej madonny, rysy miała greckie, usta Afrodyty, płeć nadzwyczajną, oczy ciemno modre, oprawne w hebanowych rzęsach, brew wąską, foremnie wyrysowaną, jak u wschodnich kobiet. Pączek to był zaledwie rozkwitły, ale zwerbowano ja na ten dzień dla wzbogacenia i tak już wspaniałego bukietu piękności. Patrzyła więc wielkimi swemi czarno modremi oczyma na zgromadzone tu cuda, słuchając z nieśmiałym wdziękiem prawionych sobie grzeczności, podczas gdy nieodstępny od jej boku młody oficer, stał przy niej w trochę wojowniczej postawie, jakby

ustrzedz ją chciał i uchronić od ścigających ją natrętnie ciekawych spojrzeń. Oboje znajdowali się w pierwszym szeregu zwartego koła widzów, podziwiających taniec Joanny. Widziała ich przyszła księżna Łowicka, śledząc nieznacznie ich zachowanie się z pod przymrużonych złotych rzęs. Widziała i odgadywała nieomylnym instynktem śmiertelnie ugodzonego serca, że w tej chwili właśnie te dwie tak drogie jej istoty, spiskują niejako przeciw niej, że zadzierżga się między nimi węzeł, który obdarzy je tem właśnie, co będzie jej odjęte. Sprawiało to jej smutną i rozpaczliwą rozkosz, że tańczy tak przed niemi, roztaczając wszystkie subtelne uroki, jakimi znała się być obdarzoną pomimo braku urody, że przemawia do nich wymową wężowych linii i motyliich poruszeń, że wypowiedzieć im może swój niemy, głęboko utajony żal, szeregiem nieuchwytnych, jej tylko zrozumiałych gestów, dotkliwie smętnem rzuceniem rąk, lub pełnem rezygnacyi przechyleniem rozbolałej główki.

Daremny bunt, protest bezpłodny! Nieubłagany los wypisał już obu siostrom głoski przyszłych ich przeznaczeń, rzucając wdzięczną tancerkę w objęcia cesarskiego degenerata, podczas gdy siostrze jej przypadło w udziale ciche, nieporównane z niczem, szczęście u domowego ogniska, rozpalonego przy

blasku pierwszej i ostatniej miłości wzajemnej i dzielanej.

Zupełnie innego rodzaju scena rozgrywała się w głębi pałacu, gdzie w obszernej, zadymionej fajczarni, schroniło się dwóch francuskich oficerów wyższego stopnia. Jednym z nich był podpułkownik Bontemps, rodem z Paryża, dyrektor artylerji, przydzielony wojsku polskiemu przez Napoleona, drugim kapitan Mallet, inżynier, użyty przy budowie fortec. Obaj zdawali się wyczekiwać na kogoś z niecierpliwością. Piotr Bontemps, człowiek wykształcony, dzielny artylerzysta, dobrze przytem obeznany z inżynieryą wojskową, był bezpośrednim podkomendnym generała francuskiego Lepelletier i pracował z nim razem nad sformowaniem polskiej artylerji. Chodził on wielkimi krokami po pokoju i uważał się porywczo na przedłużające się widowisko balowe, jak nazywał dzisiejsze zebranie, które nie pozwala mu porozumieć się dość szybko z ministrem wojny.

— Należało go raczej mianować ministrem zabaw — mruczał zgryźliwie. — Sam wyznaczył nam tu spotkanie, a nie raczy stawić się punktualnie w wybranej przez siebie godzinie.

Sięgnął niecierpliwie po zegarek, który wskazywał już kilkanaście minut po jedynastej.

Podpułkownik Mallet, giętki, układny Francuz, nie pozbawiony przebiegłości prowansalskiej, nie spieszył z wyrażeniem własnej opinii. Przybył do Polski nie jako gość tylko, jak Bontemps, lecz zamyślał na stałe w niej pozostać. Nie chciał też narażać się nikomu, tem mniej ministrowi wojny, który mógł mu być pożytecznym przy spodziewanym awansie. Książę wchodził właśnie do fajczarni, wstrzymując ruchem ręki adjutanta Szydłowskiego, który mu towarzyszył.

Przywołasz mi tu porucznika Zabielskiego — rozkazał, poczem usiadłszy wygodnie na sofie, sięgnął po ulubioną fajkę, którą mu tu przygotowano.

Bontemps skoczył ku niemu z impetem.

— Mości, książę! — zawołał popędliwie, nie rozumiem tej zwłoki — plany muszą być natychmiast zmienione, odpowiedzialny jestem za nie przed cesarzem.

Książę Józef pociągał spokojnie ze swej fajeczki i patrzył na powstające obłoki dymu, siedział niedbale rozparty, w lekceważącej pańskiej postawie i nikt nie poznałby w nim w tej chwili uprzejmego, pełnego wdzięku towarzyskiego człowieka, jakim był przed chwilą tam w sali balowej.

— Odpowiedzialny jestem przed cesarzem i..... — powtórzył Francuz, zatrzymując się



przed księciem, którego obojętność drażniła go niemało.

— Odpowiedzialny jesteś przedewszystkiem przedemną, — rzekł wyniośle książę, odejmując na chwilę fajkę z ust i wytrzepując z niej popiół, a skoro ja jestem z ciebie zadowolony, możesz, kochany pułkowniku, spać spokojnie. Słowa te wyrzekł tonem, co do znaczenia którego nie można było się pomylić, a który osadził natychmiast zapalczywego francuskiego inżyniera, ostrzegając go, że się wyraził niewłaściwie.

Tonu tego używać musiał książę nieraz, acz niechętnie, dla powściągnięcia francuskich oficerów, służących w armii polskiej; używał go też względem dygnitarzy francuskich, bawiących chwilowo w Warszawie, nawet niekiedy względem samego marszałka Davoust. Robił to w interesie godności narodowej, równoważąc w ten sposób uniżoność niektórych ziomków swoich, którym imponował mundur francuski, a zwłaszcza francuska protekcja.

— Wasza książęca mość wybaczy. — zaczął układowie Mallet, — ale kwestya to na prawdę pierwszorzędnej wagi, bo jeśli plany te dostały się w ręce austriackich lub pruskich agentów ....

— Zapominasz pan jeszcze o rosyjskich, panie Mallet.

— Wszak Rosya, to sprzymierzeniec.

— Fałszywy aliant, gorszy od otwartego wroga — mruknął książę — a zresztą cesarz rosyjski jest też, być może, sprzymierzeńcem Francyi, co jeszcze nie znaczy, aby zamierzał dotrzymać traktatów Księstwu.

— Wróćmy do rzeczy, — sarknął Bontemps — plany muszą być stanowczo zmienione, a budowle i roboty rozpocząć trzeba na nowo.

— Z jakich funduszków? — zapytał zimno książę.

— Kraj powinien ich dostarczyć, kraj wasz, który jest ostatnią placówką naszego cesarza, wysuniętą na wschód.

Trudno było spierać się z cudzoziemcem, upojonym potęgą swego monarchy, trudno było tłómaczyć mu, że Polska jest dla swych synów czemś innym, niż placówką francuskiego cesarza. Nie o to zresztą chodziło. Książę spoglądał co chwila ku drzwiom, słuchając z roztargnieniem technicznych wywodów Piotra Bontemps, który rysował pospiesznie palcem na stole posypanym kurzem tytuniowym, strategiczny trójkąt, jaki utworzyły pomiędzy Narwią, Wisłą a Bugiem trzy twierdze Modlin, Sierock i Praga.

— Mając w ręku te trzy punkta obronne, możemy zawsze trzymać na wodzy nieprzyjaciela, chociażby posunął się w samo serce kraju.

— Chociażbyśmy nawet ustąpili mu Warszawy — rzucił od niechcenia książę.

— Rozumie też wasza książęca mość, że z chwilą, kiedy pierwszy zarys planów wpadł w ręce obcych, wszystko, co się dotąd zbudowało, musi być do gruntu zmienione.

Wchodzący właśnie Mieczysław Zabielski słyszał ostatnie słowa francuskiego artylerzysty. Zamienił on już od progu ze swym wodzem znaczące spojrzenie — w jego oczach jasnych, żywych, w których każde poruszenie myśli, odbijało się wprzód jeszcze, nim się oblekło w słowa, zamigotała błyskotliwa radość na myśl o sztuce, jaką pokaże tu tym cudzoziemskim instruktorom. — Bo też w Istocie oficerowie francuscy, przydzieleni polskiej armii, odgrywali przy niej rolę mentorów, niekiedy zbyt aroganckich i przekraczających o wiele granice zakreślonej sobie kompetencji.

— Panie Zabielski — rzekł książę — sprezentuj panu Bontemps owe papiery, wyłowione przez twych żołnierzy.

Zabielski przystąpił miarowym krokiem do stołu, a wydobywszy z teki, którą miał w ręku, cały szereg zapisanych cyframi i pokrytych prostolinijnymi figurami papierów, rozkładać je począł przed zdumionym Francuzem.

— Zechciejcie panowie sprawdzić ścisłość tych obliczeń — rzekł książę.

— Ścisłość tych obliczeń? ależ w takim razie mamy chyba przed sobą kopie skradzionych planów.

— Bynajmniej — odparł książę — a zresztą, jako ludzie fachowi, powinniście panowie sami odróżnić kopie od oryginałów.

— To są niewątpliwie oryginały — zdecydował Mallet — który dotąd nie brał udziału w całym zajściu, a teraz przechylony nad papierami, przyglądał się im z żywym zainteresowaniem.

— Odzyskane? — Ależ w takim razie papiery są odzyskane. Jakimże cudem udało się tego dokonać.

— Moi żołnierze — wszakże miałem już zaszczyt objaśnić was panowie — prosty patrol polskich kawalerzystów, zatrzymał przy rogatece pewną wybitną osobistość, unoszącą plany naszych fortec, a stało się to wprzód jeszcze, nim raczyliście mnie zawiadomić o poniesionej stracie.

— Zatem wasza książęca mość wiedziała już o niej przed nami.

— Tak jest panie Bontemps, wiedziałem oddawna o zamachach wymierzonych przeciw naszym fortyfikacyom i rozkazałem, aby miano na oku niektóre podejrzane oso-

bistości, faworyzowane niestety zbyt gorliwie przez jednego z waszych generałów.

— I udało się schwytać je na gorącym uczynku?

— Na szczęście tak. — Jestem, jak pan widzisz, dobrze obsłużony, bo każdy polski żołnierz jest także polskim obywatelem i rozumie dobrze, czym jest klucz naszych pozycji.

— Ależ w takim razie jestem zachwycony, pełen podziwu, jestem cały na rozkazy waszej książęcej mości!

— Nie wątpiłem o tem ani na chwilę, panie Bontemps — odparł książę ze szczyptą ironii. Bo też przed paru jeszcze minutami ten sam Bontemps, przedzielony od niego olbrzymim dystansem rang w chierarchii wojskowej, pozwalał sobie na ton szorstki, popędliwy, niemal rozkazujący, do którego sądził się być upoważnionym, dlatego tylko, że był Francuzem.

— No, a teraz nie chciałbym dłużej przeskadzać wam, panowie, w dalszem uczestniczeniu w zabawie — dodał jeszcze książę, żegnając niedbałym ruchem ręki obu francuskich oficerów, którzy ukłoniwszy się mu, odeszli.

Dopiero zostawszy sam na sam z porucznikiem Zabielskim, pozbył się sztucznej powagi i chłodnego pańskiego tonu, jaki zmu-

szony był często przybierać względem francuskich instruktorów wprost dla utrzymania ich w należytych karbach. Cenił pozatem zresztą szczerze Piotra Bontemps, jako człowieka prawego i wybornie obeznanego z wojennem swem rzemiosłem. Czemże zresztą była jego chwilowa niesforność wobec systematycznej nienawiści niektórych polskich generałów, w obec gburowatej bezczelności Zajączka, który považał się odpowiadać na rozporządzenia ministra wojny szeregiem obelg, urągających elementarnym zasadom subordynacyi.

— „Nie morduj mnie pan dłużej swoją korespondencyą — pisał do księcia zawistny intrygant już w początkach swej karyery w księstwie. — Nie myślę stosować się do pańskich rozkazów, zawdzięczam wszystko cesarzowi i nie oczekuję nic od polskiego rządu.“ A i te nawet brutalne manifestacye, mniej były dotkliwe dla polskiego wodza od chmurnego milczenia Dąbrowskiego, cichej niechęci Sokolnickiego i tej nieuchwytniej atmosfery niechęci i niedowierzania, jaka otaczała go, ilekroć wychylił się poza obręb własnego okręgu wojskowego.

Tu tylko w Warszawie, wśród bezpośrednich swych podkomendnych, znajdował kilku oddanych sobie zwolenników, których młode serca otaczały go już dziś tą miłością i sza-



cunkiem, na jakie zarobić sobie miał w przyszłości u całego wojska polskiego.

Do takich właśnie należał Zabielski, a że teraz oddał mu właśnie nieocenioną przyszłość, książę przyciągnął go do siebie zaraz po odejściu francuskich oficerów i ucałował go kilkakrotnie.

— A teraz, kochany chłopcze — rzekł — siadaj tu przy mnie i opowiedz mi szczegółowo dzieje waszej wyprawy.

— To, cośmy zrobili, było fraszką i poszło nam całkiem gładko, dziwniejsza jakęśmy doszli do wiadomości osób i miejsc.

— Jakbądź opowiedz, jak się ta rzecz miała?

— Dostaliśmy dokładny adres, który nie był dla mnie niespodzianką. Wpadliśmy nieproszeni, obstawiliśmy wprzód wszystkie przejścia. Radca ucztował w towarzystwie nimfy samotrzeć, bo znajdował się tam jeszcze ten biedak Liwet, Bogu ducha winien i niedomyślający się wcale o co chodzi, ale zato pijany jak noc.

— Jak zwykle — zauważył książę — a jednak zdolny to człowiek i nie mamy go kim zastąpić.

— Załatwiliśmy się grzecznie i szybko. Radca na mój widok stał się karmazynowy, a potem biały jak kreda. Poznał on mnie odrazu i wiedział, że mamy z sobą pora-

chunki. Trafika nie była jeszcze dokonana; nimfa, niczego się niespodziewająca, sięgała właśnie za gors, chcąc wydobyć ukryte tam papiery.

— I cóżeście z nią poczęli?

— Obeszliśmy się po rycersku. Otrzymała ona swój rulon złota w zamian za papiery, z tą różnicą, że papiery dostały się w nasze ręce, zamiast przejść na własność czcigodnego radcy. Dziwne to stworzenie ta kobieta, młoda jeszcze a już do gruntu zepsuta, a jednak uznaliśmy za stosowne oszczędzić ją, bo...

— Bo może kiedyś wyświadczyć nam tę samą usługę?

— Okazała do tego gotowość, przysięgając, że nie zapomni nam nigdy naszego delikatnego z nią obejścia się.

— Aby jednak nie narażać powtórnie którego z naszych generałów na pokusę, której tak łatwo uległ Lepelletier, należy bezwarunkowo nakłonić ją do wyjazdu.

— Oczekują też oboje na rozkazy Waszej Księżęcej Mości, radca i nimfa. Oczywiście każde z osobna, — oznajmił Zabielski.

Na tem skończyła się chwilowo konferencya, po której obaj jej uczestnicy powrócić mieli na salę balową.

Noc była jasna, gwiazdzista, a chcąc dostać się do głównego skrzydła pałacu, przejść

trzeba było przez połąć kwitnącego ogrodu przepelnionego zapachem bzów majowych. Potoki księżycowego światła, zalewały ten ogród, napelniony ciszą, przerywaną niekiedy dalekiem echem, zgiełkowej zabawy, odbywającej się w pałacu.

Książę, jako bardziej świadomy położenia, służył Zabielskiemu za przewodnika.

Przed wejściem prowadzącem do sali balowej zatrzymali się na chwilę. Zastąpiły im drogę dwie kobiety, opuszczające widocznie zebranie.

Usunęli się na stronę, aby pozwolić im przejść, a gdy oddaliły się cokolwiek, Zabielski rzekł do księcia półgłosem:

— To one! właśnie chciałem Księciu mówić.

— Znasz ją? — odwrócił się nagle książę.

— Ta młoda dziewczyna, piękna jak przebrana księżniczka, dała mi się poznać w bardzo dziwnych okolicznościach.

— I mnie także — szepnął zamyślony książę.

Patrzyli obaj za oddalającymi się kobietami, które dążyły w stronę żelaznej kraty, przedzielającej ogród od ulicy. Było to drugie wejście boczne, to też w miejsce zgiełku i gwaru, rozlegającego się przed główną bramą, było tu prawie zupełnie pusto i cicho. A przecież tu także zajechał

w tej chwili, lekki, kryty faeton, zaprzężony piękną czwórką tarantów.

Od pierwszego spojrzenia poznał Zabielski zaprzęg i konie. Z daleka odróżnił ciemną sylwetkę, wychylającą się z powozu i zapraszającą gestem do wnętrza obie kobiety. Do uszu jego dobiegł głos dający rozkaz stangretowi: „Pod blachę!“ Głos był kobiecy, ale suchy i drewniany, słowa wyrzeczone zostały obcym, cudzoziemskim akcentem. Książę wzdrygnął się niechętnie na ich dźwięk, Zabielski urwał w połowie rozpoczęte zdanie.

Paula tymczasem skoczyła lekko na stopnie faetonu, za nią wtoczyła się nieodstępna Franuleńka. Zaraz potem pojazd potoczył się po bruku i znikł w ciemnościach nocy.

— A zatem? — zwrócił się książę do Zabielskiego — Czy nie dokończysz mi teraz rozpoczętej relacji?

— Sam nie wiem... — zaczął porucznik.

— Sam nie wiesz, czy możesz mówić w obec mnie z całą swobodą o pięknej dziewczynie, którą pani Vauban uwiozła pod blachę. Czy i ty także upatrujesz we mnie rodzaj smoka, pożerającego młode dziewczęta?

Porucznik Zabielski uśmiechnął się na to przypuszczenie, a potem, upoważniony tak wyraźnym rozkazem, rozpoczął swoją opowieść. Wycofali się wprzód znów w głąb

ogrodu — a Zabielski mówił coś długo słuchany bardzo uważnie.

— Osądziłbym to sam jako rzecz nie do wiary, gdyby mi kto drugi opowiedział — zakończył opowiadanie.

— Przyszła więc, jak mówisz, wśnie kateptycznym sama, nie wiedząc co czyni.

— Tak być musiało, alem nie zmiarkował na razie. Są tu zresztą szczegóły, które winien jestem zataić przed waszą książęcą mością, bo sekret nie mój. Chodzi tu o przyjaciela.

— Odgadnąć nie trudno. Tak czarująca istota usidlić mi musiała któregoś z oficerów, nie wiedząc może o tem, bo z oczu patrzy jej sama niewinność.

— Chłopak bardzo drażliwy na punkcie honoru, kocha ją namiętnie, a przecie umyślił trzymać się zdaleka. Zazdrość pożera go, skoro mu kto o niej wspomni, śledzi ją też skrycie, posądza.

— A ona?

— Szła przecie ku niemu jakby w śnie magnetycznym. Spotkałem ją wówczas, bom właśnie od niego powracał. Nie odpowiadała mi nic, szła przed siebie z szeroko rozwartymi oczami. Aż tu naraz jak z pod ziemi wyrosła jejmość duenna czy opiekunka. Poczciwość jakaś, taka ze wsi kobiecina. Za rękę ją wzięła. Ta nic. „Chora, mówi do

mnie jejmość, lunatyczka, na jawie śni. Nie zbudzi się dokąd nie zrobi co sobie umyśliła“. Poszliśmy za nią we dwoje, szła prosto do mieszkania, jakby tam była nie wiem ile razy. Kwatera wysoko po schodach kręconych. Znalazła klucz, który zostawiamy dla siebie, koledzy dla kolegów, gdy jeden drugiego w domu nie zastaje. Otworzyła drzwi, a nie znalazłszy nikogo, oglądała się niespokojna. Potem jakby się namyśliła, wyjęła z torebki zielony ołówek i pisać zaczęła powoli, z namysłem przekreślając i poprawiając. Spojrzałem jej przez ramię i zdumiałem się. Była to wskazówka wyraźna. Nazwisko, adres, słowem wszystko. Resztę wasza książęca mość wie.

Ale książę nie słuchał już od chwili. W uszach brzmiały mu słowa, wypowiedziane przed paru godzinami przez tajemniczą wróżbiarkę. Wszedł był do purpurowego namiotu, z uśmiechem na ustach, robiąc grzeczne ustępstwo fetującym go damom. Miał zamiar zbyć całą rzecz wesołym żartem, może płochym komplementem, któremu towarzyszyć miał sowity datek. Ale już na wstępie uderzyła go niezwykle wykwintna piękność urody kabalarki.

Nie rzuca się dukata takiej przebranej księżniczce, jak ją trafnie określił Zabielski.

Gdy zaś ujęła dłoń jego w smukłe swe delikatne paluszki, zdało się księciu, że się-



ga nimi gdzieś aż do głębi najskrytszych jego tajemnic i że dusza jego, jak schwytany ptak, trzepoce się w tej dłoni dziewczęcej. Skąd i jakimi czarami zyskała nad nim taką władzę? Nie pomnął słów, które do niego wyrzekła, ujrzał przecież jakby przez mgłę rozdartą zasłonę, a po za nią barw tysiącem świetną promienistą przyszłość własną. Nie, raczej przeszłość czegoś, co było mu droższem nad istność osobistą. Chwila ta trwała krótko, jak lśnienie błyskawicy, poczem widział utkwione w siebie wielkie aksamitne oczy i słyszał głos melodyjny, trochę jednostajny, który wróżył mu coś o sławie rycerskiej i królewskich komnatach obitych kirem i o wielkiem całkowitem spełnieniu najdroższych nadziei i o dokonaniu ciężkiej jakiejś ale koniecznej ofiary, której pamięć z pokolenia pójdzie na pokolenie. I widział się w myśli na czele liczного hufca takich jak sam rycerzy, ginących mężnie dla sprawy z góry osądzonej, przegranej, opuszczonej od ludzi, zapomnianej zda się od Boga. Widział szeregi ich i pokolenia całe, zawsze z pewną gotowością idące na ten zgon chwalebny, poto, aby kiedyś.....

Ocknął się wreszcie. Stali już obaj z Zabielskim na progu sali balowej, w której umieszczona na galeryi kapela rznąła siarczystego mazura. Poszły po sali skoczne,

raźne dźwięki, wyganiając nawet wspomnienie gawotów, kontredansów i innych nowomodnych lub cudzoziemskich tańców. Pary dobierały się, rozpraszając się dokoła sali — tu i owdzie dawały się już słyszeć pierwsze dyskretne hołupce.

— Biały mazur, szepnął Mieczysław Zabielski, przypomniawszy sobie, że tańczyć go ma z generałową Morand. To go wyrwało z zadumy, w którą się także pogrążył, rozbierając wartość swego nagłego tryumfu. Cieszyło go to, że oddał ważną przysługę krajowi, ratując plany z rąk cudzoziemców, a raczej nie pozwalając im przejść w niepowołane ręce. Z drugiej strony, jednakże czuł niejasno, że dzisiejszy jego czyn zaważy w przyszłości na szali jego życia. Widział przed sobą jadowite, nienawistne oczy radcy von Stierre, którego zaszedł w chwili, gdy zamierzał on wydostać od faworyty, generała Lepelletier plany budujących się polskich fortów. Wprawdzie Zabielski wziął te dokumenty od nimfy, jak ją nazywał, wpierw jeszcze, nim ta zdążyła wręczyć je Stierre-mu; wprawdzie ten ostatni wyparł się wszelkiej wspólności z rulonem złota, przygotowanym jako zapłatę, ale winą jego nie ulegała wątpliwości. To też czcigodny, radca siedział już od wczoraj pod kluczem, aresztowany, przez patrol dowodzony, przez Za-

bielskiego. Los jego nie był jeszcze rozstrzygnięty — ale w chwili gdy go zamykano, zdążył był rzucić swemu młodemu pogromcy spojrzenie tak mściwe i wyrażające tak wściekłą nienawiść, że pamięć tych żółtych fosforycznych źrenic ścigała Zabielskiego aż tu na sali balowej, jak wzrok zdeptanego gadu.

Gad był giętki i życie miał w sobie trwałe, choć utajone, ugryźć też mógł łatwo stopę, która go nadeptała.

Ale i to porównanie, które nasuwało się uparcie Zabielskiemu, pierzchło przed skocznymi akordami narodowego tańca. Obiegał też po chwili salę w posuwistym mazurze przy boku swej pięknej tancerki. Polski strój pani Morand, uczynił ją królową skocznego tańca. Tancerze cisnęli się do niej tłumnie, idąc w odbijanego. Zabielski tracił ją, to odzyskiwał w zmiennych kolejach figur. Bawiono się tak do późnej godziny poranku.

Nie wiadano jeszcze wówczas o wypadkach zaszłych w Madrycie w dniu drugiego maja. Nie wiadano, że w chwili prawie tej ochoczej zabawy dalekie pułki polskie świadkami być musiały okrutnych, krwawych egzekucyi, dokonywanych na powstańcach hiszpańskich przez Joachima Murata — że ta krew niewinnie przelana stać się musiała pierwszą skazą — przyćmiewającą rosnący wciąż dotąd blask gwiazdy Bonapartego.

## ROZDZIAŁ VII.

**Kuryerzy cesarza.**

Dwaj umundurowani jeźdźcy pędzili galopem, tempem tak zwanem *à franc étrier* po szerokim gościńcu, pokrytym grubą warstwą szaro czerwonej kurzawy. Pomimo pospiechu zachowywali się ostrożnie. Broń mieli nabitą, w każdej chwili gotową do wystrzału, wzrok i słuch nateżony — baczność napiętą, by ująć przyczajonego niebezpieczeństwa.

Przebywszy szczęśliwie przesmyki gór Guadarranna z pomocą sownie opłaconego przewodnika, widzieli już przed sobą bramy Madrytu. Przewodnik pożegnał ich w ostatnim skalistym wąwozie, zaklinając ich na wszystkie świętości, by nie zdradzili przed nikim, że on Hiszpan prowadził ich do zajętej przez Francuzów stolicy. Zrobił to dla nich jedynie, ponieważ są *los Polacos*, ponieważ zbiegli z Madrytu krewni jego, którzy tam są woziwodami, opowiadali mu, że Polacy nie chcieli w czasie krwawych dni strzelać do hiszpańskich powstańców — ponieważ są dobrymi katolikami, żegnają się krzyżem świętym, potrafią przyklęknąć w kościele i uchylić czoło przed Utajonym w ołtarzu. Ale i tak źli ludzie mogliby rzucić na niego potwarz, że prowadził tych dyabłów francuskich, dla których niema nic świętego, że

służył za przewodnika tym, którzy nie dość że uprowadzili króla z Madrytu, ale jeszcze w Aranda nad Duero pobili dużo niewinnych ludzi, co króla swego chcieli pożegnać i zatrzymywali własnymi rękoma koła pojazdów.

Wynurzeń tych słuchali młodzi oficerowie na ostatnim noclegu, gdy zmieniając się kolejno, sypiali na przemianę z obawy, by ich nie zamordowano we śnie.

Sześć tygodni zaledwie upłynęło, odkąd opuścili Warszawę. W kilkanaście dni po słynnym balu, Zabielski wysłany został przez księcia w tajnej misji prywatnej do cesarza, a Tadeusz Sawicki towarzyszyć mu chciał na ochotnika, na co uzyskał pozwolenie. Doścignęli Napoleona w Bajonnie i sprawili się z danego poselstwa, ale w chwili, gdy powracać już mieli do swego wodza, rozporządzono nimi inaczej. Odpowiedź do Warszawy zawieźć miał inny polski oficer, kuryer zaś księcia Poniatowskiego wysłanym został wraz ze swym kolegą do Hiszpanii, niosąc poufne zlecenia dla Murata.

— Vous autres Polonais! vous êtes mangeurs des langues\*) — rzekł cesarz, szczypiąc ich łaskawie za ucho, poczem obdarzyć ich kazał małą książeczką, która wpoić w nich miała w najkrótszym możliwie czasie elementa mowy hiszpańskiej.

\*) Wy Polacy jesteście zjadaczami języków.

— Wasi tam podobno bratać się umieją z pospólstwem lepiej od moich Francuzów; dodał na pożegnanie — powyuczali już chłopców w Madrycie, że krzyczą im po polsku na ulicach „świeża woda“. Winni też użyć swego wpływu, aby przekonać ciemny lud, że Francya przynosi mu prawa człowieka i wyzwolić go chce z pod przemocy panów i księży. Winni oświecić Hiszpanów, czem jest ten ich były król, ślepe narzędzie w ręku podłego faworyta; — czem jest cała ta rodzina królewska, narzucona im kiedyś przez obcych, a składających się obecnie z nikczemnych obłąkańców i niedołężnych intrygantów.

W czasie krótkiego swego pobytu w Bajonnie mieli oficerowie polscy sposobność widzieć z daleka zdetronizowanego króla Karola i buntowniczego jego syna, księcia następcę tronu, Ferdynanda. Obecni też byli przy wjeździe królowej hiszpańskiej z dwójgiem królewskich pacholąt, jakoby żywcem wyciętych z płócien Velasqueza.

Cała ta monarsza rodzina, zatrzymana przemocą w Bajonnie, wywieziona przemocą z dziedzicznych swych posiadłości, nie budziła w nich zbytniego współczucia. Przywykli już do widoku królów i książąt zwyciężonych przez Napoleona, lub wlokących się za jego orszakiem. Przekonani byli jak inni,



że naród Hiszpański wdzięczny był cesarzowi Francuzów za wyzwolenie go z pod despotycznych rządów, okrutnej i niedołężnej dynastji i przyjmie z ochotą nowe rządy. Zaraz jednak po przekroczeniu granicy, odczuli subtelną wrażliwością synów uciśnionego narodu, że nastrój patryotów Hiszpańskich jest wcale innym, niż to przypuszczano w cesarskiej kwaterze. Ostrzegli ich zresztą o tem ziomkowie, z którymi zetknęli się zaraz po przybyciu i nauczyli ich, jak mają się zachować.

— Smutny kraj! — zauważył Zabielski, osadzając na chwilę konia i obrzucając wzrokiem nagie, bezleśne równiny leżące po obu stronach gościńca.

Skąpo rozrzucone wioski, ogrodzone zwaliskami z kamieni, wyglądały z daleka jak cmentarze. Pustynny krajobraz, powleczone płową warstwą czerwonego kurzu, zrzadka tylko urozmaicony był bladą zielenią oliwnych gajów.

— I toż jest owa sławna Hiszpania! — zaczął znów Zabielski. — Pomyśl tylko, u nas teraz żniwa, kołyszą się łany zbóż, ludzie dzwonią sierpami. A tu, Boże odpuść! z czego ci ludzie żyją? Migdałami się chyba karmią.

Tadeusz nie odpowiadał prawie na te uwagi kolegi. Smutny był, apatyczny, nowość

nawet otaczających go wrażeń nie zdołała go wytrącić z obojętności. Chory był na duszy, wlokąc wszędzie za sobą wspomnienie miłości, której ani zaspokoić, ani wyrzec się nie umiał. Z Warszawy wygnała go plotka, powstała po balu kostyumowym, a według której ksiązę zaopiekować się miał tajemniczą wróżbiarką. Opowiadano, że wykupił ją wprost od signora Orwi, a osadziwszy w małym domku na Pradze, dał jej metrów, którzy kształcili ją w różnych materjach, że zachodził tam codziennie, dopytując o postępy.

— Jest on w wieku, w którym popełnia się często ostatnie szaleństwo — mówiły, z westchnieniem damy — gotów więc nawet ożenić się z nią, jak niegdyś Szczęsny Potocki ze swą piękną Greczynką.

— Traktuje ją z najwyższym szacunkiem jakby była naprawdę księżniczką i zaledwie śmie dotknąć ustami końca jej paluszków — upewniali niektórzy.

— Bo też jest podobno naprawdę księżniczką, tylko urodzenie jej otacza niezgłębiona tajemnica — mówili inni.

Pogłoska obiegała przez kilka dni salony, ustępując wkrótce miejsce nowej plotce, ale Tadeusz uwierzył od razu. Rozpacz go brała na myśl, że odtrącił dobrowolnie prawie skarb, który dziś straconym jest dla niego

na zawsze. W Bajonnie zagłuszyły go przez jakiś czas niezwykle wrażenia. Sam widok Napoleona, którego oglądał po raz pierwszy, stłumił w nim osobiste wspomnienia. Ta twarz jakby z głazu wyciosana, uderzająca w ludzi szaremi żrenicami, z pod lasu ciemnych rzęs, twarz spokojna i ponura, nie odbijająca innych uczuć, prócz gniewu i radości, zdała mu się odbiciem mistycznego Odyna, którego posąg oglądał w galeryi jednego z miast niemieckich, gdzie się zatrzymywali po drodze. Nie dziwił się już, widząc go, że ludy i królestwa są igraszką w ręku tego mocarza, a usłyszawszy rozkaz z jego ust, nie wierzył prawie, iż dzieje się to na jawie i gotów był iść na kraj świata, by spełnić jego wolę. W miarę oddalenia jednak, rozwiewał się zwolna ten urok bezpośredni, który był główną tajemnicą cesarza, a uczucia i tęsknota duszy odzyskiwały swoje prawa.

Tu w Hiszpanii na jednym z noclegów, dziewczę młode, siostrzenica proboszcza, który im dał gościnę, spojrzała na niego oczyma, które mu przypomniały Paulę i jedno to wejście, wystarczyło dla rozbudzenia pięknego żalu. Zabielski próbował go leczyć z tej niszczącej tęsknoty, ale i sam dotknięty był podobną chorobą. Piękne oczy generałowej Morand ścigały go aż tutaj. Aż wreszcie w jedną skwarną noc, siedząc w lesie

pod cieniem wiecznie zielonego dębu, rzucili obaj ciężar tłoczący ich młode serca, a te zwierzenia przyniosły im ulgę.

— Ty przynajmniej masz nadzieję — mawiał Zabielski — bo, co się tyczy księcia, bajka to jest wierutna i zmyślą ich dziesięć innych, zanim powrócimy.

Ale Tadeusz upierał się przy swoim i poczytywał sobie za powinność, wyrzec się nawet marzenia o Pauli, skutkiem czego marzył o niej coraz częściej.

— Nie znajdzie godniejszego — mawiał do Zabielskiego — nie mam też wcale żalu do księcia.

— Nie znajdzie godniejszego. Tego ja nie mogę powiedzieć o generale Morand — mruknął Zabielski — to też i ja nie poszukałem zbyt godnej.

— Nimfa? — spytał Tadeusz, przypominawszy sobie ostatni wieczór spędzony w Warszawnie.

— Dziwna dziewczyna, wiesz, że ona mnie kocha naprawdę, przysięgła, że pojedzie za mną, jeśli na czas nie wrócę.

— Wszakże nie mogła przeczuć, że nas wyślą do Hiszpanii.

— Powiedziałem na żart i sprawdziło się.

Stanęli właśnie przed bramą stolicy Hiszpanii, gdzie straż pytała ich o hasło i pa-

piery. Znalazło się też od razu paru rodaków, którzy podjęli się odprowadzić ich do koszar, gdzie mieściły się polskie szwadrony. Koszary te zainstalowane były w niedokończonym klasztorze, którego tyły wychodziły na ogrody przy ulicy Lieganitas. Przywitano ich nad wyraz serdecznie, jako gości przybywających tak świeżo z Warszawy. Polacy, lubiani byli rzeczywiście przez ludność stolicy, bo też były to szwadrony w których najprostszy szeregowcy posiadali ogłade i wykształcenie. Pełnili przy Muracie służbę jakby przy cesarzu. Wśród innych oficerów znajdowali się tam Kamiński i Rostworowski, znani Zabielskiemu jeszcze z Warszawy. Tadeusz spotkał swojaka ze stron rodzinnych, Dominika Kiełkiewicza.

Zapytani o Murata, oznajmili, że mieszka w królewskim pałacu. Za późno już było na stawienie się przed obliczem cesarskiego szwagra, a przytem jeźdźcy, zmordowani drogą, pożąдали wytchnienia i zmienić chcieli zakurzoną odzież.

Ugościł ich na kwaterze swej szef szwadronu Kamiński, a inni też zeszli się do jego celi, spragnieni wieści z Warszawy. Po kilku szklankach wina rozgrzały się głowy i rozwiązały języki.

Kamiński, dbały o wszystko, postawił straż przed drzwiami celi, straż honorową,

która zabezpieczyć im miała poufną pogawędkę.

— Nie wiecie, jaki rozkaz przesyła cesarz Muratowi? — zapytał.

— Rozkaz ten wieziemy, zapieczętowany, ale wieść niesię, że ksiązę Murat zostanie odwołany, a zastąpi go Bessieres.

— Mówią, że sobie tu niepolitycznie poczyną, — dodał Sawicki.

— Niepolitycznie? Słuchajcie — rzekł Kamieński, podchodząc wpierw ku drzwiom dla przekonania się, czy nie słucha nas kto niepowołany.

Z przyzwyczajenia mówił dotąd po francusku, teraz rozmowa stała się polską.

— Słuchajcie — mówił dalej — on tu sobie poczyną po katowsku, splamił siebie i nas.

— Jakże to? — pytał ciekawie Zabielski. — Nie radzi tu wam.

— Zaraz na wstępie zakłuto nam dwóch szeregowców. Było to w Mirandzie. Stanęli na wyznaczonej kwaterze, nie przeczuwając nic złego. Nazajutrz nie stawili się do apelu. Ktoś pomówił ich o dezercyę. Chcieliśmy robić sprawę, ale czasu nie było. Massena szedł za nami, śledztwa dokonał, a zresztą, woda wyrzuciła trupy, utopione w Ebrze.

— Zabójców znaleziono?



— Miasto ich przystawiło, lękając się zemsty Masseny; ten ich kazał powiesić na placu. Herszem była kobieta, młynarka olbrzymiej statury. Zadźgała ich, mówią, we śnie.

— Hiszpańska Judyta.

— Cóż znowu? Powodu nie było. Szliśmy jak przyjaciele. Wina w tem raczej Francuzów, bo idąc przed nami, dziwy niestworzone gadali na nas, ot tak, przez głupie żarty. „Barbarzyńcy“, mówili o nas, ludzi jedzą. Postrach z nas chcieli robić, równając nas z Mamelukami. Lud prosty wierzył z początku.

— A dziś nie wierzy?

— Zrobiliśmy sobie lepsze imię, przynajmniej tu, w Madrycie. „Los Polacos“ widziani są chętniej od Francuzów. Przyjmują nas po domach, jeść możemy bez obawy, podczas gdy tamci....

— Cóż im grozi?

— Trucizna. Opowiadają tu o jednej rodzinie, która własnowolnie jadłem się nakarmiła, byle zgłodzić swych gości.

— Prawdaż to?

— Tak głoszą. Rzecz zresztą całkiem możliwa. Chleb zatruty do koszar przysłano. Dobrze, że ostrzeżenie na czas przyszło.

— I zacoż taka zawziętość?

— Znać, żeście świeżo przybyli i nie wiecie, jak okrutnie mścił się Murat za wybuch powstania.

— Powstania? mówiono małe zamieszki.

— Powstanie bracie, takie jak u nas w Warszawie za czasów Kościuszki. Lud rzucał się na arsenał, broń rozebrał. Bito we wszystkie dzwony, bo dzień to był świąteczny. Procesye wychodziły z kościołów, za nimi tłumy ludzi, a każdy niósł broń pod suknią. Strzelać zaczęli. Wtedy Murat zawezwał wojsko stojące za miastem; nikogo z zewnątrz nie dopuszczał, a wewnątrz kartaczami raził. I tak się ta przyjaźń skończyła, którą mieliśmy niby mieć z narodem.

— Powstanie zatłumił?

— Tak i o to winić go trudno, bo mordowano mu jego żołnierzy. Ale na tem należało poprzestać. Tymczasem on....

— Cóż?

— W parę dni potem formalną rzeź sprawić kazał. Chwymano bezbronnych po ulicach, gdzie się tylko liczniej zgromadzili, i osadzono ich na noc w koszarach, a nad ranem przed wschodem słońca tracić ich kazano.

— Chyba tych, u których broń znaleźli?

— Gdybyż tylko. Brano wszystkich bez różnicy, jeśli kupili się na ulicach. Starców, kobiety, księży, nawet młode dziewczęta.

— Nie braliście w tem udziału? — pytał Zabielski, którego usta drżały lekko.

— Mameluków przeważnie użyto, ale i u nas w koszarach trzymano więźniów. Nie-

którzy z naszych straż trzymać musieli, gdy prowadzono ich na stracenie. A zresztą, dość już o tem.

Opowiadający urwał nagle i spojrzał niespokojnie ku drzwiom. Wchodził właśnie przez nie chłopak młody o twarzy delikatnej jak u dziewczyny i smutnych przymglonych oczach.

— Nie mówimy w jego obecności o tych strasznych wypadkach, szepnął zniżając głos, młody oficer — bo zabito owej nocy młodą pannę, Hiszpankę, której miłość pozyskał. Zapomnieć jej nie może i melancholia po niej trawi go, że sobie rady dać nie umie.

Ale tamten zrozumiał już o czem mówią. Podeszedł bliżej i usiadł apatycznie, opierając głowę na rękę.

— Miniaturę nosi przy sobie, którą mu dali rodzice zamordowanej, dodał inny — opłakiwał ją wraz z niemi. Żalu do niego nie mają, bo wiedzą, że ją chciał obronić. Uwagę tę wypowiedziano na głos, wiedząc jak wielką ulgę przynosi młodzieńcowi to przebaczenie rodziców. Zapoznano go z nowoprzybyłymi. Zabielski i Sawicki uścisnęli dłoń jego z ciepłem współczuciem. Przybycie tych gości z kraju wzruszyło widocznie chłopaka i zrobiło go bardziej wywnętrzającym się, bo po niejakiem czasie sam zaczął opowiadać tragiczny zgon ukochanej, rad prawie, że ma

nowych słuchaczy. Pokazał im nawet jej miniaturę. Nie była to twarz o typie południowym. Jasne włosy, owal delikatny, figlarne oczy i uśmiech dziecka. Zabielski dopatrywał w niej dalekie podobieństwo do Krzysi, z czasów, gdy nie była jeszcze zakochaną i nie uchodziła za sensatkę. Dreszcz zgrozy wstrząsnął nim na myśl, czegooby doznał gdyby siostra jego takiemu uległa losowi.

— Pięć kul, jęknął osierocony kochanek, ściskając konwulsyjnie jego rękę. Tak ją znalazłem i oddałem rodzicom, podczas gdy zwłoki innych leżały bez pogrzebu. Szukał widocznie pociechy w tem, że ocalił jej zwłoki od poniewierki. Usiłowano zmienić rozmowę, która przeszła na weselsze tory, ale pierwsze wrażenia wryły się głęboko w pamięć warszawskich kuryerów. Udawszy się na spoczynek długo usnąć nie mogli, wyobraźnia stawiała im przed oczy krwawe sceny, których opis słyszeli tego wieczora. Nazajutrz spełnili swoje poselstwo. Idąc do pałacu, rozglądali się ciekawie. Pierwszy to raz mieli sposobność oglądać miasto, o tak swoistym charakterze, tak odmienne od tych, które widzieli dotąd. Wiało tu żarem południa, od rozpalonych płyt kamiennych i marmurowych pałaców, od strzelistych wież kościołów — i bladej zieleni drzew pokrytych i tu płowym kurzem. Jak rozkoszna

oaza, rozpościerało się od wschodu kwitnące Prado, pierwowzór wiedeńskiego prateru, czarowny ogród przecięty cudownymi alejami i wodotryskami.

Po obu stronach ulic wielka różnaitość stylów, od surowych konturów gotyckich gmachów aż do ażurowej lekkości maurytańskich ornamentów. Wiele domów niskich, kamiennych z ogrodami. W oknach pozbawionych szyb, kolorowe, jaskrawe firanki, szczelnie pozasuwane. Czasem tylko uchylała je na chwilę biała ręka i ukazywała się na chwilę ciekawa twarz kobieca.

Odkonwojowani do pałacu młodzi ludzie, wprowadzeni zostali do królewskich apartamentów, zajętych chwilowo przez Murata.

Książę Bergu żywił jeszcze resztki złudzeń, iż jemu to właśnie wola cesarska przeznacza koronę hiszpańską. O koronie wogóle nie zwątpił nigdy, gotów przyjąć każdą na wschodzie czy południu Europy, gotów z giętkością południowca przyswoić sobie obyczaj każdego ludu, któryby przyjął jego władanie.

Zabielski sam jeden sprawił poselstwo, Tadeusz zatrzymał się na rozmowie z kuzynem, który właśnie dnia tego miał służbę w pałacu.

Murat, który znał dobrze polskiego oficera z czasów, gdy będąc w Warszawie, gosz-

czonym był „pod Blachą“, przyjął Zabielskiego z odrobiną sztucznej grandezzy. Nie na próżno przebył parę miesięcy w kraju, gdzie ścisłość monarszej etykiety zachowywaną była z tą samą co niegdyś surowością. Nie na próżno obcował pod sklepieniem królewskiego pałacu z cieniami Filipów i Karlosów, których znużony majestat spoglądał ze zdumieniem z ram wiszących na ścianach portretów, na tego syna ludu gospodarującego w ich królewskiej rezydencji.

Przejął trochę z postawy ich i gestów, podpatrzonych raczej u pochmurnie ulegających mu grandów, niż u niedołęznego króla, którego wyprawił stąd przemocą, prawie jak więźnia stanu.

Poświęcił też coś ze swych upodobań do barw jaskrawych i chodził w czarnym aksamicie, na którym widział już w skrytych marzeniach błyszczący łańcuch złotego runa i oznaki władzy królewskiej.

Marzeniom tym miała zadać stanowczy cios depesza z Bajonny, wręczona mu przez Zabielskiego. Przeczuwał do pewnego stopnia jej treść, bo już i do niego dobiegały pogłoski, do których nie chciał dotąd przykładać wiary. Skoro jednak odczytał nieodwołalny wyrok, skoro zrozumiał, że używszy go za narzędzie, cesarz gotów się go teraz wyprzeć, zrzucając na niego całą ohydę ma-



dryckich represyi, nie panował dłużej nad sobą i wybuchł przed Zabielskim potokiem skarg i wyrzutów.

— Król Józef? — wołał zapalczywie, mnąc w rękę fatalną depeszę. — Króla Józefa wysyła cesarz do Madrytu! Obaczymy czy wytrwa on miesiąc, co mówię? tydzień, dzień jeden pośród morderczych sztyletów. Józef? Wy go nie znacie. Niema w nim wcale męstwa. Kobieca twarz i serce kobiece.

Mówił długo w tym sensie, a wreszcie siadł i zamyślił się. Depesza przywieziona przynosiła mu jednak daleki błysk nadziei, że tron opróżniony przez Józefa Bonapartego dla objęcia hiszpańskiej korony może jemu przypaść w udziale. Jest przecie szwagrem Napoleona, a jeśli nie będzie władał mocarstwem, w którem słońce nie zachodzi, to i tak nie minie go królewska purpura, opromieniona jasnym słońcem, odbitem w nurtach Neapolitańskiej zatoki.

Zrozumiał, że musi przedewszystkiem ulegć woli cesarza i poddać się bez dąsów jego rozporządzeniom. Podawano mu zresztą przyzwoity sposób wycofania się, buletyn urzędowy ogłosić miał jego odwołanie z Hiszpanii z powodu nadwątlonego zdrowia.

Pożegnawszy niedoszłego króla hiszpańskiego obaj oficerowie powrócili do koszar.

Doszły już i tam wieści o gotujących się zmianach. Przyjęto je raczej z radością.

— Niech już raz będzie wojna — mówiono — prawdziwa wojna, gdzie bić się będzie można front z frontem, nie zaś patrolować dniem i nocą i stróżować nad zbuntowanym narodem. Nie sposobniśmy do takiej służby, a dyscyplina pełnić ją nam każe.

Życzeniom tym stało się wnet zadość. Prawdziwa wojna, dzika, okrutna, nieubłagana, rozpoczęła się już na północy. Już rozbrzmiewał pod Epilą stentorowy głos Chłopickiego, już setki żołnierzy polskich, wystawionych na pierwszy ogień, ginęło pod murami Saragossy.

W Madrycie nie wiedzano jeszcze o tem, lub wiedzano bardzo niejasno. Jeden z polskich szwadronów odkomenderowany już został wraz z pułkiem francuskim, do którego był wcielony na spotkanie trwożliwego króla Józefa, który otoczony silną eskortą, postępował z bijącym sercem w głąb kraju, posyłając z drogi do cesarskiego swego brata rozpaczliwe listy, błagając o więcej i co raz to więcej wojska.

Położenie warszawskich kuryerów było trudne. Czystem szaleństwem byłoby puścić się samopas z powrotem do granicy.

Zabielski postanowił zostać w Madrycie i doczekać się tam przypuszczalnego przy-

bycia króla Józefa. Wiedziano, że Napoleon rozkazał bratu stanąć w Madrycie w pierwszej połowie lipca i że będzie robił wszystko, by życzeniu temu stało się zadość. Zabielski zresztą czuł się jak u siebie w stolicy hiszpańskiej. Mówił już wcale biegle kastylijskim, jak utrzymywał, akcentem. Zwiedzał pałace królewskie, pełne nieocenionych dzieł sztuki, uszanowanych dotąd z powodu, iż przejść miały w posiadanie monarchy z domu Bonapartych.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

---

### Dwie modlitwy.

Przed wymaszerowaniem z Madrytu niektórzy oficerowie czuli się w obowiązku odwiedzić rodziny hiszpańskie, w których doznali uprzejmego przyjęcia. Były to po większej części stosunki zawiązane w czasie krwawych dni majowych, gdy udało się niektórym z nich osłonić przyjaźne domy od dzikich represyj. Pamiętano im to i zaczynało odróżniać od innych wojskowych. Zawdzięczali zresztą Polacy to zbliżenie istotnej swej łatwości do uczenia się języków, co pozwalało im wprędce porozumiewać się bezpośrednio z hiszpańskimi znajomymi, podczas

kiedy Francuzi — pozostali im do końca całkowicie obcymi.

Zbliżenie to było jeszcze możliwe, bo jeszcze nie doszły tu echa o krwawych wawrzynach Saragossy, jeszcze nieustraszeni ułani Klickiego nie zdobyli sobie groźnego przydomku los infernos. Wilią więc odejścia wojsk z Madrytu, małe kółko polskich oficerów podejmowane było gościnnie w domu Alonza Juana Corbo i jego małżonki.

Byli to właśnie rodzice nieszczęśliwej dziewczyny, zamordowanej wraz z tysiącem różnych ofiar, po stłumieniu powstania. Rodzina Corbo należała do patrycyatu mieszczańskiego stolicy — w domu ich panowała zamożność i stare obyczaje. Szczera rozpacz polskiego młodzieńca, który z narażeniem własnego życia zwrócił im zwłoki jedynaczki, zjednała mu na zawsze serca rodziców. Z tegoż powodu usposobieni byli przychylnie i dla innych Polaków.

To zebranie wieczorne, na którem Zabielski i Sawicki znaleźli się w niespełna sześć tygodni po wyjeździe z Warszawy, oszołomiło ich zrazu nieprawdopodobnym, fantastycznym niemal kontrastem wrażeń. Błyskawiczna szybkość, z jaką przemknęli, dążąc tu przez całą prawie szerokość Europy, sprawiła, że nie byli w stanie uświadomić sobie realnie olbrzymiej różnicy warunków,

w jakie zostali przeniesieni. Wszyscy tu byli uprzejmi. Roznoszono w złocistych, misternie cyzelowanych kubeczkach czekoladę przeplataną ciastkami, a przede wszystkim wielką ilość wybornego wina. Towarzystwo składało się przeważnie z kobiet starych i młodych, pięknych i dziwacznych, mężczyźni byli stanowczo w mniejszości i trzymali się z niejaką rezerwą. Nie byli to hidalgowie, ani grandowie wysokich rodów, lecz przeciętni miejscy obywatele, noszący przecież z godnością strój narodowy. Zdawano się oczekiwać na kogoś, a Zabielski, który potrafił już wcale nieźle rozmówić się samowtór w mowie hiszpańskiej, próbował napróżno uchwycić ułamki zbiorowych rozmów, prowadzonych zresztą bardzo wstrzemięźliwie, z istic hiszpańską godnością. Do uszu jego dobiegły tylko parę razy dwa wyrazy hiszpańskie: Buen retiro. Znaczenie ich nie było mu obce. Tak się nazywał jeden z letnich pałaców królewskich, otoczony przepyszny, wyczarowanym ogrodem, jeden z tych cudów pomysłowości ludzkiej, gdzie natura i sztuka składają się równorzędnie dla stworzenia wymarzonej całości. Zabielski zwiedził już ów pałac, jak wszystko, co było godnem widzenia w kastylskiej stolicy, począwszy od prastarych tumów aż do lochów inkwizycyi, gdzie z rozkazu Murata, wystawione były najsrozsze na-

rzędzia tortur, na dowód, z jak ciężkiej niedoli wyswobodził Hiszpanów oręż francuski.

— „Buen retiro“ usłyszał raz jeszcze młody oficer, a potem parę jeszcze wyrazów, wymówionych tuż za nim, miłym kobiecym głosem. Cóż to? czyżby generałowa Morand podążyła za nim do Hiszpanii i przedłużyć chciała rozmowę, urwaną w połowie po ukończeniu białego mazura? Nie, nie była to pani Morand. Niespodzianek takich los nie daje, ale za to bywają czasem tak dziwne podobieństwa. Głos, którego dźwiękiem się upoił, był ten sam, lub prawie taki, jak ów znany, tak dobrze Zabielskiemu z lat najwcześniejszej młodości. Głos dźwięczny, prawdziwie kobiecy, choć niezbyt wysoki, tak czuły i przekonujący, gdy o co prosił, tak nieświadomie zalotny, a skrycie namiętny.

Zabielski stał chwilę ze spuszczonemi powiekami i marzył, że jest jeszcze 17-letnim wyrostkiem i znajduje się w małym saloniku swej matki przy Krakowskim przedmieściu, że za chwilę puści się w taniec z małą Parysówną, małą jeszcze naprawdę, w zupełnie krótkiej sukience, a przecież dość już uroczą, by zawładnąć sercem dorastającego młodzieniaszka. Nie trwało to długo. Trzeba było wzrok podnieść i spojrzeć w oczy rzeczywistości. Rzeczywistość ta zresztą godna była zaiste, aby jej trochę uwagi poświęcić.



Młoda hiszpańska sennorita, krewna czy przyjaciółka pani domu, pomagała jej widocznie w robieniu honorów. Musiała przybyć niedawno, bo Zabielski nie zauważył jej dotąd, a poznałby ją przecież choćby pogłosie.

— Czemu nie pijesz, sennor? Kawalerze! — mówiła, widząc, że młodzieniec nie podnosi do ust podanego przez nią puharka, lecz trzyma go w ręku nie spuszczając z niej wzroku.

— A gdyby tam jad był na dnie? — rzucił zuchwale Zabielski, zamiast zdobyć się na jakiś zręczny i potoczysty frazes dziękczynny.

— Nie przyjąłże byś go z rąk moich, panie kawalerze? — zaśpiewała sennorita, mrużąc zalotnie oczy, prawdziwe oczy Hiszpanki, ciemne, palące, w oprawie leciutko ku dołowi wychylonej, co im nadawało wyraz bolesny.

— Nie, lecz że i jad moc by utracił od słodyczy twego głosu, pozwól piękna sennor, bym wypił toast na cześć twoją.

Spełnił puharek duszkiem, a sennorita dołała mu z wdziękiem złocistego napoju. Czerpała go z połączanego rostruchana, niesionego na srebrnej tacy przez towarzyszącą jej duennę.

— Na dowód, że nie podaję wam zaistej czary, patrz sennor kawalerze.

Rzekłszy to, sennorita umoczyła purpurowe usteczka w powtórnie dolanym kubku.

— Nie o takim jądzie myślałem — odstrzelił Zabielski — pijąc podane wino.

Wymówił się jednak od dalszych toastów, proponowanych mu z tą samą gościnną zalotnością.

— Czyżby nas tu chciano popoić i wyróżnić jak barany? — przemknęło mu przez głowę. Spojrzał uważniej na piękną sennoritę, którą śmiał podejrzewać o tak krwiożercze zamiary.

Przy ciemnych swych palących oczach, miała ona ciemno złote włosy, koloru spalonej pszenicy, zlewające się harmonijnie z jasnozłotym odcieniem cery, powleczonej brzoskwiniowym rumieńcem. Dumnie wygięte usteczka nie raczyły zmuszać się do uśmiechu. W oczach tylko leniwie zmrużonych migotały chwilami zalotne ogniki, ręka opuszczona na sukni bawiła się koronkowym wachlarzem, dwie przepyszne herbaciane róże, wpięte niedbale w koronkową bertę, okalającą wycięty stanik, dyszały omdlewającym aromatem i złościły się żółtą plamą na ciemnym grodenaplu kosztownej sukni.

— Pani musi nosić imię bardzo hiszpańskie — zagadnął Zabielski, któremu na jej widok majaczyły się niejasno zasłyszane imiona hiszpańskich królewien.

— Nazywam się Teresita — odparła sennora, ujmując z pietyzmem miniaturowy wizerunek, wykonany na emaliowanej blasze, który nosiła na szyi.

Rozmowa ich przerwana została przez nowego gościa, który znów wspomniał coś o zamku Buen retiro.

Był to wysmukły Hiszpan o twarzy surowej i w surowym, czarnym stroju, stojący od pewnego czasu na uboczu i przysłuchujący się rozmowie sennory z cudzoziemcem.

— Cóż oni u dyabła! przechwalają się tak dziś tem swoim Buen retiro? — szepnął do Zabielskiego po polsku jeden z młodych szwoleżerów. — Piękny pałac, niema co mówić, a przytem istna galeryja najcenniejszych dzieł sztuki, ale przecie nie jedyny tu i nie najwspanialszy, mają wszakże Eskurial i Prado, nie mówiąc już o pałacu królewskim, przy którym kwaterujemy i o czarownym Aranjuezie.

— Nie wiem — odparł Zabielski z roztargnieniem, bo śledził sennorę Teresitę, która, wykonawszy strategiczny odwrót, spoglądała przecież ku niemu z daleka.

A jednak i jemu także zdawało się chwilami, że wyrazy Buen retiro, mają tu w ustach obecnych jakieś ukryte znaczenie, że służą im za hasło porozumienia, za symboliczne godło, wzywające do akcji, której ostrze wy-

mierzone być musi przeciw cudzoziemcom. Tyle się nasłuchał o zjadłej nienawiści Hiszpanów, umiejacej się maskować w razie potrzeby pozorami rycerskiej uprzejmości, o truciźnie i sztyletach, którymi Murat ładować kazał podobno całe wozy odsyłane do Francyi. Wódz ten wydał był z początku rozporządzenie, by aresztowano każdego, przy którym znalazłaby się ta broń skrytobójcza, ale w praktyce rozkaz okazał się niewykonalnym, gdyż przyszłoby chyba dla spełnienia go wytracić ludność całą.

— Kto jest ten rycerz posępnej postawy? spytał jeszcze Zabielski młodego gwardzisty, ukazując na czarno ubranego hidalgę, który mu przerwał rozmowę z sennorą.

— Członek, jak mówią, junty narodowej, odparł tamten — mąż wysokiego rodu, jak to wskazuje jego ubiór, bo tu nikt z nieposiadających klejnotu szlacheckiego, nie poważyłby się wdziąć na siebie czarnego aksamitu. Pospółstwo nosi się czekoladowo, a cała gama innych kolorów pozostawiona jest łaskawie członkom stanu średniego.

— Słyszałem coś o tem, przypomina to naszych karmazynów i szaraczków.

— Tak, tylko że tu dystynkcyje te obserwowane są stokroć ściślej i drogie są nawet ludowi. Nie przyjęto tu wcale przychylnie głoszonej przez wojsko naszej równości,

otwarcie nawet więzień inkwizycyi poczytane nam było za pogwałcenie miejscowych ustaw.

— Tak! Ludzie ci nie zdają się troszczyć o prawa człowieka — zauważył Zabielski.

Mówiąc te słowa, odwrócił głowę, czując instynktowo zbliżanie się sennory. Szła ku niemu, mając już na ciemno złotych włosach czarną koronkę, opadającą jej zębem na gładkie czoło. Duenna towarzyszyła jej, niosąc na ręku ciemny i miękki płaszcz jedwabny, którym ją zamierzała otulić. Sennora więc opuszczała zebranie. Zabielski stał w postawie wyczekującej, gdyż zdało mu się, że chce do niego przemówić. Zatrzymała się przed nim istotnie.

— Czy nie uraziłoby was, sennor, gdybym zażądała od was kawalerskiej usługi.

Zabielski skłonił się nisko ruchem, wyrażającym zupełną gotowość.

— Powracamy pieszo do domu same kobiety, a w tych burzliwych czasach.

— Jestem na usługi wasze, sennoro, pozwólcie tylko wpierw. rzec słów parę przyjacielowi, z którym kwateruję.

— Przyjacielowi? macie tu więc sennor bliskiego przyjaciela?

— Kuryer, jak ja, przybyły wraz ze mną z Bajonny.

Rzecz ułożyła się całkiem naturalnie. Sennora zapragnęła poznać Sawickiego i zaciągnęła go również do swej eskorty.

W parę minut potem postępowali małą gromadką po ulicach pustych, gdzie kroki ich odbijały się głośnie echem. Rozmowa toczyła się dalej o pięknościach Madrytu, sławionych przez Zabielskiego ze szczerym zapalem. Sennora słuchała go wdzięcznie, przyrzekając mu ciceronować, gdyby zabawił dłużej. Nagle do uszu ich doszedł strzał, jeden, drugi, trzeci, cała salwa strzałów, zgrzechotem, jakby łuskanych orzechów. Młodzi ludzie przystanęli instynktowo. Sennora zachowała zupełny spokój, odbijający jaskrowo od przerażenia jej duenny, która wydała kilka przeraźliwych okrzyków, wzywających opieki Madonny.

— Idźmy dalej, panowie, strzały takie to powszednia muzyka dla mieszkańców Madrytu, to fraszka nie przerywająca już nawet snu dziecięcia — mówiła sennora.

Ale strzały powtórzyły się znów, a nawet zdawały się im wtórować krzyki ludzkie, w których Zabielski odróżnił coś pośredniego między francuskim *sacre bleu*, a polskim *psiakrew*.

— Ależ to idzie od strony, z którejśmy dopiero co przyśli, od domu państwa Corbo rzekł stanowczo Sawicki.



— Szczęśliwą więc miałam myśl, szukając waszej opieki — rzekła sennora. — Postąpili parę kroków dalej, a po chwili słyszeli jeszcze szybkie kroki kilkunastu ludzi, biegnących po bruku. Potem wszystko uciхло. Kroki oddaliły się w kierunku przeciwnym do tego, w którym podążali.

Zabielski zdał sobie sprawę, że w tym właśnie kierunku leżą polskie koszary przy ulicy Lieganitas. Spostrzeżenie to zachował dla siebie, nie ufał mimo wszystko uroczej sennorze.

Pożegnali ją obaj z Sawickim w przed-sionku pięknego domu, o zakroju pałacowym, gdzie czekała na nią służba ze światłem. Odwróciła się do nich raz jeszcze, żegnając ich ruchem ręki i majestatycznym skinieniem uroczej główki i znikła za ciężką, okutą bramą, która się za nią zatrzasnęła. Powracających do koszar minął w pędzie francuski konny patrol, biegnący galopem ku ulicy, do której sami zmierzali.

— Tam się jednak coś stało — zauważyli jednomyślnie.

Podchodząc do koszar, zastali dowódcę patrolu w ożywionej wymianie zdań z oficerem komenderującym nocną wartą. Jeden i drugi powoływali się na rozkazy generała Lepic, lubianego bardzo przez Polaków i zwa-

nego przez nich w skróceniu Pikiem. Wreszcie patrol oddalił się zaspokojony widocznie, a Zabielski i Sawicki mogli dostać się do wnętrza. Słyszac głosy, dochodzące z refektarza, służącego wojsku za jadalnię, zapukali do drzwi i wpuszczeni zostali po krótkim parlamentowaniu. Wszedłszy, zastali salę zmienioną w tymczasowe ambulatoryum. Chirurg pułkowy opatrywał na prędce kilku oficerów w rozpiętych mundurach lub zgoła bez mundurów.

Rany to były lekkie, przeważnie draśnięcia, ale Zabielski z Sawickim przekonali się ze zdziwieniem, że rannymi byli wyłącznie niedawni goście państwa Corbo, z którymi rozłączyli się przed godziną. Zapytali o szczegóły, których im udzielono, wzięwszy od nich wprawdzie słowo, że zachowają dyskrecję.

— Tak, to była zasadzka, ale nie zastała nas nieprzygotowanych. Niepokoiłiśmy się o was, ale wyszliście, jak widać, szczęśliwie.

— Ratunek wasz zawdzięczacie sennorze, najczarowniejszej z Hiszpanek, widzieliśmy z daleka wasze z nią porozumienie.

— Nie mieliście i wy waszych aniołów stróżów?

— Nie było w ich mocy ustrzedz nas całkowicie.

— Uczyniły to zatem częściowo?

— Nie były, jak się zdaje, same dostatecznie informowane. Jakbądź, sprawa zakończyła się szczęśliwie.

— Mieliście wszakże trudny do przebycia moment.

— Zastąpiono nam drogę w sieni u wyjścia, dając do wyboru dobrowolną dezercję z francuskich szeregów lub parol kawalerski, że broni nie wydobędziem do pewnego oznaczonego terminu. Żądania zgoła niemożliwe w naszym położeniu i niezgodne z dyscypliną. Odpowiedzieliśmy, że propozycja taka równa się zniewadze, żądając natychmiastowej satysfakcyi, której nam też zaraz udzielono.

— Zatem szereg pojedynków?

— Raczej jeden zbiorowy pojedynek z trzykroć przeważającym przeciwnikiem. Wyrąbaliśmy ich dostatecznie, chociaż i z tamtej strony walczone nie od parady.

— Strzelano za wami?

— Tak i parę kul naznaczyło nas, całkiem zresztą nieszkodliwie. Lecz pamiętajcie panowie, koledzy, jutro ani pary z ust o niczem, bo ściągnęlibyśmy nieszczęście na dom, w którym nas goszczono. Co do nas, wychodzimy o świcie, więc rzecz ujdzie nam na sucho, mimo, że przekroczyliśmy rozkaz, opuszczając wieczorem koszary.

Czuwano do świtu, a Zabielski doczekał się wymarszu kompanii, z którą odjechał jego przyjaciel. Tadeuszowi pilno było do kraju, chwycił się też pierwszej sposobności, pozwalającej mu zbliżyć się z względnem bezpieczeństwem do granicy Francyi. Zabielski przeciwnie, zadowolony był z tych kilku dni wywczasu, jakie dawał mu przymusowy pobyt w Madrycie i zamierzał je jak naj-szerzej wyzyskać.

Niedalekim już był dzień 20 lipca, wyznaczony przez Napoleona bratu na wjazd do Madrytu, a wątpić nie było można, że stanie się tak właśnie, jak chce cesarz. Wraz z wjazdem nowego króla do stolicy, droga do Burgos uprzątnięta być musiała z oddziałów powstańczych, to też Zabielski liczyć mógł prawie na pewne, iż wtedy uda mu się łatwo doścignąć przyjaciela, z którym zjechać się umówili w Iron, na samej granicy. W razie, gdyby się im to nie udało, wracać mieli do kraju każdy z osobna. Po odejściu kompanii, Zabielski usnął głęboko w jednej z opróżnionych cel. Gdy zbudził się, parno było jak w łaźni, pomimo sklepionych murów klasztornych.

Słońce przenikało do celi, przez łukowe okno bez szyb, przysłonięte tylko purpurową firanką. Obrazy wiszące na ścianach nabierały dziwnie gorących refleksów przy

tem czerwonym oświetleniu. Były to przeważnie kopie sporządzone podług oryginałów ulubionych mistrzów, lub też naśladowane z nich. Właściwych arcydzieł brakło w klasztorze, który był jednym ze świeższych budynków, a nawet nie wykończonym, a może też mnisi zdążyli je unieść, zanim jeszcze Francuzi zajęli gmach klasztorny. Uwagę Zabielskiego przykuło jedno z płócien, przedstawiające scenę piekielną, traktowaną z humorystycznym zacięciem, może dlatego, że przypomniało mu ono stare, zczerniałe malowidło, podobne z treści, które widywał w dzieciństwie na korytarzu klasztornym, uczęszczając do konwiktu Pijarów. Szereg dyablików w pociesznych susach i lansadach okręzał postać grzesznika, wtrąconego widocznie świeżo do piekielnej otchłani. Po prawej stronie płótna buchał szkarłatny ogień, uwieńczony kłębami czarnego dymu. Przed nim oczekiwał już na skazańca — tęgi muskularny dyabeł, uzbrojony w klasyczne widły. Grzesznik wszakże zdawał się niedoceniać niebezpieczeństwa i lekceważył zgola czekające go kary. Postawę miał butną, strój okazały, a wzrok jego wzniesiony ku górze, zdawał się dostrzegać tam coś jakby nadzieję ocalenia. Idąc w kierunku tego wzroku, dostrzegał i widział jasną, świetlaną chmurkę, rozjaśniającą ponure tło obrazu i biegnące

z niej wydłużone eteryczne promienie, gubiące się w czarnych, jak sadza płatach dymu, unoszących się nad ogniskiem. Obraz zatytułowany był „U progu piekieł“, a długi wierszowany napis łaciński, opowiadał jak dusza grzesznika, u progu już wiecznego potępienia, uratowaną została dzięki jednej myśli pobożnej, jednemu dobremu uczynkowi zapisanemu w niebiosach.

Przeniósłszy wzrok na inne płótno rozpoznał w niem z kolei Zabielski kuszenie świętego Antoniego. Były to wszystko kopie obrazów słynnego Hieronima Bosha, Holendra, który był nadwornym malarzem Filipa II., a oddawszy swój talent na usługi ponurego fanatyka królewskiego, zastosował się widocznie do jego gustów, dekorując mu ulubiony jego Escerail szeregiem potwornych lub śmiesznych scen piekielnych. Oficerowie polscy, którzy brali udział w zajęciu Escerialu po wywiezieniu Karola IV., opowiadali Zabielskiemu ciekawe sceny z powodu wrażenia, jakie te płótna wywierały na polskich i francuskich żołnierzach. Patrząc na nie, zanosili się od śmiechu, odczuwając wybornie humorystyczny ich pierwiastek, a jednak nie chcieli żadną miarą obozować nocą w ich pobliżu i utrzymywali z całą stanowczością, że cały ten piekielny zamek wykuty w skałach Guadaramy, po-



zostaje pod opieką duchów nieczystych, krążących dokoła niego i broniących wstępu cudzoziemcom. Wierzenia te znajdowały potwierdzenie w tajemniczych i okrutnych mordach, jakich ofiarą padali niekiedy odosobnieni żołnierze, a które przypisywano raczej wpływowi tych ciemnych duchów, niż żyjącym Hiszpanom. Zabielski rozsunął czerwone firanki i objął okiem widok rozległy, a jednocześnie zaciszny. Okna te wychodziły na ogrody, najpierw własne klasztorne, a dalej inne, należące do mieszkańców przedmieścia, na zielone szczyty drzew orzechowych, oliwnych i figowych, rosnących tu tak obficie, że aż musiano je trzebić. Wśród nich jabłonie, grusze, gdzieś tam karłowata palma. Biło od tego suchością, żarem i zupełnym brakiem świeżości. Drzewa stały nieruchome w skwarze południowym, poza nimi w dalekiej perspektywie widać było niskie dachy domów przedmiejskich.

Zaproszony na obiad, spożył go Zabielski wraz z innymi oficerami w refektarzu klasztornym. — Grono biesiadników nieliczne było i małowowne. Przenikał je nastrój niepewności i oczekiwania. — Co będzie? Czy ostateczne zwycięstwo i wjazd tryumfalny króla z rodu Bonapartych, czy niepowodzenie, odwrót i zmiana rozkazów. Zostawiono wogóle wojsku surowe bardzo rozpo-

rządzenia, polecając mieć się na baczności i w razie najmniejszych objawów wzburzenia, zamienić koszary w rodzaj obronnej twierdzy. Liczne patrole krążyły po ulicach, uważne na postawę mieszkańców, pod ich osłoną pozwalali sobie żołnierze na tak zwane promenades en ville\*), mające zawsze dla nich niepowszedni urok. Stali tu już blisko od pięciu miesięcy, każdy więc zdążył już być zawiązać jakieś własne znajomości, obrać sobie ulubioną tawerę. Zabielski wybrał się z gromadką takich spacerowiczów, lecz rychło pogubił ich po drodze. Oni spieszyli do znanych sobie ustroni, gdzie zdołali już zaskarbić sobie względy niejednej, bardziej tolerancyjnej criady (służącej), oczekującej na nich z kubkiem dobrego wina, przeplatane go smażonemi na oliwie grzankami, zwanemi sicutostes.

On nie miał tu nikogo, prócz chyba wczoraj poznanej sennory. Być może z myślą o niej chodził do paru otwartych kościołów. Kto wie, może ją tu spotka, musi być pobożną, jak prawdziwa Hiszpanka. Powoli zapomniał o sennorze, o okolicznościach, które go tu sprowadziły, o koszarach i konieczności powrotu do nich przed zachodem słońca, zagubionego w tajemniczym półcieniu miejscowej katedry. Objął go dziwnym urokiem

---

\*) Spacerory do miasta.

ten świat pełen grozy, fantazyi, wspaniałości, przepychu i wielkiej wewnętrznej siły, bijącej z każdego, zda się, szczegółu tego domu Bożego, na którego przyozdobienie składały się wszystkie warstwy narodu.

Z początku przyglądał się napisom, usiłował zapamiętać nazwiska mistrzów, chcąc zdobyć sobie jakiś dorobek turystyczny. Wkrótce jednak wyrzekł się tej bezpłodnej ambicyi, czuł, że nie pozostanie mu nic lepszego, jak poddać się ogólnemu wrażeniu i wchłonąć w siebie nawpółświadczenie odczucia uwięzionego w tym relegijnym przybytku, ducha narodu. Oparty o filar, przesuwiał wzrokiem po starych malowidłach, umieszczonych w wyniosłych ołtarzach. Te sceny z życia Chrystusa Pana, Matki Boskiej i świętych, malowane przez różnych mistrzów, nosiły przeważnie na sobie charakter groźny, ponury, lub tragicznie bolesny. Cierpienie było tu powracającym nieustannie tematem, traktowane w stylu patetycznym, lub mistyczno-zaświatowym.

Przyszło mu na myśl, że naród rozmiłowany do tego stopnia w motywie cierpienia, mógł wiele przenieść i na wiele się ważyć. Promienie słońca, mającego się już ku zachodowi, uwypuklały i obdarzyły życiem, nawet szaro-zielone o nieprawdopodobnie wy-

dłużonych członkach postacie, malowane przez El Greca.

Pograżonego w kontemplacji dotknęła nagle czyjaś ręka i głos jakiś zagadnął go po polsku.

— Szanowny panie poruczniku, proszę na chwilę, mam kilka słów — odwrócił się i ujrzał przy sobie małego, chuderlawego człowieka, odzianego od stóp do głów po hiszpańsku. Poznał w nim odrazu poczwięgo Szulca Kurlandczyka, niegdyś powstańca kościuszkowskiego, którego losy zawiodły aż do Madrytu, gdzie się już wybornie zaaklimatyzował. Był on prawą ręką polskiej intendury, służył rodakom za tłumacza, pomagał i pośredniczył.

— Ukłęknij pan, na miłość Boską — szepnął Zabielskiemu. — Okaż dewocję, bo się już ludzie kupią i gotowi wzięść was za francuskiego niedowiarka.

Zabielski zrozumiał w lot o co chodzi. Słyszał już wiele od kolegów, jak bardzo wrażliwi są Hiszpanie na zewnętrzne oznaki pobożności.

Zapatrzony w piękności świętych nie zauważył, że od chwili już wierni zebrani na wieczorne nabożeństwo powtarzali za księdzem słowa litanii i godziniek. Przeniosło go to tak bardzo w dalekie mazowieckie rów-

niny i dalekie dzieciństwo, że opadł bezwiednie na kolana i zakrył twarz rękami.

Słuchał z początku zmieszanego szmeru głosów, nie rozróżniając słów; zwolna i treść ich zaczęła wpadać do jego świadomości. Prośby te były namiętne, gorące suplikacye do Pana Zastępów, by raczył osłonić kraj i upokorzyć wroga, który jest zarazem nieprzyjacielem Jego Kościoła.

Nie przeczuwał wówczas Zabielski, słuchając tych modłów, jak dalece miały być wysłuchane. Musiała go przecież uderzyć sprzeczność ich z tymi, jakie odmawiano teraz w kraju jego, z nie mniej z pewnością gorącym przekonaniem. Modlitwa ta powtarzana we wszystkich kościołach polskich ze zgodą pasterzy, brzmiała, jak następuje. „Boże wielki! który utworzyłeś Napoleona z ducha męstwa, mądrości i dobroci przeznaczając go, aby jedną ręką gromił nieprzyjaciół naszego narodu, a drugą podniósł nas i prowadził do szczęśliwszej przyszłości, przyjm gorące modły nasze za pomazańcem Twoim, wielkim Napoleonem, cesarzem i królem. Przedłużaj mu dni życia, każde z nich nową znaczącą chwałą. Nie odmawiaj mu ani szczęścia domowego, ani pomyślności w przedsięwzięciach, nagródź mu hojną ręką Twoją, dobrodziejstwa Ojczyźnie naszej wyświadczone, pobłogosław ustawionemu przez niego rządo-

wi.“ Modlitwa ta, której dalszy ciąg obejmował podniosłe błagania o wewnętrzne odrodzenie narodu polskiego a zgładzenie pamięci dawnych jego win, była nie tylko odmawianą w kościołach, ale powtarzano ją też codziennie, w każdym prawie domu polskim. Zabielski wiedział, że po dniu wypełnionym trudem modlitwę tę odmawia co wieczór na głos matka jego, zgromadziwszy dookoła siebie domowników i dzieci, że krążyła ona w odpisach po całym kraju, że była szczerym wyrazem uczuć wdzięczności, radości i nadziei pokładanych w genialnym zdobywcy świata.

Zrobiło mu się naraz duszno w tym hiszpańskim kościele. Znikł cichy, kojący nastrój, trochę smętny, lecz spokojny i wznieśiony ponad codzienną przypadkowość życia. Zapragnął wyjść stąd, ale przedtem przypomniawszy sobie przestrogi Szulca, ukląkł, a pochyliwszy głowę, przeżegnał się zamazyście po polsku, gestem, który nie mógł pozostawić żadnych wątpliwości, co do szczerości pobożnych jego uczuć. Ciemno już było pod wysokiem sklepieniem Kościoła słabo oświetlonego kilku świecami, płonącymi na ołtarzach.

Mimo to oczy młodego oficera przywykłe do ciemności, rozróżniały dokładnie namiętne i ponure twarze, patrzące z nienawiścią na jego mundur cudzoziemca. — Patrzył po



drodze na klęczących rozmodlonych w bezmownej ekstazie; zmuszony był przestępować przez nieruchome rozkrzyżowane ciała, przypadłe twarzą do zimnych gładów kamiennej posadzki, w żałośnej skrusze i cichem błaganiu, widział, dochodząc do drzwi, obłożone konfesyonały. Rozumiał, że lud ten wypełniający świątynie i trwający na modlitwie, bez względu na spóźnioną godzinę, nie spełniał tu codziennych tylko aktów pobożności. Lud ten sposobił się do czegoś, gotował się do czynów trudnych, ofiarnych, nieodwołalnych a przed porwaniem się do nich powierzał się całej wyższej zaświatowej sile, oddawał losy swe w ręce wszechmocnej i wszechwiedzącej Opatrzności, z dziecięcą miłością i zaufaniem. — Przecisnąwszy się wreszcie przez rozmodlony tłum, wyszedł Zabielski po za portyk katedry i schodząc powoli po stopniach kamiennych, próbował uporządkować swoje wzruszenie. Nie myślał w tej chwili o tem, że przekroczył o wiele godzinę przepisaną na powrót do koszar, że znajduje się sam o niezbyt bezpiecznej godzinie na ulicach obcego miasta, gdzie, jak słyszał, obcy przechodzień, w takim jak on mundurze, mógł być łatwo niepewnym życia. Próbował pogodzić wewnętrzny sens tych dwóch modlitw, błagających o rzeczy wprost odmienne, próbował zagłuszyć w sobie po-

czucie sprzeczności, tak krzyczące, że aż prawie bolesne. — Powoli udało mu się przyjść do równowagi. — Zdołał sobie wyperswadować, że lud hiszpański, choć ożywiony szlachetnymi uczuciami, nie zdaje sobie jasno sprawy z położenia — utożsamiając patriotyzm swój z osobą niedołęznego króla i znikczemniałej dynastji. — Pojmie z pewnością z czasem, a i ludzie dobrej woli wytłómaczą mu, że wprowadzenie na tron nowego monarchy nie uszczupli w niczem jego praw, a nawet rozszerzy je i udoskonali. — Wszakże widział sam w Bajonnie grandów hiszpańskich i mężów stanu, o których uczciwości nikt nie wątpił, pogodzonych zupełnie z nowym porządkiem rzeczy. — Oni to właśnie otaczali nadjeżdżającego króla Józefa i stanowić mieli przyboczną jego radę. —

Skoro nastąpi raz ów zapowiedziany wjazd do Madrytu, a nastąpi to niezawodnie 20 lipca, skoro go Napoleon na ten dzień przewidział, ludzie tu, jak wszędzie, pogodzą się z siłą spełnionego faktu, a wtedy i położenie polskich pułków uprości się i zniknie wszystko, co w niem upatrzyć dziś można dwuznacznego. — Wystawił już sobie nawet w duchu ów wjazd króla Józefa do Madrytu. Będzie to piękna i malownicza uroczystość, po której powróci do Warszawy, nie mając tu właściwie nic do czynienia.

## ROZDZIAŁ IX.

## Nocna wyprawa.

Zajęty temi myślami, nie zwracał uwagi, że od pewnego czasu przebiegać zaczęły obok niego jakieś milczące postacie. Ulice były dotąd puste, tembardziej więc uderzyć go był powinien wszczynający się dokoła ruch. Ruch ten miał w sobie tę osobliwość, że odbywał się w zupełnem milczeniu. Ta właśnie cisza rozbudziła wreszcie czujność Zabielskiego, więcej może niżby to uczynił gwar. Przesunął się do murów, obok których właśnie przechodził, aby w razie niespodziewanego napadu mieć punkt oparcia. Ale nie o niego tu chodziło. Ludzie ci, biegnący w mroku nocnym, w tajemniczem milczeniu, mieli widocznie inny cel, do którego dążyli. Najrozsądniej było zejść im z drogi nieznacznie, nie zdradzając obawy. Z ręką więc na głównej pistoletu podążył Zabielski, ukosem, w stronę, gdzie już z daleka czerniły się mury klasztornych koszar. Przeszedł tak szczęśliwie aż do zakrętu ulicy, pozostawiając za sobą linię ruchu, gdy wtem usłyszał tuż nad uchem słowa wyrzeczone w stłumionym szepcie:

— Pst, przyjacielu! aresztujemy cię.

— Zgoda! — odparł z rezygnacją, poznając znanego sobie dowódcę francuskiego patrolu.

— Farsa kolego! Nie o to chodzi, mieliśmy cię zdaleka na oku, gdyś szedł samotny. Bylibyśmy ci też skoczyli na pomoc w razie, gdyby cię napadnięto.

Zabielski odczuł szczerą wdzięczność dla francuskiego kaprała za tę utajoną opiekę. Zrozumiał w tej chwili braterstwo broni z obcymi nawet, o ile skupieni są pod wspólnym sztandarem.

— Jakbądź, gotów jestem, kolego, powrócić do domu pod waszą eskortą.

— O nie mój poruczniku! Piękny by mi to był kawał, przystawić swojego. Mamy tu coś lepszego do roboty i gdybyś chciał poruczniku pójść z nami na wywiad, w ślad za tymi czarnymi dyablami.

Trudno było odmówić. A więc rad nie rad wystąpić musiał czynnie.

— Zgoda! — odparł bez wahania. — Sądzę, że się obejdzie bez rozlewu krwi.

— Idziemy przecież na wywiad. Nie damy znać o sobie, chybaby nas odkryto. Mamy rozkaz zresztą postępować słodko, jak baranki, z tymi „cacajos“ choćby nam sztyłem grozili.

— Taki rozkaz?

— Oczywiście, cesarz zmył dobrze głowę naszemu paliwodzie za łaźnię, jaką im sprawił.

Była to aluzya do odezwy wydanej przez Napoleona, w której potępiał surowo represye dokonane przez Murata i nawoływał do powszechnej zgody.

— Chodźmy już — naglił kapral — bo nam znikną z oczu.

Korowód milczących cieni, przesuwający się o jakie pięćdziesiąt kroków od nich w dolnej uliczce, rzedł stopniowo i snuły się już za nim samotne tylko spóźnione postacie.

— A możebyście poruczniku stanęli na czele? Dałem znać naszemu oficerowi przez jednego z naszych, ale gotów się spóźnić i stracimy trop.

Zabielski był tu istotnie najstarszy rangą, ale stawać na czele? on, który nie znał dotąd wojny, chyba z ćwiczeń.

— Allons! nie będzie to formalnie, ale na wojnie, jak na wojnie — mruczał kapral — idźmy mój poruczniku.

— Nie znacie mnie przecie, mogę wam popsuć szyki — bronił się Zabielski więcej dla formy, bo w duszy był już zdecydowany.

— Służyłem przecie z waszymi i wiem, co wart jest polski oficer — rzekł kapral

stanowczym głosem, jakim wygłasza się powszechnie wiadome prawdy. — Znacie mój poruczniku komendę francuską?

Znał ją oczywiście. Uczono jej wówczas w wojsku polskiem zarówno z własną. Zabielski był zresztą rad w gruncie. Ten nocny rekonesans, prowadzony na własną rękę, była to gratka nielada dla poczynającego oficera. Od tej chwili odpadły go wszelkie wątpliwości i był już tylko żołnierzem. Podzieliwszy swój oddział na dwa drobniejsze, posuwał się w pewnej odległości za spiskowcami, spieszącymi widocznie na umówioną schadzkę. Ludzi miał wybornych, z którymi porozumieć się mógł prawie bez słów. Rozsypani prawie na pojedynek, przyklejeni do murów, zanurzeni w cieniach rzucanych przez grupy drzew ogrodowych lub szczyty gmachów, postępowali tak cicho, że nieświadomy rzeczy przechodzeń nie dostrzegłby ich z pewnością, ani usłyszał przechodząc wśród nich. Dotarli w ten sposób do południowej bramy, tak zwanej Kadykskiej, gdzie przepuszczeni zostali przez własne czaty. To zrobiło ich panami sytuacji, bo spiskowcy, postępujący w tymże kierunku, przekradać się musieli przez ogrody i domy prywatne. Przyszła chwila, że stracili ich całkiem z oczu, wsiąkli nagle w krańcowe ogrody, jakby ich wcale nie było. Był to dowód, że stanęli już



na punkcie zbornym. Wątpliwość trwała niedługo. Znajdował się tu mały, na wpół wiejski kościółek, raczej kapliczka, stojąca wśród opuszczonego cmentarza. Miejsce to było ogrodzone i mało uczęszczane, w nocy zupełnie puste. Stamtąd dochodzić zaczęły stłumione głosy. Dostęp nie był łatwy, ale spełniono niemożliwość.

Pochwycono pierwsze z brzegu czaty, kneblując im usta i w chwilę potem Zabielski w towarzystwie przydzielonego mu przez kaprała żołnierza francuskiego, znalazł się w szarym hiszpańskim płaszczu i kapełuszu z czerwoną kokardą pod bramami cmentarza. Przebranie to hiszpańskiego studenta stosowało się dobrze do jego młodej twarzy i wpuszczono go bez trudności. — Przecisnął się do miejsca, gdzie jakiś mówca przemawiał ze wzniesienia do otaczających go tłumów, które się coraz bardziej zwiększały. — Zrazu były to zwykłe narzekania na najazd francuski, podawanie we wzgardę imienia króla Józefa i wzywanie do wierności dla wypędzonego. A potem wołać zaczęto ze wszzech stron:

— Miejsca! miejsca dla pośła z Saragossy. — wysłańca szlachetnego Palafoxa.

Tu Zabielski natężył słuch. Wiedział o trwającym już od dwóch tygodni oblężeniu,

w którem brało udział tyle pułków polskich, Ale ku głębokiemu jego zdumieniu poseł od szlchetnego Palafoxa okazał się kobietą. Wprowadzono ją z wielkimi honorami, na miejsce wzniesione, z którego opowiadać zaczęła przejmujące obrazy z oblężenia, sławiąc pod niebiosy nieustraszone męstwo obrońców Saragossy, nad którymi czuwa Najświętsza Madonna del Pilar. Zabielski patrzył z ciekawością na tę patryotkę hiszpańską. Była to kobieta z ludu, wcale nie piękna — o twarzy wyrazistej i ruchach żołnierza. Opowiedziała, że właśnie ją wybrał wódz naczelny na posła, bo przecie wstyd byłoby żołnierzowi hiszpańskiemu opuścić w takiej chwili zagrożone stanowiska. Po niej wystąpił jakiś człowiek, który odczytywał na głos pismo Palafoxa, przyniesione przez markietankę. Wódz Saragossy polecał w gorących słowach mieszkańcom Madrytu, by nie wpuszczali do swych murów samozwańczego króla, który jest zresztą lalką koronowaną i nie potrafi nawet wydobyć oręża. Nie dojdzie on do bram stolicy, upewniał mówca. Czekają go już szlachetni wodzowie nasi, Don Joaquim Blaco i Don Gregorio de la Cuesta. Oni to zabiegną mu drogę na czele wyborowych sił powstańczych i potrafią położyć koniec jego uroszczeniom.

— Nie tylko z nim trzeba zrobić porządek — zawołał młody, namiętny głos — samozwańczemu królowi towarzyszy gromada wiarołamnych grandów i zdrajców ministrów, tym przedewszystkiem należy wymierzyć sprawiedliwość.

Sprawiedliwość taką, jakiej doznał komendant Monte Torrero za swe nikczemne tchórzostwo.

Tu w urywanych z uniesienia słowach oznajmił mówca obecnym, jak dowódca owego szanca, usypanego na wzgórzu pod Saragossą, został w jednym dniu oddany pod sąd, skazany i rozstrzelany z rozkazu Palafoxa.

— Dozwolił pierzchnąć swym żołnierzom i przed kim? Przed hordą barbarzyńców uzbrojonych w jakieś piekielne drągi.

Usłyszał Zabielski przekręcone nazwisko, w którym domyślił się Chłopickiego, i uśmiechnął się pod wąsem, a w gruncie obraził się za obelżywe przymiotniki, wypowiedziane pod adresem ułańskiej lancy, tej królowej białej broni.

— Cóż znowu! powinni zrozumieć ci Hiszpanie, że skoro żołnierz raz w pole wychodzi, musi się bić, jak umie najlepiej. Ich rzeczą już nie pierzchać przed słabszym liczebnie przeciwnikiem. Łatwo im teraz nazywać piekielnikami mężnych ułanów 7-go pułku. Gdyby wiedzieli, jak ciężko im przy-

chodzi pełnić tę piekielną służbę i jak nie idzie im wcale o podbicie Hiszpanii.

Oślabł w tej chwili sympatyczny węzeł, łączący go dotąd z powstańcami, ale już nowe sceny i przemówienia pochłonęły jego uwagę.

Dotąd występowali przeważnie mówcy ludowi, lub mieszczańskiego stanu, młodzi ludzie, o twarzach rozognionych, gestykulujący żywo, wyrzucający z siebie potoki gwałtownych i beładnie splecionych zdań. Teraz wystąpił przedstawiciel dumnych hi-dalgów, jak to wskazywał ubiór jego i arystokratyczne ruchy. Był to młody, wysmukły brunet o wybitnych choć wysubtelnionych rysach i wąskim czole fanatyka. Przemawiał na pozór zimno, ale czuć było w każdym wypowiedzanym przez niego zdaniu, niezłomny upór i wiarę głęboką w wygłaszane przekonania.

Głos jego wydał się nie obcym Zabielskiemu, a po chwili był prawie pewnym, że widział go już wczoraj w domu państwa Corbo. To nasunęło mu przypuszczenie, że i sennora Teresita, znajdować się musi wśród zebranych. Zaglądnął już był pod niejedną koronkową chusteczkę, upiętą na jasnych lub kruczonych włosach, ale nie błysnęły mu z pod żadnej z nich słodkie, nieporównane

oczy sennory. Zato, gdy okrążywszy cmentarz, znalazł się za plecami mówcy, uderzyło go dziwne, zdumiewające prawie podobieństwo. Spojrzał raz i drugi, nie wierząc własnym oczom i jakkolwiek było to nieprawdopodobne, poznał młodą Francuskę, przyjaciółkę generała Lepelletier, od której odkupił był w Warszawie wykradzione papiery. Fanny Legrange zaprzyjaźniła się z nim później nie na żarty, w czasie ostatnich dni pobytu jego w Warszawie. Ale żeby się miała znaleźć nagle w Madrycie? A jednak fakt był faktem i należało się z nim liczyć. Ona mogła go poznać w każdej chwili, nawet w przebraniu hiszpańskiego studenta. Właściwie dalszy pobyt wśród zebranych wydał mu się zbytecznym. Nie myślał odgrywać roli szpiega, a zresztą to, co słyszał nie miało tak dalece konspiracyjnego charakteru. Nikomu nie było tajem, że ludność Madrytu nienawidzi Francuzów i nie żywi żadnych przyjaznych uczuć dla nadciągającego króla. Wołano jednomyślnie o stworzenie ze stolicy Hiszpanii drugiej Saragossy, o zmienienie w niezdobytą warownię każdego domu, każdego gmachu publicznego. Rzecz wątpliwa, czy uda się to mieszkańcom, załoga francuska jest liczna i czujna i ma w ręku wszystkie gmachy rządowe i królewskie pałace.

Kończyła się już krótka noc lipcowa. W powietrzu panował chłód, poprzedzający mającą zapłonąć wkrótce łunę poranku.

Zabielski oglądał się pokryjomu za jaką odpływającą gromadką, z którą mógłby się zmieszać nieznacznie.

Towarzysz jego, Baskijczyk z dolnych Pirenei, zlewał się wybornie z miejscowym tłumem. Operował wprawdzie kilku tylko wyrazami hiszpańskimi, ale wygłaszał je, a raczej wykrzykiwał z tak mistrzowskiem zacięciem, że mógł zostać do rana, przez nikogo nie poznany.

Zabielski przeciwnie nie czuł się tak dalece panem sytuacji. Spadło też wnet na niego oczekiwane niebezpieczeństwo.

— Cóż to sennor estudiante — zagadnął go stojący obok niego tęgi, barczysty chłop. — Nie w smak wam poszły słowa dzielnego don Ramona.

Zabielski poznał swój błąd. Przy ostatnich słowach don Ramona Gayn, owego patriotycznego Hidalga, który przemawiał przed chwilą, wszyscy mężczyźni wyrzucili w górę kapelusze, a kobiety wyciągały ku niemu ręce, wzywając na jego głowę błogosławieństwa Madonny.

Zabielski przez nieuwagę, a raczej przez zbytek uwagi zaniedbał uczynić tego, co drudzy i pozostał z głową nakrytą. Wsłu-



chiwał się bowiem pilnie w słowa don Ramona, gdzie znów jak motyw drażniący, powracały tajemnicze wyrazy „Buen retiro“. Słowa te zawierać się zdawały groźną zapowiedź zemsty, czy zamachu, jakiego padnie ofiarą król Józef w murach tego zamku, w razie gdyby udało mu się wkroczyć do stolicy. Zabielski poznał swój błąd i naprawił go, jak umiał najlepiej.

— Podziwiam don Ramona, lecz nie zgadzam się na podejście, zwyciężymy ich w otwartem polu — rzucił na chybił trafił.

— Ho! ho! mędre! paniczek, chce ci się uczyć don Ramona, który jest lepszym od ciebie szlachcicem.

— Nie w smak mu podejście? A oni czy nie podejściem weszli do naszego kraju, zabrali nam króla, królowę, nawet małych infantów.

— Wydarli sprawiedliwości ludu tego psa Godoya.

Tu posypały się tysiączne przekleństwa na głowę faworyta królewskiego, wydartego rzeczywiście z rąk ludu przez żołnierzy Murata.

Koło Zabielskiego gromadziło się coraz więcej ludzi z wołaniem:

— Mędre, paniczek, affrancesado.

Nagle nadeszła mu pomoc niespodziana.

— Dajcie mu pokój, to mój chłopiec — zawołał przenikliwy głos kobiecy, a w tejże chwili Zabielski uczuł ciepłe dotknięcie miękiej dłoni. Fanny Legrange wsunęła mu rękę pod ramię, a drugą gładziła go po twarzy, uśmiechając się do niego i szepcząc mu ciche wyrazy, dla niego tylko przeznaczone.

— A ty kto jesteś? — mówili niektórzy z niedowierzaniem, obstępując oboje.

— Ja? — zawołała rezolutnie. Fanny, puszczając na chwilę Zabielskiego i biorąc się pod boki — ja przyszedłam z Saragossy razem z Monitą markietanką, widziałam samego Palafoxa, jak tu was widzę.

— Tak, tak — potwierdziło wiele głosów. — Ona tu przyszła z markietanką.

— Mądra dziewczucha — dodał ktoś inny — bywała z tamtej strony Pirenei. Francuzi wierzą jej, zносиła też wiadomości do Saragossy z obozu wrogów.

— Pismo przyniosła do don Ramona.

— A skoro tak, czemu nie nauczy swego chłopca, aby nosa nie zadzierał.

— Nie gorszy on od don Ramona, ale też nie odmówi i don Ramonowi należnego wiwatu — perorowała za niego Fanny, a jednocześnie zdjęła mu z głowy jego kapełusz z czerwoną kokardką i podrzuciła go do góry, wołając:

— Niech żyje don Ramon Gayan, szlachetny pan z Panizy, co nie chciał być Judaszem i stanął po stronie ludu!

Ale Zabielski zaciął się nagle i nie byłby za żadną cenę wydał okrzyku na cześć hidalga.

Ten postępował właśnie ku niemu, nasuwawszy na oczy swój kapelusz z piórem, i mógł go łaďa chwila poznać i zdemaskować. Ale nie to trwożyło w tej chwili polskiego oficera. Tuż za hidalgą, wsparta prawie ramieniem o jego ramię, postępowała sennora Teresita, a oczy jej słodkie, bolesne, nieporównane oczy, przesuwały się po twarzy Zabielskiego, jak po martwym przedmiocie. Oczy te mówiły mu wyraźnie:

— Jesteś tak nieskończenie mały, niski, przewrotny, że nie raczę ani na chwilę zniżć się ku tobie. Możesz odejść spokojnie. Usta moje, dumne królewskie usta hiszpańskiej sennority, nie wypowiedzą słowa, które wydałoby cię bezwłocznie słusznej zemście ludu. Ostatni woziwoda madrycki za wiele ma w sobie godności i rycerskiego pokroju, by miał skalać się rozlaniem krwi twojej i nie godziń jesteś śmierci z ręki nawet bandyty i kata mego narodu.

To i wiele nicestwiających go głębiej jeszcze rzeczy mówiły mu te oczy, które szły prosto na niego i mijały go właśnie

w chwili, gdy Fanny Legrange wkładała mu na głowę kapelusz, poprawiając mu poprzecznie włosy nad czołem i wsuwając mu rękę pod ramię. To, co potem zaszło, przedstawiało mu się później w pamięci, jak dzika, potworna halucynacja. Było to namiętne pulsowanie skroni, rozpalonych szaleństwem, przenikliwy świst stali, migającej mu przed oczyma w błyskawicznych zygzakach, łoskot skłębionych ciał i ostra, przenikająca woń świeżo rozlanej krwi. Potem nastąpiło rozkoszne omdlenie, zapadanie bezmowne w jakąś purpurową głębię, cudownie kojącą bezodpowiedzialność, a potem pustka, głusza i noc. A jednak przed ostatecznem utraceniem świadomości, widział, zdawało mu się, wpatrzone w siebie przerażone, zbolące oczy, czuł dotknięcie małej dłoni, przesuwanej po jego twarzy.

Gdy zbudził się, znajdował się w swej celi, gdzie przez łukowe okno wpadały promienie słońca, sącząc się przez purpurową firankę.

Na ścianach wisiały znane mu obrazy. Śniła mu się jakaś bitwa, pomyślał, usiłując podnieść się, ale wtedy Fanny Legrange, która siedziała przy jego łóżku, wpuściła mu do ust kilka kropel wina. Obecność jej tu rzuciła pewne światło w jego zmaczone wspomnienia.

— Kto mię tu przeniósł? — zapytał słabym głosem — a potem powodowany szczególną logiką wrażeń dodał już głośniej.

— Co myślą o mnie Hiszpanie?

Pytanie to zaskoczyło Fanny nieprzygotowaną. Obruszyła się trochę i wzruszyła ramionami.

— Co mają myśleć? — biłeś się jak bohater, wasz oddział, garstka 50 ludzi, powstrzymał 2000 przeszło wzburzonego tłumu i powrócił do miasta, unosząc swego oficera.

— Aha! czekaj przypomnę sobie.

— Nie, nie morduj się, opowiem ci wszystko sama. I zaczęła opowiadać swoim barwnym, niewybrednym stylem. Opowiadanie to pozwoliło Zabielskiemu przeżyć na nowo dzieje nocnego rekonesansu, przeżyć je żywiej i jaśniej, niż się to działo na jawie.

Przypomniał sobie zwolna poszczególne momenty. Widział siebie, ciskającego o ziemię kapelusz z płomienną kokardą i szary płaszcz studencki, pamiętał, że krzyknął, iż nie myśli uciekać i drogo sprzeda swoje życie. Później nastąpiło coś, jakby formalna bitwa. Jakim cudem? chyba swoi skoczyli mu na pomoc, bo wypowiadał o ile mu się zdawało, słowa komendy.

— Skrzyżowałem szpadę z don Ramonem? — zwrócił się pytająco do Fanny.

— A właśnie! i on to tak cię nazaczył, ale i sam cało nie wyszedł. Niema o czem mówić, wszystko się dobrze skończyło.

Zabielski umilkł, bo czuł się jeszcze słabym i mówienie sprawiało mu trudność. Zato Fanny, mimo że nie zadawał jej dalszych pytań, a może właśnie dlatego, rozgadała się na dobre.

— Wyglądałeś jak archanioł Michał, lecąc tak z odkrytą głową z twoją błyszczącą szablą. Sam jeden przeciw wszystkim. A gdy twoi wyskoczyli z za wału, don Ramon zwołał do siebie co lepszych a reszcie zabronił mieszać się do bitwy — dla honoru, że was było o tyle mniej. Ale i tak zostało ich pięć razy tyle przynajmniej co was. Ja krzyczałam bez przerwy, stojąc obok tej dumnej sennory, co jest krewną, czy kochanką don Ramona, a potem chwyciłam ją za rękaw, wołając: Santa Maria! oni go zabijają. Ta wyrwała mi się udając, że ją to wcale nie obchodzi — a przecież widziałam doskonale, że nie spuszczała z ciebie tych swoich dziwnych oczu, co patrzą na ludzi tak, jakby chciały płakać, a gdy don Ramon ciął cię przez głowę, aż krew zalała ci oczy, szepnęła „Santo Miguelo“ i zbladła jak ściana.

Zabielski, który słuchał dotąd z natężeniem, odczuł nagle wrażenie człowieka, którego spotkała rzecz zaledwie oczekiwana,



a jedynie ważna, zwalniając go od dalszej pracy myśli. Osłabiony wpływem krwi, leżał zgadzając się na wszystko i nie dziwiąc się niczemu. Nie czuł wcale potrzeby zgłębiania tajemniczych dróg, jakimi chodziła Fanny Legrange, a które pozwoliły jej ukazać się na zebraniu jako wysłanej z Saragossy, a potem pielęgnować go w koszarach przy ulicy Lieganitas. Przyjmował z jej rąk lekarstwa, słyszał przytłumiony szmer rozmowy jej z doktorem i zapadł znów w niepamięć, która nie była snem.

Takiem było jego pierwsze przebudzenie się nazajutrz po wyprawie. Następných dni był już znacznie silniejszy, a gdy po upływie tygodnia przyszedł całkiem do siebie, kosza-ry napełniły się już ruchem i życiem, jakie przyniosły z sobą powracające zwycięskie pułki. Tryumf ich był zupełny. Pobici zostali na głowę powstańcy Don Gregoria de la Cuesta, żołnierze Don Ioaquima Blaka, pobici przez o połowę mniej liczne wojska — a w pogromie tym, odznaczyła się świetnie jazda, której połowę stanowiły polskie szwadrony. Wracały szwadrony te upojone pierwszym tem wystąpieniem, które było też pierwszym tryumfem. Wszak jeden z nich pod wodzą Radziwińskiego, rozbił w puch cały pułk najlepszego regularnego wojska kirasyerów królowej. Kilku padło pod mu-

rami Rio-Secco, ale były to straty nieznaczne w stosunku do powodzenia.

Rannych przywieziono do Madrytu. Jednemu z nich ustąpił Zabielski swego łóżka i celi o łukowem oknie.

Widok odniesionych przez niego okaleczeń, zdziwił trochę powracających kolegów, którzy wiedzieli, że miał zamiar ograniczyć się do roli biernego widza.

— Biłem się — objaśnił krótko, a nikt nie wątpił, że bił się odważnie.

Nie zajmowano się zresztą zbytecznie jego przygodą, która zmaleć musiała zupełnie, wobec świetnej rozprawy pod Medina de Rio-Secco. Doszły prócz tego teraz dopiero zdumiewające echa, szalonych, urągających najśmielszym rachunkom prawdopodobieństwa, tryumfów Chłopickiego. Zdobycie Epili, bronionej przez dziewięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela, w miejscu warownem i niedostępnem, wyglądało na bajkę, mogącą wywołać uśmiech niedowierzania na usta najłatwowierniejszych optymistów. A przecież była to rzeczywistość. Cudu tego dokonał oddział tysiąca ludzi, wydzielonych skąpo pułkownikowi polskiemu przez generała Lefebre, a w oddziale tym było 600 Polaków na 400 Francuzów. Zwycięstwo przeważyli

ostatecznie ułani Kickiego, mały oddziałek z 50 ludzi, dodanych Chłopickiemu. Teraz dopiero zrozumiał Zabielski nienawiść do polskiej lancy i przesadną prawie trwogę, z jaką mówiono o tych los infernos. Z chwilą przyjscia jego do zdrowia, pożegnała go, doglądająca go dotąd litościwie Fanny Legrange. Gdy dziękował jej za to, co dla niego uczyniła, odpowiedziała lekceważąco, że nie ma o czem mówić. Robiła i robi zawsze to tylko, co jej samej dogadza, a zresztą i ona ma przecie wobec niego dług wdzięczności, ze względu na obejście się z nią tam w Warszawie. Na pożegnanie wydobyla z za gorsu sporą kopertę, którą wręczyła Zabielskiemu z figlarnym dygiem, oczekując z tysiącem przelatujących przez różowe jej usteczka uśmieszków, wybuchów jego zdumienia. Zdziwił się też niepomalu. Fanny przywoziła mu listy od matki i siostry z dopiskami przyjaciół i znajomych, przywoziła mu wiadomości o bracie, który mieszkał za austryackim kordonem, wraz z młodą żoną i dwojgiem małych dzieci — słowem, całą pakę listów, których dostawa nie należała wówczas do najłatwiejszych zadań.

Nacieszywszy się jego zdziwieniem, Fanny stała jeszcze w progu, poprawiając coś u wstążek kapelusza i rzekła niespodzianie, badając

wrażenie słów swoich z pod figlarnie zmrużonych rzęs.

— Byłam tam u was, na Krakowskiem Przedmieściu, nad cukiernią. Ładne, malutkie mieszkanko, z białymi firankami i kwiatami w oknach.

Zabielski spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Tak, tak, byłam tam, bo chciałam zobaczyć twoją rodzinę. Uprosiłam markietankę Krowczyńską, z którą przyjechałam do Hiszpanii, żeby mnie tam posłała po listy. Oddała mi je twoja matka, zalecając mi, żebym ich nie zgubiła. Okłamałam ją naturalnie, mówiąc, że jestem biedną francuską dziewczyną, służącą w polskim domu, z którą ożenił się żołnierz z armii Murata, w czasie pobytu wojska w Warszawie, że męża mego przenieśli wraz z pułkiem do Hiszpanii, więc jadę do niego i będę przy wojsku, ażebym go mogła doglądać, w razie gdyby był ranny. Uwierzyła naturalnie i bardzo mnie żałowała.

Fanny wyrzuciła z siebie jednym tchem wszystkie te wiadomości, rada, że może wreszcie pochwalić się długo ukrywaną tajemnicą.

— Widziałam twoją siostrę — dodała jeszcze. Jest prawie tak piękną jak ty i chociaż tam u was biednie, wyglądacie oboje

na pańskie dzieci i moglibyście mieszkać w pałacach.

Z temi słowami wybiegła, rzucając mu do ust ostatni pocałunek. Zabielski nie wiedział sam, czy ma się na nią gniewać, czy okazać jej wdzięczność. Ostatecznie wybrał to ostatnie, bo i jakże tu urażać się na kogoś, co daje z siebie wszystko, niczego w zamian nie żądając. Wprawdzie scena na cmentarzu mogła postawić w fałszywym świetle wobec sennory stosunek jego do Fanny, ale cóż mu ostatecznie sennora? Owszem niech wie, że są na świecie dziewczęta, które potrafią kochać bezinteresownie, że on może być tak kochany, a zresztą... wolał nie myśleć o tem wszystkiem. Z domu zaklinano go na wszystkie świętości, żeby powracał jak najprędzej, żeby nie mieszał się do żadnych wojennych starć, skoro może tego uniknąć.

Już i tak przychodzą do Warszawy niepokojące niestwierdzone dotąd pogłoski o strasznych i zaciętych walkach, rozpoczętych w Hiszpanii. Już i tak kilka domów żyje w śmiertelnej trwodze, nie chcąc uwierzyć w żałobne ciosy, jakie ich spotkały, sądząc z niedokładnych biuletynów, które dostały się tu z francuskich gazet. Dopiski kolegów zawierały przeważnie żarty i przyja-

cielskie przestrogi, z powodu przedłużonego pobytu jego w Madrycie. Zalecały mu wytrzymałość wobec zabójczych ponęt hiszpańskich czarodziejek. Roman Sawicki wiedział coś widocznie o eskapadzie Fanny, bo zapytywał go, czy jest rad z wyboru kuryera, który mu pocztę doręczy. Odczytawszy list, postanowił Zabielski zastosować się do próśb matki. Nic nie usprawiedliwiałoby dłuższego jego tu pobytu, który mógł go nawet źle postawić w opinii zwierzchnich władz. Urlop jego dawno już upłynął, a od chwili wjazdu do Madrytu króla Józefa, droga do Burgos i dalej jeszcze uprzętnięta była od wszelkich przeszkód. A przecież żał mu było rzucać ten kraj, gdzie przelał po raz pierwszy krew i wytrzymał zwycięsko ogniową próbę niebezpieczeństwa, żał mu było nawet pocciwych żołnierzy francuskiego patrolu, na którego czele odbył ową nocną wycieczkę. Żołnierze ci, mieli go teraz za swego, nazywając go swoim porucznikiem i dali mu tyśiączne dowody troskliwości w czasie tygodniowej jego choroby. Kaprał opowiadał codziennie przy kieliszku dzieje nocnego rekonesansu, przedstawiając go coraz to w innym świetle i ubarwiając coraz to nowymi epizodami, w których nie zapominając o sobie, wyznaczał zawsze chlubną rolę polskiemu oficerowi. Była to jego małeńka sława,



ustalona w pewnem maleńkiem kółku, ale niemniej uznana i stwierdzona.

Zrozumiał też wtedy Zabielski, jak silny węzeł stanowi tak zwane braterstwo broni, łączące z ludźmi, z którymi dzielić nas może skądinąd cała przepaść odmiennych przeżyć i pojęć. Mógłże zapomnieć kiedy tych francuskich żołnierzy, którzy unieśli go rannego na płaszcach, nie dając mu zginać w obcej ziemi? Cóż stąd, że byli to ludzie, którzy poza służbą umieli właściwie tylko kłać i pić, polubił ich i uśmiechał się do nich przy każdym spotkaniu w poczuciu, że ma w nich oddanych przyjaciół. Pozatem żał mu było może tych samotnych wycieczek po Madrycie, tego nurzania się w egzotycznej i nowej dla siebie atmosferze, żał wreszcie drażniącej a nierozwiązanej zagadki, jaką była dla niego sennora. Należało się przecież otrząsnąć z tych niezdrowych wpływów, sprowadzających go z jasnej i prostej drogi obowiązku, jaką był powrót do Warszawy. Iluż tu kolegów, bawiących tu z przymusu, zamieniło by się z nim chętnie. Dawali mu też wszyscy tysiące poleceń do kraju.

---

## ROZDZIAŁ X.

**Buen retiro.**

Wjazd do Madrytu króla Józefa, który Zabielski postawił sobie był jako kres ostateczny swego pobytu, odbył się już od paru dni z możliwą świetnością. Grandowie i kortezowie, którzy opowiedzieli się po stronie nowego monarchy w Bajonnie, nie zostali wcale rozstrzelani, jak tego sobie życzyły żywioły powstańcze, lecz wjechali wraz z królem do stolicy i nadawali jej obecnie ton.

Przed wjazdem udekorowano pośpiesznie miasto, ale ci, którzy podobnie jak Zabielski mieli sposobność przypatrywać się przygotowaniom, widzieli, że odbywają się one opieszale i niechętnie. Zamykano sklepy pod pozorem świętowania z powodu wjazdu. Kościoły były prawie puste. W gruncie ludność obawiała się powrotu czasów Murata i nie uspokajały jej wcale pojednawcze proklamacje króla Józefa. Porażka pod Rio-Secco odebrała śmiałość gorętszym jednostkom, które zniknęły z powierzchni miasta tak, że lud czuł się bez przewodnika. Na oko jednak ten istotny chłód i pustka, zamaskowane zostały sztucznym ruchem i życiem, jakie wnosili z sobą napływowi goście.

Sam orszak królewski, przybyły w przeszło stu powozach, wystarczył do ożywienia

zewnątrznego głównych ulic. Wieczorami pło-  
nęły setki kolorowych lampionów, kobierce,  
makaty, różne szmatki jedwabne, nawet koł-  
dry i kapy zwieszały się z balkonów i wie-  
cznie otwartych okien; na placach publi-  
cznych odbywały się parady wojskowe. Z dwo-  
rem nie było kłopotu, gdyż cesarz zorgani-  
zował go bratu jeszcze w Bajonnie, mówiono  
o projektowanych uroczystościach, o przy-  
byłych z prowincyi deputacyach, mających  
się przedstawić królowi.

Jedna z takich audyencji odbyć się miała  
w dniu prawie odjazdu Zabielskiego. Miało  
to być pierwsze przyjęcie z damami, o co  
upominał się słynący z galanteryi nowy król  
hiszpański. Opowiadano, że chce on nadać  
tej zabawie charakter poufny, podobnie jak  
czynił w Neapolu, gdzie zapraszał codzien-  
nie na dwór swój szereg pięknych dam, zwal-  
niając je od przepisanego etykieta obowiązku  
ucałowania swej ręki i zachowując się wo-  
bec nich jak rycerski paladyn. Dla wytwor-  
zenia tem swobodniejszego nastroju, przy-  
jęcie odbyć się miało w czarownem ustroniu  
królewskim, zwanem Buen retiro.

Usłyszawszy to Zabielski, miał gwałto-  
wną i niepokonaną chętkę znalezienia się na  
tej zabawie. Przedłużył o jeden dzień swój  
pobyt i postarał się o bilet wstępu. Wma-  
wiał w siebie, że chodzi mu tylko o poże-

gnanie po raz ostatni stolicy Hiszpanii, a czyż mógł to lepiej uczynić, jak spędzając ostatni wieczór w ogrodach, otaczających ten śliczny pałac, bo do wnętrza nie spodziewał się dostać, nie należąc do gwardyi. Na dzień przedtem spotkał na ulicy Fanny, której nie widział od czasu swego wyzdrowienia.

Nie była samą. Towarzyszył jej przedziwnie wykwintny „caballerro“. Mijając Zabielskiego, dziewczyna rzuciła mu przelotne spojrzenie i uśmiech przelotny, zauważył jednak, że zwykle wesoła jej twarzyczka, ma dzisiaj wyraz wyjątkowo poważny i jakby poskromiony.

Bardziej jeszcze uderzyła go powierzchowność towarzyszącego jej mężczyzny. Mógł mu się dokładnie przypatrzyć, bo postępował bardzo wolno obok Fanny, która z hamowaną niecierpliwością stosowała się do jego powolnych ruchów. Nie był to Hiszpan, a przynajmniej na Hiszpana nie wyglądał. Strój jego czarny, podobny był krojem raczej do tych, jakie noszono we Francyi w okresie przedrewolucyjnym. Rysy wysubtelnione do ostatnich granic, nie mogły być przecież nazwane kobiecymi. Był stanowczo piękny, ale piękność ta miała w sobie coś bezwzględного i prawie okrutnego. Włosy miał jasne, cerę delikatną, oczy trochę wy-

pukle, ocienione długimi, jedwabistymi rzesami, z powodu których wyglądały jakby wiecznie zmrużone. Wrodzoną jego wytworność podnosił jeszcze strój nad wyraz elegancki; biały żabot i koronki u rękawów, w rękę trzymał laseczkę, jakiej nie powstydziliby się najwybredniejszy „incroyable“.

— Fanny znaleźć musiała możnego projektora — pomyślał Zabielski, rad prawie, że pozbędzie się dziewczyny, która zapowiadała mu, że odprowadzi go do granicy francuskiej, gdyż inaczej umarłaby z trwogi, — aby mu się co złego nie przytrafiło.

Nazajutrz zupełnie przygotowany do drogi, zgłosił się Zabielski do Buen retiro. Godzina była jeszcze wczesna, a długi dzień lipcowy zdawał się nie chcieć skończyć. Zabielski wszedł z bijącym sercem, łając się sam w duszy, za to dziecinne oczekiwanie nadzwyczajnych zdarzeń. Znajomy mu oficer, będący dziś na służbie, upewnił go, że może się czuć jak u siebie, dopóki mrok nie zapadnie. Wszedł więc, a błędząc po salach znanych już mu z poprzedniego tu pobytu, zatrzymał się w sali nowoczesnych mistrzów przed portretem ostatniego, świeżo wypędzonego króla, przedstawionego w otoczeniu rodziny. Potret ten, mimo, że świetnie namalowany, nie mógł budzić wielkiego zachwytu, gdyż odtwarzał z bezwzględnem rea-

lizmem brzydotę i trywialność niedołęznego monarchy.

A jednak Zabielski stał dłuższy czas przed tem płótnem, na którem mistrz współczesny Francisco de Goya utrwalił rysy królewskiej rodziny. Tuż obok wisiał oddany z niemniejszym artyzmem przez tegoż malarza portret faworyta królowej, niefortunnego Godoya, wystawionego jakby na urągawisko w mundurze generalskim i ze szpadą, której nie potrafił wydobyć w obronie państwa, wpuszczając doń bez wystrzału groźnego nieprzyjaciela.

Dwa te obrazy streszczały w sobie dzieje obecnego konfliktu, a przynajmniej wyjaśniały jego przyczyny. Arogancko uśmiechnięta twarz niecnego przyjaciela królowej, elegancya starej zalotnicy, cechująca ubiór i postawę zdetronizowanej monarchini i dobrodusza bezmyślność jej małżonka, mówiły za siebie. Ludzie ci mogli ściągnąć nawałnicę na kraj, którym rządzili, ale nie byli w stanie stawić jej czoła. Mimo to Zabielski widział rozmodlone prawie zachwytem spojrzenia, rzucane ukradkiem na wizerunki królewskiej rodziny przez rzadko snujących się przechodniów. Byli to przeważnie członkowie służby pałacowej, kończący przygotowania.



Wśród nich zauważył usłużnego Szulca, który wkręcił się i tu ze swemi dostawami. Zbliżył się do niego rad, że zamienić może słów kilka po polsku. Przeszli się parę razy tam; i napowrót, a potem usiedli w rogu sali. Zapalono już światła, ale nie zbyt rześiste, tak, że w sali panował półmrok. Zabielski powrócił machinalnie wzrokiem do portretu rodziny królewskiej, ale jakież było jego zdziwienie, gdy nie dostrzegł już na ścianie tego malowidła. Znikło bez śladu, a na domiar w miejscu, gdzie się wprawdzie znajdowało, ujrzał najwyraźniej stojącego pod ścianą don Ramona. Czyżby i ten nieprzejednany pogodził się z przemocą faktów i stawiał się tu na powitanie króla? Zwrócił uwagę towarzysza na zniknięcie obrazu Goyi.

— Kazano go przenieść gdzieindziej — objaśnił Szulc — aby widok zdetronizowanego poprzednika nie uraził delikatnych uczuć swego majestatu, albo raczej — dodał zniżając głos — aby malowany król nie czuł się dotknięty widokiem swego następcy.

A potem dodał, że w miejsce usuniętego obrazu zawieszono portret jakiegoś dawnego rycerza.

Portret? Więc to był portret, ależ w takim razie jest on zdumiewająco podobny do don Ramona — pomyślał Zabielski.

Spojrzał znów w tamtą stronę, portret był ujęty w wąską maurytańską ramę, a przecież byłby przysiągł, że przed chwilą jeszcze widział na tem miejscu żywego don Ramona, który go także musiał poznać, bo oczy ich spotkały się i smagła twarz jego drgnęła nieznacznie. Podszedł zbliżka do obrazu, nie zdradzając swych posądzeń i przekonał się namacalnie, że portret jest najautentyczniejszym malowidłem. Musiał więc paść ofiarą halucynacyi, mając głowę nabitą niedawnem swem spotkaniem z powstańczym dowódcą.

Wyszedł z sali, szukając towarzystwa polskich kolegów i błąkać się zaczął wraz z nimi po alejach wiązów i topoli.

Nadeszła wreszcie godzina przyjęć. Liczne powozy zajeżdżać zaczęły przed bramę pałacową. Staroświeckie karoce z tarczami herbowemi, zaprzężone w konie lub muły bogato uczaprakowane.

— Damy! hiszpańskie damy! — podawano sobie z ust do ust i młodzież wojskowa ustawiała się szpalerem poza plecami straży.

Wysiadać zaczęły z karoc, stare matrony i młode dziewczęta, otulone w jedwabne płaszcze. Klejnoty strojące ich głowy, wysooko utrefione, przebłyskiwały przez tiule, koronki i przezrocza gazowych szali.

Szły wolno po wysłanej dywanami ścieżce, prowadzącej do pałacu. Lustrowano je ciekawie, udzielając sobie z cicha spostrzeżeń.

— Matrony hiszpańskie są przerażająco brzydkie — szepnął do Zabielskiego stojący obok porucznik Rostworowski.

Zabielski potwierdził to zdanie, powtarzając znaną uwagę, że kobiety na południu więdną i starzeją się szybko.

Rzeczywiście starsze damy, obecne tego wieczora na salach Buen retiro, zdawały się być żywym stwierdzeniem tego zjawiska. Twarze ich powleczone kosmetykami, wywierały wrażenie zastygłych masek, ożywionych niekiedy niewygasłym blaskiem płonących chorobliwie oczu. Ramiona i ręce odkryte, stosownie do wymagań etykiety i obsypane klejnotami, były nadmiernie chude, lub rozpływały się w opasłych konturach, urągających wszelkiemu poczuciu linii.

Miejsce godności, jakiej spodziewać się należało po tak wysoko urodzonych damach, zastępowała sztywność sucha, drewniana, martwa. Zato niektóre z młodych były zachwycająco piękne i posiadały widocznie świadomość swego uroku.

Ustawiono je w półkole, w sali portretowej w chwili przybycia króla, którego przyjęto trzykrotnym okrzykiem.

Sala ta, gdzie odbyto „cercle“, była przepełniona.

Zabielski należał do niewielu szczęśliwych, którzy się tam mogli dostać. W chwili gdy wydawano okrzyk na cześć króla, do uszu jego dobiegły wcale inne wyrazy:

— „Guerra a cuchilla“\*) — szepnęły za nim czyjeś usta. Czyje, trudno było odgadnąć wobec natłoczonego tłumu.

Zwolna zabawa przybrała charakter swobodniejszy, do czego przyczyniła się uprzejmość króla. Towarzystwo rozsypało się po pięknych salach, bogato udekorowanych, a nawet po alejach parku.

Zajechało tymczasem przed pałac parę jeszcze spóźnionych powozów. Z jednego z nich wyskoczyła lekko młoda osóbką, której ukazanie się wywołało szmer uznania.

— Patrzcie kolego! — rzekł do Zabielskiego jeden z gwardzistów — ta przynajmniej nie jest przedpotową mumią. a przytem ma szyk i zręczność, których brakuje większej części obecnych arystokratek.

Zabielski patrzył już od chwili na pojętne zjawisko i był prawie pewien, że jest nim nie kto inny, jak Fanny Legrange w przebraniu wielkiej damy. Strój ten zmienił ją wprowadzając prawie do niepoznania, ale była to ona. W mniemaniu tem utwierdził

---

\*) Wojna na śmierć.

go widok towarzyszącego jej kawalera. Był to ten sam młody człowiek, o wypukłych oczach, którego widział poprzedniego dnia w jej towarzystwie. Zawojowała go widocznie do tego stopnia, że prowadził ją tu wbrew przepisom etykiety, dla zadowolenienia jej dziecięcej ciekawości, przyjrzenia się zbliżonej świetności dworu. Nie należało jej psuć zabawy. Usunął się jej dyskretnie z drogi i powrócił do pałacu.

Roznoszono tam wina i chłodzące napoje, orkiestra umieszczona w jednej z bocznych sal, wykonywała jakąś uroczystą melodyę.

Zabielski wszedł raz jeszcze do sali portretowej. Przez szeroko otwarte jej drzwi widać było stoliki, ustawione do kart.

Przy jednym z nich, umieszczonym pośrodku zasiadł do gry sam król, dobrawszy sobie najpiękniejsze partnerki. Zmurszałe matrony umieszczone zostały w przyzwoitej odległości z wydanymi im na pastwę starszymi szambelanami.

Zabielski widział jak na dłoni cały ten obraz, ujęty w ramę rzeźbionych drzwi. — Widział zalotne uśmiechy króla i odpowiadające mu strzeliste sojrzenia arystokratycznych piękności, nie zachowujących się bynajmniej zbyt odpornie. Snadź, oswoiły się już ze zmianą dynastyi i gotowe były służyć nowemu dworowi.

Bawiły się widocznie dobrze, bo wybuchwały często śmiechem prawie za głośnym i wcale nie powściągliwym. Wywoływały go zapewne grzeczności, prawione im przez króla w połączeniu z pachnącem winem aragońskim, którem je wciąż raczono. Wdzięcznym był w tej chwili Zabielski sennorze Teresicie, że się tu nie znalazła. Myśląc o niej, odwrócił się i szukał znowu oczyma portretu, przypominającego tak żywo don Ramona. — Wisiał on tak dalece w cieniu, że trzeba było pewnego wysiłku, aby go odnaleźć. — Zabielski przystąpił ku niemu, lecz nagle zatrzymał się w pół drogi. — Cóż to? czy śni na jawie? Ręka malowanego rycerza, spoczywająca na rękojeści, podniosła się zwolna, jakby chciała grozić zebranym. Trwało to krótką chwilę, ale nie było złudą. Tym razem Zabielski mógł przysiąc, że się nie omylił. Wiedział już teraz, co ma robić i czego się trzymać. Nie zbliżył się wcale do zdradzieckiego obrazu, owszem odwrócił się od niego z udaną obojętnością. Wiedział, że pomimo pozornego zaufania, jakie król okazywał nowemu swemu dworowi, liczne straże rozstawione zostały dla jego bezpieczeństwa z rozkazu gener. Sawary. Zaraz w sąsiedztwie stróżował na czele kilku żołnierzy jego kapral z nocnego rekonesansu. Postanowił zwierzyć mu się częściowo, nie robiąc jednak głośne-



go alarmu. Nie chciał w gruncie demaskować i gubić człowieka, który, o ile domysły jego były słuszne, składał bądź co bądź szalonym swym postępkami, dowód nadludzkiej odwagi i szalonego patryotyzmu. Postanowił działać na własną rękę i doznawał w tej chwili uczucia chłodnej rozwagi i prawie jasnowidzenia, jakie ogarnia zazwyczaj ludzi odważnych w momencie czynu. Był prawie pewny, że ukryty za portretem człowiek nie wykona jeszcze w tej chwili zamachu. Oczekiwał zapewne na większe rozprężenie czujności, pod wpływem wina, a może miał na sali współników, od których miał otrzymać hasło. Zamienił kilka wyrazów z kapralem, dając mu do zrozumienia, że zauważył wśród zebranych podejrzanego człowieka, z którym się zamierza rozprawić. W razie oporu z jego strony, miał dać znak o sobie wystrzałem z pistoletu.

— Zrozumiane mój poruczniku — odparł bez namysłu kapralem, którego oczy błyszczały jednak cokolwiek, jak gdyby pozwolił już sobie na podniecenie się kieliszkiem.

— Tylko zdaleka od wina, pamiętaj, że ci Carajos gotowi go zaprawić trucizną.

— Uraczyłem się tylko z własnej manierki mój poruczniku — odparł kapralem — wiem przecie, co przystoi żołnierzowi.

Zabielski zlustrował go pilnie i orzekł w duszy, że jest jeszcze na tyle trzeźwym, aby być czujnym i pożytecznym.

— Uważać masz na hasło — szepnął mu jeszcze na odchodnem. — Strzał padnie w sali portretów.

— Jestem cały słuchem — mój poruczniku.

Zabielskiemu dogadzałoby najlepiej, gdyby mógł znaleźć się sam w sali portretowej, ale o tem niepodobna było marzyć.

Temperatura zabawy ożywiła się, co wywołało większy ruch i krążenie gości po salach pałacowych. Na szczęście powstał zamiar wykonania dla zabawy króla, jednego z narodowych tańców hiszpańskich. Wszyscy więc śpieszyli do wielkiej sali, przekształconej chwilowo na balową, gdzie już orkiestra uderzała wstępne akordy. Z tej chwili skorzystał polski oficer i widząc się prawie samotnym, podszedł prosto do portretu, zdecydowany odkraść mu jego tajemnicę. — O! gdyby miał jakie wątpliwości, pierzchłoby z pewnością w miarę zbliżania się do zagadkowego obrazu. Rycerz z portretu patrzył w tej chwili przed siebie oczyma zwężonemi nienawiścią, a każdy rys jego twarzy tchnął żywiołową namiętnością i żądzą zemsty, jakiej nie zdołałby zakłąć w malowanym płótnie najgenialniejszy mistrz pędzla.

Zabielski zatrzymał się instynktowo, a jednocześnie natknął się na niespodziewaną przeszkodę. — Z mrocznego kąta sali wysunął się nagle wykwintny caballero Fanny Legrange i mówić coś zaczął dziwnym, nieokreślonym językiem.

Wysłuchując się z wysiłkiem w chropawe i kaleczone niejako dźwięki, udało się Zabielskiemu podchwycić sens poszczególnych wyrazów. Nieznajomy był widocznie Anglikiem, wyrażającym się w łamanej francuszczyźnie. Mówił coś o swem zamiłowaniu do malarstwa, które każe mu podobnie, jak Zabielskiemu, szukać schronienia w tej sali arcydzieł, zamiast powiększyć grono widzów, podziwiających choreograficzne popisy. — Zabielski skłął w duchu natręta, podczas gdy tysiące pomysłów krzyżowało mu się w głowie. — Po krótkim wahaniu odpowiedział nieznajomemu w najpiękniejszej hiszpańskiej mowie, na jaką się mógł zdobyć, patrząc mu jednocześnie prosto w oczy. Na twarzy Anglika odbiło się niemiło zdziwienie i było widocznem, że nie rozumie ani słowa. — O to właśnie chodziło Zabielskiemu. Grał może szaloną grę, ale nie wahał się dłużej. Zwróciwszy się wpół do portretu — rzekł głośno:

— Jesteś odkrytym Don Ramonie! Nie dopuszczę do zamierzonego przez ciebie morderstwa, ale zguby twej nie pragnę. Zosta-

wiam ci pół godziny czasu dla opuszczenia kryjówki, w której się znajdujesz.

Wyrzekłszy to, jak mu się zdawało, dość wyraźnie, aby człowiek ukryty za portretem mógł go zrozumieć, zwrócił badawcze spojrzenie na Anglika, chcąc zbadać, jakie wrażenie wywarła na nim ta przemowa.

Tamten był i tym razem obojętny. Zdawał się być pochłoniętym oglądaniem wiszącego w pobliżu obrazu Zurbarana i stał sztywny z głową podniesioną, ze zwykłym zmrużeniem swoich wypukłych oczu.

Zanim jednak Zabielski zdążył powziąć dalszą decyzję, padł niespodzianie strzał z pistoletu, a w sekundę potem rozległy się stapania wkraczającego do sali patrolu. — Zabielski wiedział wybornie, że to nie on strzelił, nie miał zamiaru zrobić tego tak wcześnie. Nie pozostało mu przecież nic innego, jak wydać odpowiednie rozkazy. Patrol ustawił się twarzami do ściany, a w tejże chwili Anglik zbliżył się do zwabionego strzałem naczelnika straży, pokazując mu dymiący pistolet.

— Przykro mi — rzekł — żem się stał mimowolnym sprawcą alarmu, broń nabita wypadła mi z ręki i wypaliła z hukiem, nie czyniąc na szczęście szkody.

Tu ukazał ręką na kulę, która rikoszetem utkwiała nisko w ścianie. Oficer służbo-

wy skłonił mu się z szacunkiem, przyjmując jego usprawiedliwienie. Widocznie Anglik był mu znanym i zasługiwał na zaufanie.

Zabielski stał na uboczu z zegarkiem w rękę, obliczając, ile zdoła zyskać na czasie. Położenie jego było dziwne. Don Ramon mógł go uważać za zdrajcę, bo w chwili właśnie, gdy mu przyrzekał wolność, zdraździecki strzał sprowadził straż, która go mogła ująć.

Z drugiej strony, jeśli był tylko igraszką własnej wyobraźni, jeśli za portretem nie ukrywało się żadne tajemne przejście, postawi się w dziwnem świetle wobec władz francuskich, a co gorsza, okryje się śmiesznością. W każdym razie czujność straży już była rozbudzoną i rzecz cała oprzeć się miała o generała Sawary.

— Wstrzymaj się pan od wszelkich zeznań, jeśli chcesz ocalić tego szaleńca — szepnął do Zabielskiego, przechodząc tajemniczy nieznajomy.

Tym razem mówił po hiszpańsku prawie zupełnie czysto z lekkim tylko cudzoziemskim akcentem.

— A więc pan zrozumiałeś, com mówił wpierw, a więc pan mówisz po hiszpańsku — zawołał Zabielski — pan podpatrywałeś mnie i strzeliłeś umyślnie!

Nieznajomy nic na to nie odrzekł i wszedł znowu w swoją rolę amatora i znawcy obrazów. Na progu ukazała się Fanny, przenosząc zalekniiony wzrok z jednego na drugiego i ustąpiła dopiero za wejściem generała Sawary, który kazał opróżnić salę i pozamykać przejścia.

— Co to ma znaczyć? — zapytał zwykłym swym surowym tonem, zwracając się do dowódcy patrolu. Dlaczego zmieniliście stanowisko?

— Taki był rozkaz, generale — tłumaczył się kaprał — spoglądając z ukosa w stronę Zabielskiego z wyraźną nadzieją, że ten go wybawi z ambarasu. Jakoż nie zostawało nic innego Zabielskiemu, jak wziąć na siebie całą odpowiedzialność. — Wystąpił też i opowiedział z całą szczerością generałowi złudzenie, jakiego padł ofiarą.

— Wstydzę się teraz naprawdę panie generale, że się dał tak łatwo unieść rozbujałej wyobraźni. — Portret ten oddany jest z tak nieporównanem mistrzowstwem, że zdaje się być żywym.

— Nie lubię tych starych malowideł — mruknął generał — wodzi to za tobą oczyma, gdzie się ruszysz. Napatrzyłem się tego dość w czasie naszych włoskich wojen.

— Tak jest, i ten portret patrzy jak żywy — potwierdził Zabielski — który próbo-



wał przyglądać się obrazowi z różnych odległości, gotów naprawdę przypuszczać, że padł tylko ofiarą złudzenia.

— Nie należy rozgłaszać tej głupiej historii — rozkazał generał — bo gawiedź gotowa ją przekształcić i zrobić z tego wnet spisek na króla, teraz właśnie, kiedy jego majestat wszedł w najlepszą harmonię z tułtejszymi arystokratami, czego dowodem jest obecność ich żon i córek na dzisiejszym balu. Nie dokończył jeszcze tych słów, gdy krótki suchy śmiech dał się słyszeć za jego plecami.

— Co to jest? — rzucił gniewnie, oglądając się dokoła.

— Wybacz generale — rzekł Anglik — to ja zaśmiałem się na myśl, że bajka ta może stać się naraz prawdą. Patrzcie tylko, co tu odkryłem. Tu odchyliwszy rąbek gobelinu, ukazał im zaledwie dostrzegalną szczelinę, biegnącą wzdłuż wycisków obicia, poczem wepchnął w nią ostrze małego, błyszczącego sztyletu, wprowadzając przez to w ruch ukrytą maszyneryę.

Portret pochmurnego rycerza zapadł się w mgnieniu oka, a w miejscu, gdzie się przed chwilą znajdował, zaczął się prostokątny otwór, ujęty w maurytańską ramę.

— Widziałem podobne urządzenia w starożytnych zamkach włoskich i niemieckich —

objaśnił nieznajomy — lubuję się w badaniu tych średniowiecznych zagadek architektonicznych, znikających z powierzchni ziemi wraz z porządkiem rzeczy, który je sprowadził.

— Człowiek któryby stanął nieruchomo w tym otworze, mógłby wybornie odegrać przez chwilę rolę portretu — pomyślał Zabielski.

— Allons! — rzucił rozkaz generał — trzeba tam wejść i przetrząść to lisie gniazdo. — Naprzód kapralu!

— Generale! — zaoponował Zabielski — mnie się to z prawa należy, ja pierwszy zwróciłem uwagę.

— Nie boisz się poruczniku? No! oczywiście jesteś przecie oficerem francuskim.

Podobieństwo mundurów usprawiedliwiało omyłkę generała, ale Zabielski nie omieszkiał je sprostować.

— Polakiem jestem i służę w wojsku polskim. Proszę o światło.

— Idź więc mój zuchu! — zachęcał go Sawary — a wyjąwszy własnoręcznie jedną ze świec, płonących w brązowym świeczniku, podał ją Zabielskiemu.

Ten zapuścił się w tajemnicze zagłębienie, wystawiając się na cel wystrzałów. W razie, gdyby się tam kto czaił, w ślad za nim weszło paru żołnierzy wraz z kapralem.

— Sacrebleu, to jest naprawdę królewska kryjówka — wołano z podziwem. — Nie był bo też ciemny sklepiony korytarz, jakiego się spodziewano, lecz buduar zbytkownie urządzony, miejsce może spotkań miłosnych, służący do zaspokojenia wzbronionych pociągów serca. — O takim jego przeznaczeniu zdawały się świadczyć: mitologiczne freski na ścianach, miękie sprzęty filigranowej struktury, mdława, cokolwiek przytęchła woń, właściwa dawno nieprzewietrzanym miejscom a uwięziona tu może jeszcze z czasów ostatniej schadzki.

— Nowy dowód obłudy hiszpańskiej — zawyrokował Sawary.

— U nas we Francyi nie robi się z tem tyle ceregieli — zaśmiał się kaprał.

Zabielski nie mówił nic, wciąż jeszcze w oczekiwaniu, że w jakim mrocznym załomie ukaże mu się postać don Ramona. Tego się najbardziej lękał i dlatego właśnie ofiarował się pójść pierwszy, pragnąc za wszelką cenę ułatwić ucieczkę hiszpańskiemu dowódcy. — Nie przyszło do tej konieczności, bo mimo drobiazgowych poszukiwań, nie znaleziono żywej duszy. Buduar był pusty, zamknięty, dawno już zapewne nie nawiedziany, nie podobna było też na razie sprawdzić, czy posiada drugie wyjście. Obsadzono go strażą i żołnierze w wysokich swych butach i mundu-

rach z grubego sukna, zasiedli na niskich kozetkach, o kręconych poręczach, służących niegdyś za oparcie królewskim ulubienicom. Zabielski powrócił z lekkim sercem do sali balowej, rad z pomyślnego zakończenia swej dziwnej przygody. Tu było strojnie i hucznie, wywiązała się wesołość naprawdę nie wymuszona. Król odtańczywszy obowiązkowy taniec z jedną najszanowniejszych matron, wszedł ze szczerem zamięłowaniem w rolę łaskawego władcy, wobec najmłodszych i najpiękniejszych przedstawicielek swych nowych poddanych.

Zabielski trzymał się skromnie na uboczu; w chwili, gdy ustawiono się do kontredansa, spostrzegł z daleka Fanny, która odrzucała licznych zgłaszających się o nią tancerzy. Podziwiał jej umiejętność zachowania się i wrodzony takt, który wstrzymywał ją widocznie od zbyt poufałego narzucania się towarzystwu, do którego wkradła się pod przybranem zapewne nazwiskiem. Podeszedł ku niej, przyczem dowiedział się, że uchodzi tu za panią Hermani. — Nazwisko to nie brzmiało arystokratycznie, wystarczało jednak widocznie do utorowania jej drogi w dworskiem towarzystwie. Gdy stanął przed nią wskazała mu miejsce obok siebie, obiegłszy przód salę zalęknionem, niespokojnem spojrzeniem.

— Mam nadzieję, że go pan sobie nie naraziłeś — spytała półszepem.

— Kogo? generała Sawary?

— Och nie! — odpowiedziała lekceważąco — czemuż jest wobec niego generał.

Domyślił się, że ma na myśli swego wytwornego protektora.

— Nie ja mu się naraziłem, lecz on mnie, za co mu przy sposobności odpłacę — odparł wyzywająco.

— Och, nie rób pan tego, czyż nie dość, że zrobiłeś pan sobie już wśród nich jednego śmiertelnego wroga tam w Warszawie?

— Wśród nich? — Jesteś coraz bardziej tajemniczą, Fanny. Jakież związki może istnieć pomiędzy warszawskim twym przyjacielem, panem von Stierre, a wykwintnym kawalerem, Hermani.

— Przyjacielem? — Jak możesz pan tak nazywać tamtego człowieka. Zrobiłam wtedy, co mi kazano, ale pogardzam nim.

— A ten? jakie uczucia żywisz dla dzisiejszego twego kawalera?

— Tego się lękam — szepnęła dziewczyna — przysłaniając oczy powiekami, jakby chciała zataić się wewnątrznie i cofnąć w głąb siebie. Pozostała czas jakiś w tej postawie, nie odpowiadając na dalsze pytania, a Zabielski zrozumiał powód tej wstrzemięźliwości, gdy podniósłszy oczy, ujrzał stoją-

cego przed sobą kawalera. Patrzył on na niego i Fanny swojemi sennemi oczyma, które miały w tej chwili wyraz jak gdyby pobłażania.

— Czyż nie zechciałbyś pan przejść się ze mną i z panią Hermani? — zaproponował, powietrze w tej sali zaczyna być duszne.

— Bardzo chętnie, ale wpierrw musisz mi pan wytłomaczyć swoje poprzednie postępowanie. Wiesz pan przecież równie dobrze, jak ja, że strzał nie był wcale przypadkowym.

— Strzał? — jeśli pan chcesz prawdę wiedzieć, pan byłeś jego prawdziwym sprawcą!

— Ja?

— Myślałeś pan o nim tak usilnie, tak natarczywie, że....

— Że co?

— Czyż nie wiesz pan, że myśl ludzką, przekroczywszy pewien stopień napięcia, wyzwała się i wychodzi poza obręb mózgu w którym powstała. Udziela się ona wówczas innym ludzkim jednostkom na kształt zaraźliwej choroby i obiega w ten sposób miasta, kraje, całe pokolenia. Ludzie to nazywają duchem czasu.

— To nie jest odpowiedź. Przenosisz pan wykrętnie rzecz całą na grunt ogólny.

— Bynajmniej, bo na małą skalę zaszło tu to samo zjawisko. Posiadasz pan widocznie



w wysokim stopniu zdolność narzucania innym emanacyi swej woli. Jest to cenny dar, którego nie należy lekceważyć. Szkoda że spoczywa on, jak się zdaje, w pańskim intelekcie, w postaci surowego materyału.

— Do czego on zmierza, pomyślał Zabielski, a przez głowę przemknęło mu, że musi mieć do czynienia z illuminatem. Kawaler Hermani zaczął go tymczasem dalej objaśniać.

— Nie sądz pan, że odbiegam umyślnie od przedmiotu, by pana w błąd wprowadzić.

Istotnie pan to sprowadziłeś mnie do sali portretowej. Pan skierowałeś moją uwagę na wybryk hiszpańskiego szaleńca. Pan wreszcie spowodowałeś strzał, który zresztą ocalił was obu. A dokazałeś tego wszystkiego jedynie za pomocą napięcia myśli, obracającej się uporczywie około danego przedmiotu.

Nie przykładając zbytnej wagi do mglistych teoryi wygłaszanych przez kawalera, Zabielski wyprowadził z nich wnioszek, że Hermani wiedział coś o zamierzonym zamachu.

— Jaki? — spytał. Więc pan twierdzisz, że tam istotnie ktoś się ukrywał. Wszakże nie znaleźliśmy nikogo.

— Widocznie zdołał ująć. Zresztą nie miał on wcale morderczych zamiarów, o jakie go pan posądzałeś, a tylko chciał nasycić wzrok pohańbieniem nienawistnego majestatu.

— Pohańbieniem majestatu? co pan przez to rozumiesz....

— W przekonaniu jego brat cesarza Francuzów shańbionym dziś został na honorze, co w oczach prawdziwego hidalgi jest stokroć gorszym ciosem od poniesionej w najokrutniejszy sposób śmierci. Pan zepsułeś mu to widowisko. No i ostatecznie musiał się znaleźć ktoś dla rozwiązania sytuacji. W tem leży tajemnica danego przezemnie strzału.

Opuścili już byli pałac i znajdowali się we troje w jednej z okrążających go alei. Kawaler Hermani musiał uważać wyjaśnienie swe za dostateczne, bo uchylił kapelusza, mając zamiar odejść. Zabielski zatrzymał go jeszcze, raczej wzrokiem niż słowem.

— Jakto? — pytał z zapartym tchem — więc to nie było złudzeniem, więc on tam był naprawdę, don Ramon — i to....

— I to nie sam — dokończył za niego kawaler — na co ma pan zresztą dotykálny dowód.

Zabielski zarumienił się, bo w kieszonce munduru ukrywał istotnie mały, pachnący przedmiot, który podjął z posadzki w ukrytym buduarze. Miałżeby ten złocisty wachlarz należeć do jakiejś współczesnej istoty, nie zaś do którejś z tajemniczych piękności, które przesunęły się kolejno w ciągu wie-

ków przez zbyt kowne ustronie królewskiego pałacu. Nie było komu udzielić mu na to odpowiedzi, bo kawaler Hermani odszedł już był, pozostawiając go sam na sam z Fanny, o którą nie zdawał się być zazdrosny. Stali czas jakiś w milczeniu, wreszcie dziewczyna odetchnęła głęboko, jakby z piersi jej usunął się gniotący ciężar.

— Chodźmy — szepnęła do Zabielskiego — on już dziś nie wróci.

— O nie! Wpierw musisz mi powiedzieć, kim on jest ten twój dziwny przyjaciel.

— On? Czyż pan o nim nie słyszał. To Herman, sławny Herman.

Ale okazało się, że Zabielski nic nie wie o sławnym Hermanie.

— Zna go przecież cały Paryż, choć w gruncie nikt nie wie, kim on jest na prawdę. Mieszka sam w odosobnionym domu. Jest bardzo wpływowy, potężny, ma wstęp do ministra Fouché, a nawet do samego cesarza.

— Być może, być może, w każdym razie nazwisko jego nie jest jednym z tych, o których by mówiono na polu bitwy.

— Kto wie? Nikt przecie nie wie, kim jest na prawdę.

— Ale skądże twoja zażyłość z tym nadzwyczajnym człowiekiem.

— Zażyłość? O nie, ja słucham tylko jego rozkazów.

To objaśnienie w związku z wymienionem poprzednio nazwiskiem ministra policyi, uderzyło niemiłe Zabielskiego. Nie zastanawiał się dotąd bliżej nad właściwym charakterem Fanny Legrange.

Teraz dopiero rzeczywistość odsłoniła mu się w całej nagości.

Była więc poprostu jednym z tych szpiegów kobiecych, jakich setki uwijało się wówczas po Europie. Przykrem mu było to odkrycie, gdyż nie mając o niej wysokiego wyobrażenia, lubił ją jednak, uważając raczej za lekkomyślną, niż przedajną. Ale jeżeli była szpiegiem, komu właściwie służyła i na czym pozostawała żołdzie? Powracał z nią w milczeniu, mniej usposobione do wywnętrzeń i nastrojony nieufnie. Gdy stanęli znów przed fasadą pałacu, przez którego otwarte okna buchały fale światła i dźwięków, Fanny, która odczuła jego niechętnie usposobienie, wysunęła mu rękę z pod ramiona.

— A jednak — rzekła smutno — nie jestem tak złą, za jaką mnie pan uważasz.

— Nie rozumiesz sama znaczenia swych postępków. Ale komu właściwie służysz? Francuzom czy Hiszpanom.

— Raz jednym, to znów drugim — odrzekła, uważając ten stan rzeczy za fakt normalny.

— W tem właśnie twój grzech. Gdybyś przynajmniej służyła własnej ojczyźnie, po-

stęпки twoje mogłyby nawet mieć pewną wielkość, ale tak....

— Jestem tylko w połowie Francuską. Matka moja była z Aragonii, mam więc tu i tam przyjaciół. — Staram się robić jak najmniej złego ludziom i niejednemu już życie ocaliłam.

Mówiła to wszystko, usprawiedliwiając się, jak strofowane dziecko. Była więc w połowie Hiszpanką, to tłumaczyło łatwość, z jaką wpuszczono ją na zgromadzenie spiskowych.

— Bądź jak bądź, zaprzedałaś się, straciłaś wolność rozporządzania sobą, najdroższy dar człowieka.

— To prawda! — westchnęła — ale nie zaprzedałam się za złoto i nie służę policyi, jak to pan przypuszczasz. Wiążę mnie tylko przysięga — dodała, zniżając głos — straszna przysięga. W każdym razie nie sprzedawałam nigdy swej miłości i lepszą jestem od każdej z tych — rzekła na zakończenie, wyciągając rękę w kierunku okien pałacowych, przez które widać było wirujące pary.

— Tak, tak, wiem, że na wielkim świecie dzieją się często rzeczy gorsze jeszcze, bo pokryte obłudą — potwierdził Zabielski, wchodząc, jak sądził w jej myśli.

— Na wielkim świecie! — Więc pan sądzisz, że te panie okryte klejnotami, które

uczują z królem Józefem, są naprawdę wielkimi damami. Żaden grand hiszpański, nawet z tych, co przyjechali z Bajonny, nie wprowadziłby tu swej żony lub córki. Oni są bardzo dumni, a przytem umieją nienawidzieć. Dlatego sprowadzili tu kobiety z ulicy, gorzej jak z ulicy.

— Skąd możesz o tem wiedzieć?

— Pan mi nie chce wierzyć, a przecież powiedziałoby to panu każde dziecko uliczne, gdybyś pan nie był cudzoziemcem. To zemsta, zdawna przygotowana, o której wszyscy wiedzą, ale nikt nie zdradzi tajemnicy, bo tu cały naród myśli jednako. To znaczy także, że źle musi być z Francuzami, że tam na południu powstańcy wygrać musieli wielką bitwę i lada dzień staną w Madrycie. Dlatego też wyjeżdżaj pan ztąd, bo wkrótce może być za późno. — O proszę, posłuchaj mnie pan — prosiła, składając ręce. Zachowaj pan życie dla swego kraju. Nie daj się zwabić żadnej sennoricie. Co do mnie, pożegnaj pana dziś i nie zobaczysz mnie więcej, chyba, że będę mogła oddać jaką przysługę panu lub pańskiemu krajowi.

Mówiła to wszystko jednym tchem, z akcentem takiej szczerości, że niepodobna jej było posądzać o kłamstwo.

— Więc te kobiety? — spytał jeszcze Zabielski — więc te damy?



— Te damy! — szepnęła Fanny — stając tuż prawie przy nim, są to...

Tu powiedziała mu na ucho kilka słów, nie pozostawiających żadnej wątpliwości co do charakteru społecznego dam, goszczonych dzisiejszego wieczora na salach Buen retiro.

Teraz dopiero zrozumiał Zabielski znaczenie aluzji, wypowiedzianych przez kawalera Hermani o pohańbieniu majestatu. Ten wybuch żywiołowej nienawiści całego społeczeństwa, umiającego ukuć z każdej sytuacji broń, służącą do zohydzenia wroga, zaimponował polskiemu oficerowi. Gdyby umiano tak gdzieindziej. Gdyby umiano tak tam, gdzie niestety, nazajutrz po pogromie, damy, prawdziwie wielkie damy nie wahała się dzielić zabaw wczorajszych zwycięzców, nie wahały się uświetniać swą obecnością dworskich i nie dworskich uroczystości, wyprawianych na cześć wrogiego elementu. — Otuchę czerpał w nadziei, że objawy te należą do nieodwołalnej już przeszłości. Że kraj jego rozbudzony i pchnięty na nowe tory, nie zawróci już z nich aż do chwili ostatecznego odrodzenia. — Nazajutrz wschodzące promienie słońca znalazły go już poza rogatkami Madrytu. Po drodze goniły go natrętnie wspomnienia owego wieczoru, spędzonego w Buen retiro.

Koniec części pierwszej.

# SPIS ROZDZIAŁÓW

zawartych

w części pierwszej.

---

	Strona
I. Pod Blachą . . . . .	1
II. Niepowołany medyator . . . . .	61
III. Spotkanie . . . . .	85
IV. W loży masońskiej . . . . .	102
V. Swoi i obcy . . . . .	141
VI. Bal empire . . . . .	172
VII. Kuryerzy cesarza . . . . .	209
VIII. Dwie modlitwy . . . . .	226
IX. Nocna wyprawa . . . . .	250
X. Buen retiro . . . . .	273

---





